

od wsi...
23/XII

NA SŁUŻBIE ROSYJSKIEJ

H-120984

GEN. BRONISŁAW GRĄBCZEWSKI

10396

NA SŁUŻBIE ROSYJSKIEJ

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE



10396

Seminarium Socjologiczne
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

~~Nr. Inv. 3127~~

Składy główne:

„The Polish Book Importing Co., Inc “— New York.
„Księgarnia Polska na Śląsku, Sp. Akc.“ —Katowice.

1926

WYDZIAŁ WIL. CZARNEGO. WARSZAWA.

OD WYDAWCÓW

Wypuszczając w świat tom wspomnień ś. p. generała Bronisława Grąbczewskiego, uważamy za niezbędne dać czytelnikom pewne wyjaśnienia. Znakomity podróżnik przeszło rok temu powziął zamiar skreślenia całego szeregu luźnych szkiców, które miały odtwarzać te epizody lub chwile z jego życia, kiedy patrzył własnymi oczyma na przebieg doniosłych zdarzeń w życiu politycznym Rosji na terenie Europy i Azji. Niejednokrotnie w zdarzeniach tych brał on czynny udział; nieraz też stykał się bezpośrednio z ukrytymi sprężynami zamierzeń politycznych, w następstwie czasu wywołujących doniosłe skutki, lub z ludźmi, stojącymi u steru władzy. Czy w charakterze faktycznego zarządcy Fergany i Pamirów, czy jako komisarz olbrzymiego pogranicza chińsko - rosyjskiego, czy wreszcie jako generał - gubernator Astrachania, hetman ko-

zacki i opiekun bukiejewskiej hordy kirgiskiej, Grąbczewski powszedy stał na stanowiskach przodujących w Rosji cesarskiej i miał możność widzieć i wiedzieć bardzo dużo. Nic dziwnego, że miał wiele do powiedzenia i szkice swe obliczał na dwa spore tomy.

Niestety śmierć przeszkodziła mu w doprowadzeniu powziętego zamiaru do końca. Część znaczną niniejszych wspomnień pisał już w ciężkiej chorobie, iście nadludzką siłą woli zrywając się do pracy i ciągle walcząc z niemocą. Dlatego też zbiór fragmentów, jakie z całym pietyzmem dla pamięci zmarłego oddajemy do rąk czytelników, stanowi pierwszą część pomyślanej całości: generał Grąbczewski nie zdążył nakreślić wspomnień z doby swej wczesnej młodości i wyjaśnić przyczyn, jakie zniewoliły go do wstąpienia do armji rosyjskiej i opuszczenia kraju ojczystego na długie lata. Na kilka tygodni przed śmiercią zabierał się do napisania szkicu takiej treści, jednakże cierpienia odbierały mu siły: nie mógł ani sam pisać, ani dyktować swych myśli. Nie zdołał również wykończyć zaczętego już opowiadania o tem, jak mu się wywdzięczyła ostatecznie Rosja za tyle dla niej pracy i trudów, gdy w r. 1906 nagle otrzymał w Astrachaniu „pozwolenie“ opuszczenia imperjum i wy-

jazdu zagranicę, wystąpił bowiem stanowczo przeciw stołypinowskiemu projektowi okrojonej konstytucji.

Sądzimy, że wspomnienia te zainteresują czytelnika nie tylko dlatego, że rzucają one ciekawe światło na życie polityczne Rosji cesarskiej w ostatnich dziesiątkach lat jej istnienia i przynoszą wiele nieznanych faktów, lecz i z tego względu, iż pozwalają wejrzeć głębiej w duszę znakomitego podróżnika, ustalić rysy znamienne jego charakteru. Te rasowe, polskie cechy indywidualności gen. Grąbczewskiego uwydatniają się z niezwykłą siłą i jasnością na ponurem tle życia Rosji despotycznej.

W S T Ę P

Nie mam zamiaru pisać swej autobiografji, gdyż niczem nie zasłużyłem na prawo zaprzątania sobą uwagi społeczeństwa. Lecz że w mojem długiem a ruchliwem życiu okoliczności zawsze jakoś tak się składały, że wchodziłem w stosunki z ludźmi często najwybitniejszymi, którzy, w ciągu ostatnich 30—40 lat zajmując stanowiska kierownicze w Rosji, doprowadzili ją do obecnego stanu, sądzę przeto, że opowiadanie o mem osobistem zetknięciu się z nimi może dorzucić parę rysów znamiennych do charakterystyki świeżo minionych czasów.

WSPOMNIENIA Z CZASÓW POWSTANIA NA LITWIE

Miałem wtedy 8 lat. Mieszkaliśmy w majątku naszym, Krepszty, o 9 kilometrów od miasta powiatowego Felsze, w ziemi kowieńskiej.

Cały dom jest w ruchu, gdyż moi rodzice oczekują ogromnego zjazdu „na polowanie“, na które ma przybyć około 200 osób, obywateli z ziemi kowieńskiej. Jest już marszałek szlachty, hr. Czapski z Berżan, jest również były marszałek, pan Pilsudski, a zajeżdżające sanki przynoszą coraz to nowych gości, których ś. p. ojciec mój spotyka w przedpokoju i wprowadza dalej.

Wśród gości postrzegam mnóstwo osób, których nigdy przedtem nie widziałem w Krepsztach. Większość w czamarkach i konfederatkach. Pierwszy raz w życiu widzę swoją mateczkę w czarnym kontusiku z wylotami, podbitymi białym jedwabiem, i w konfederatce. Matka przyjmuje gości w wielkiej sali, skąd rozchodzą się oni po wszystkich pokojach, tworząc grupy, żywo z sobą rozprawiające.

W olbrzymim pokoju stołowym jest bufet z gorącymi

i zimnemi potrawami. Każdy je i pije, kiedy chce i co chce. Nas, dzieci, usunięto do skrzydła, wychodzącego na ogród, i nie mamy prawa wychodzić z pokojów dziecinnych. Wydostają się stamtąd cichaczem dzięki pomocy mego wuja (męża rodzonej ciotki), Seweryna Grosa, byłego rotmistrza huzarów, który — w wysokich palonych butach, obcisłych spodniach, w czamarcie i konfederatce — wywiera na mnie wrażenie imponujące. Wuj, znany naturalista i miłośnik przyrody, był nadzwyczaj lubiony przez sąsiadów za dowcip, wesołość i brawurę.

Wzamian za wyprowadzenie mię z pokojów dziecinnych wuj kazał mi się nauczyć ironicznych wierszyków, które przechodziły wtedy z ust do ust i które podobno on sam ułożył.

W pamięci zatrzymałem tylko parę pierwszych strof tych wierszyków:

Quelle sottise ta Litwa robi!
Sont-ils donc tous foux là-bas?
Wszak do buntu się sposobi!
Nacóż się to wszystko zda?
On dit, że tam, w Warszawie,
Zastrzelili quelques gens.
Otóż zaraz po tej sprawie
Włożyli deuil en pleurant.
I cóż to ich ma obchodzić,
Que les mal-attentionés,
Co mogli rewolucję zrobić,
Sont tout de suite assassinés?

.

Obchodząc pokoje, trzymałem się wuja, który zbliżał się do rozmawiających, rzucał parę słów ironicznych i powoli posuwał się ku innej grupie.

Wieczorem najbliżsi sąsiedzi rozjechali się na noc do domów, biorąc z sobą każdy po paru przyjezdnych. Cały nasz dom nabrał dziwnego wyglądu: w gabinecie, w sypialni ojca i w jednym z pokoiów bawialnych postawiono łóżka, przeznaczone dla marszałków szlachty i innych poważnych wiekiem obywateli. Wszyscy inni przyjezdni spali pokotem w ogromnej sali i w innym bawialnym pokoju na sianie, pokrytem dywanami i kilimami, podłożywszy co kto mógł pod głowę. Tylko w jadalnym nikt nie spał, gdyż bufet był otwarty przez całą noc.

Na drugi dzień znowu zebrali się wszyscy, lecz na polowanie nie poszli. W sali, przy drzwiach szczelnie zamkniętych, poczęły się jakieś obrady. Tu już i interwencja wuja nie pomogła: do sali dostać się nie mogłem, i tylko przez drzwi czasami dolatywał mię piorunujący głos mego ojca.

Dopiero wieczorem zebrani poczęli się rozjeżdżać. Odjechali bliżsi sąsiedzi, dalsi zaś, którzy mieli do przebycia po kilkadziesiąt i więcej kilometrów, wyruszyli dopiero na trzeci dzień po śniadaniu. Krepszty opustoszały, i wróciliśmy do życia normalnego.

Pozegnałem się i ja z moim kochanym wujkiem, którego więcej już w życiu nie widziałem. Gdy wybuchło powstanie, wuj Seweryn Gros przyjął przezwisko „Aleksandrajtis“, utworzył własną dość znaczną partję i, ze względów aprowizacyjnych, przebywał w lasach

bliskich własnego majątku, Zemelan, skąd dostarczano mu wszelkich zapasów żywności. Osaczony przez Rosjan, po zaciętej bitwie pod Popielanami, został rozbity przez silny oddział pod dowództwem pułkownika Zerbina, komendanta strzelców rodziny cesarskiej, noszących czarne rogatywki ze złotym krzyżem, na którym był wyryty napis: „Za cara i wiarę“.

Rozwścieczeni ogromnemi stratami, strzelcy odrazu po bitwie wpadli do pobliskich Zemelan i rozgrabili bogaty dwór doszczętnie. Czego nie mogli zabrać lub sprzedać, choćby za grosze, miejscowym chłopom i żydom, to łamali i niszczyli. Staw zemelański był zupełnie czerwony od krwi wyrzniętego i rzuconego do wody drobiu, świń, prosiąt i innych zwierząt domowych. Ciotkę moją z siedmiorgiem drobnych dzieci posadzono na wóz drabiniasty tak, jak ją zastano, i wysłano do pobliskich Repsz, majątku ojca wuja Seweryna, gdzie mieszkali starzy Grosowie. W ręce Moskali wpadł miejscowy proboszcz, ksiądz Jerzy Juskiewicz, który był kapelanem partji. Przyprawdzili go do Zemelan okropnie pobitego, przywiązali do słupa i katowali dalej, plując mu w twarz i nie szczędząc wszelkich obelg. Nawet chłopci, którzy w ogromnej większości byli źle usposobieni do powstania, płakali głośno, wołając: „Męczą, jak Chrystusa Pana!“ Na skutek interwencji gospodarzy-chłopów, z których zdaniem Rosjanie wtedy bardzo się liczyli, ksiądz Juskiewicz uniknął śmierci i nawet po pewnym czasie powrócił do swej parafji.

Szczegóły tych wstrząsających wypadków opowia-

dała mi niedawno, mieszkająca w Warszawie, moja siostra cioteczna, pani Zofja Sokolnicka, najstarsza z córek wuja Grosa, która miała wtedy 9 — 10 lat. Epizod ten tak wrył się w jej dziecięcą pamięć, jakby się wczoraj zdarzył.

Trudne było życie ciotki z rodziną w domu teścia. Stary Gros, były oficer gwardji cesarskiej i uczestnik wojen napoleońskich, był ciężko ranny w bitwie pod Eylau. Aleksander I, który osobiście znał Grosa, przyjechał go odwiedzić i zapytał, jaką nagrodę pragnie otrzymać. Gros, z jakichś powodów rozgniewany na miejscową policję, zamiast o nagrodę, prosił, żeby mu pozwolono spokojnie dożyć końca żywota w swoim majątku, Repszach. Prośba została spełniona: imiennym ukazem carskim wzbroniono policji i miejscowej administracji wjazdu do Repsz. Rozkaz ten był natychmiast wydany, opublikowany i nawet podobno umieszczony na słupach przydrożnych, na granicach Repsz. Nadzwyczaj ciekawy i charakterystyczny dla ówczesnych stosunków rosyjskich jest fakt, że ukaz ten ściśle wypełniano w ciągu całego życia starego Grosa, który, pomimo ciężkiej rany, przeżył Aleksandra I, całe panowanie Mikołaja I-go i umarł dopiero po powstaniu polskim, t. j. w czasie panowania Aleksandra II. Administracja miejscowa unikała wogóle przejazdu przez Repsze; jeżeli zaś osoba urzędowa przypadkowo nie mogła ich ominąć, to na terytorjum repszańskim przywiązywano dzwonek do dyszla, co oznaczało, że przejazd ma charakter prywatny. Do dworu znów „władze“ zajeżdżały jedynie w razie otrzymania na to

pozwolenia właściciela. Okoliczność ta podnosiła bardzo powagę Grosa wśród miejscowych chłopów, i tem się zapewne tłumaczy, że Rosjanie, zrabowawszy doszczętnie Zemelany, nie tknęli Repsz, odległych zaledwie o kilka kilometrów.

W czasie powstania stary Gros miał około 90 lat i był zupełnie apatyczny na wszystko. Kiedy wuj Seweryn wyruszał do partji, poszedł pożegnać ojca. Stary Gros zapytał tylko syna: „Tu iras?” I kiedy ten odpowiedział, że idzie, postukał palcem w czoło, co miało oznaczać, że syn ma bzika, i, odwróciwszy głowę, nie przemówił ani słowa więcej. Tak samo apatycznie przyjął wiadomość o rozgrabieniu Zemelan; ciotka z siedmiorgiem dzieci, przybywszy do Repsz, umieściła się w oficynie. Nazajutrz stary Gros, zobaczywszy przez okno dziatwę, biegającą koło oficyny, zapytał, skąd się tam wzięły dzieci; otrzymawszy zaś odpowiedź, że to jego wnuczęta, wypędzone z Zemelan, nie okazał chęci zobaczenia synowej i więcej nie interesował się swymi przymusowymi gośćmi.

Dziwne były dalsze losy wuja Seweryna Grosa. Po rozbiciu partji jego pod Popielanami, Rosjanie, nie znalazłszy ciała dowódcy między poległymi, zarządzili poszukiwania po wszystkich zakątkach ziemi kowieńskiej i wyznaczyli cenę za jego głowę. Tymczasem wuj, z właściwą sobie brawurą, wrócił do Zemelan i zamieszkał u żyda Bencla, który dzierżawił od niego karczmę w miasteczku. Bencel prowadził również handel zbożem, był w stosunkach z zagranicą; związany przez ojca swego i dziada kilkudziesięcioletnimi sto-

sunkami z rodziną Grosów, chętnie podjął się wywieźć wuja zagranicę.

Pomógł szczególnie talent poliglotyczny wuja, który władał doskonale głównymi językami europejskimi, nadto, traktując to jako żart, nauczył się żargonu. Ben-cel skorzystał z tej okoliczności i, przebrawszy wuja za furmana żydowskiego, wyjechał z nim do Libawy, gdzie właśnie ładowano zboże Bencla na okręt angielski. Oczywiście w porozumieniu z kapitanem statku, Ben-clowi udało się obejść rosyjski dozór celny w ten sposób, że w czasie ładowania statku zbożem, przeniósł on wuja na okręt w koszu na własnych plecach.

Dopiero na pełnym morzu wuj wyszedł z kosza, wysiadł zaś w Anglii. Po pewnym czasie przyjechał do Paryża, gdzie, jako znany ornitolog, wziął udział w wyprawie naukowej na przylądek Dobrej Nadziei. Tam, przy przejeździe łodzią z jednej wysepki na drugą, wyprawę spotkała silna burza. Łódź się przewróciła, i z 8-miu członków wyprawy uratował się tylko jeden, Taczanowski (zapewne późniejszy dyrektor Muzeum Przyrodniczego przy Uniwersytecie w Warszawie), który o tragicznej śmierci Seweryna Grosa zawiadomił rodzinę i przesłał ślubną obrączkę wuja.

Po kilku latach sekwestru Moskale zwrócili majątek Zemelany rodzinie, gdyż stary Gros przezornie przekazał go prawnie nie synowi, lecz wnukom. Obecnie odebrali go Litwini, Repsze zaś dotychczas są w posiadaniu jednej z córek wuja Seweryna Grosa.

*

*

*

W Telszach, na wzgórzu, wśród miasteczka stoi klasztor oo. bernardynów. W klasztorze był konwikt, w którym kształciła się dziatwa bogatych ziemian okolicznych. Uczyli się tam i moi dwaj starsi bracia; ja nie miałem jeszcze skończonych 8 lat i dlatego zostałem w domu, nudząc się fatalnie, bo uważałem za nieodpowiednie dla siebie bawienie się z młodszem rodzeństwem. Rodzice, którzy wogóle byli dla mnie nadzwyczaj dobrzy, pozwalali mi od czasu do czasu na parodniowy pobyt w klasztorze, gdzie mogłem się wybawić z braćmi dowoli.

Wśród mnichów miałem przyjaciela, o. Benedykta. Ten w czasie bytności mojej w klasztorze stale się mną zajmował, bawił się ze mną i wyprowadzał na spacer do ogrodu klasztorowego, skąd roztaczał się piękny widok na leżące u stóp wzgórza ożywione miasteczko żydowskie, rozciągające się aż do brzegu dużego Telszewskiego jeziora, za którem widać było dalekie pola i lasy.

W parę miesięcy po „polowaniu“ w Krepsztach bawiłem właśnie w klasztorze u braci, gdy do celi wpadł o. Benedykt i, chwyciwszy mię za rękę, zawołał: „Chodź, pędraku! Ojca twego wiozą Moskale!“ Nie rozumiejąc o co chodzi, porwałem futerko i czapkę i wybiegłem za mnichem przed klasztor, wołając: „Gdzie, gdzie?“ O. Benedykt wskazał mi czerniejące na lodzie jeziora mrowisko ludzi i koni, powoli zbliżające się do miasteczka. Wkrótce rozpoznałem idącą w ordynku część 13-go pułku dragonów, oraz, harcujących dokoła „ławą“ kozaków z 5-go pułku dońskiego. Dowodził od-

działem pułkownik, baron Raden, Kurlandczyk, którego znałem dobrze, gdyż bywał często w Krepsztach u moich rodziców.

O. Benedykt wyprowadził mię za furte klasztoru na ulicę i kazał czekać. Wkrótce pochód przedostał się z jeziora do miasta, dążąc na główną ulicę, która biegła u stóp klasztoru, gdzie mieściły się ówczesne władze rosyjskie. Otoczony zwartą gromadą dragonów i kozaków, ukazał się prosty wóz drabiniasty, zaprzężony cugowemi końmi, na którym siedział pogrążony w zadumie mój ojciec. Obok niego umieścił się kapitan żandarmów, Krzyżanowski, Polak. Naprzeciwko ojca dwóch żandarmów z dobytymi pistoletami.

Zobaczywszy to, padłem na kolana i, widząc, że ojciec zamyślony mija mię, nie spostrzegłszy swego syna, począłem płakać, przeraźliwie wołając: „Tatusiu! to ja! Twój Broniś.“ Pomimo zgiełku ojciec musiał usłyszeć mój głos, gdyż błyskawicznie zerwał się z siedzenia, szukając mię oczyma. Lecz w tej samej chwili żandarmi schwycili go za ręce i posadzili na miejscu. Tylko zdaleka przeżegnał mię szerokim krzyżem.

Tuż za wozem, na którym wieziono ojca mego, posuwała się ciężka karetą zimowa na saniach, zaprzężona „w szydło“, w której jechała matka, również w otoczeniu kozaków. Czy serce matczyne usłyszało mój krzyk, czy może lokaj (stary Wincenty, który całe życie spędził u nas), albo woźnica zobaczyli mię klęczącego na śniegu u furty klasztornej i rzewnie płaczącego — nie wiem: dość, że karetą się zatrzymała, matka wyskoczyła do mnie i, z trudnością przecisnąwszy się między

napierającemi zewsząd końmi dragonów i kozaków, wciągnęła mię do karety. Zawieziono nas do prywatnego mieszkania dowódcy pułku dragonów, barona Radena, gdzie był już mój ojciec, którego miano natychmiast wysłać dalej do Wilna. Z konwiktu wezwano moich starszych braci. Ojciec wyszedł do nas w towarzystwie oficera żandarmów, który nie opuszczał go ani na chwilę. Pamiętam, że gdy nas żegnał i błogosławił, drżały mu usta. Potem kazał nam ukłęknać, podnieść prawe ręce do góry i przysięgnąć, że będziemy słuchać matki, nigdy nie sprzeniewierzimy się naszej polskości, nie pozwolimy użyć się na szkodę własnej ojczyzny. Przysięgliśmy.

Scena ta wywarła na mnie wrażenie piorunujące i utkwiała w pamięci na całe życie. Dziś, u schyłku dni swoich, mam ją tak jasno przed oczyma, jakby to się stało przed chwilą. To też, gdy okoliczności zmusiły mię do służby w wojsku rosyjskiem, gdy, po złożeniu odpowiednich egzaminów, 22-go listopada 1875 roku otrzymałem szarżę oficerską w jednym z pułków lejbgwardji, konsystujących w Warszawie, w obawie, by mnie nie użyto przeciwko moim rodakom, natychmiast wszcząłem starania o translokację na Wschód. I 2-go marca 1876 roku zostałem już przeniesiony do liniowych wojsk Turkiestanu, zamieniwszy ponętny pobyt w Warszawie i w lejbgwardji na ciężką służbę na kresach państwa rosyjskiego. W Turkiestanie, na Dalekim Wschodzie i w Astrachaniu spędziłem 35 lat i wróciłem do Warszawy dopiero w roku 1910, jako emerytowany generał dywizji i b. hetman kozacki.

Natychmiast po pożegnaniu nas, wyprowadzono ojca na dziedziniec, gdzie stały dwie bryczki pocztowe, zaprzężone każda w trójkę koni. Do jednej z nich wsadzono ojca, obok niego umieścił się oficer żandarmski, a naprzeciwko — żandarm, do drugiej wsiadł żandarm i dwóch dragonów z karabinami. Ojca wywieziono do Wilna. Matka zaraz pojechała za ojcem; nas zawieziono do Krepszt.

Było to pierwsze aresztowanie polityczne w ziemi kowieńskiej, które rozniosło się szerokim echem po kraju. Pamiętam, opowiadano, że ojca wieziono do Telsz przez jezioro, gdzie właściwie żadnej drogi nie było, lecz chodziło o to, żeby ominąć „Cegielnię“, tam bowiem podobno zebrała się młodzież miejscowa, żeby go odbić. Wtedy jeszcze Moskale unikali przelewu krwi.

Potem matka mi opowiadała, że o mającym nastąpić aresztowaniu ojciec był w przeddzień uprzedzony anonimową kartką, przywiezioną przez nieznanego żyda, w której radzono ojcu ucieczkę za kordon odległy zaledwie o 45 — 50 kilometrów. Lecz ojciec tak wierzył swej służbie, że był przekonany o bezowocności rewizji i uciekać nie chciał. Nadto miał na składzie w śpichrzu znaczny zapas karabinów belgijskich, upakowanych w skrzyniach po 10 sztuk, a dostawionych przez włocho Banoldiego, które trzeba było usunąć.

Tymczasem wśród najbliższego otoczenia był ktoś, co zdradzał. W czasie rewizji ojciec siedział u siebie w gabinecie i pisał dla matki instrukcję, dotyczącą spraw majątkowych. Nagle wszedł kapitan żandarmów, Krzyżanowski, oświadczając, że nie będzie prze-

wracał całego domu do góry nogami, prosi tylko ojca, aby na chwilę wstał z gębokiego fotelu, na którym siedział. Wziął scyzoryk, nadpruł pokrycie fotelu i wyciągnął stamtąd całą korespondencję ojca z Rządem Narodowym w Warszawie. Potem już podejrzenie padło na Niemkę, bonę dwóch młodszych braci, którą odprawiono.

Z karabinami nie poszło żandarmom tak łatwo. Część ich ojciec w nocy przewiózł do pobliskiego lasu i tam zakopał przy pomocy oddanych sobie ludzi; część zaś była „zatopiona“ w śpichrzu, w dwupiętrowym zasieku z przygotowanym na wywóz zagranicę siemieniem lnianem. Ciężkie paki z karabinami, postawione sztorcem, swym własnym ciężarem opuściły się na dół. Żandarmi musieli coś nie coś wiedzieć o zapasach broni, bo kazali kozakom kłuć pikami zasieki ze zbożem, lecz szczęściem piki nie natknęły się na paki z bronią, którą powoli, nocami, wydobywali lokaj Wincenty i starszy furman Benedykt, wywieźli do lasu i zakopali, a potem użyto jej na uzbrojenie partji Stಾನiewiczza, bliskiego krewnego mojej matki.

W Wilnie matce nie udało się nic zrobić w sprawie ojca. Wielkorządca tamtejszy, admirał Nazimow, który znał moich rodziców i przy objeździe kraju zatrzymywał się w Krepsztach po parę dni, polując u nas, wymawiał się instrukcjami, otrzymanymi z Petersburga, i zapewniał matkę, że powinniśmy być mu wdzięczni za aresztowanie i wywiezienie ojca, gdyż on odjeżdża, Murawjew zaś, który go ma zastąpić, pewnieby ojca powiesił na zasadzie danych, ustalonych przez śledz-

two i rewizję. Wreszcie ojca wywieziono do Petersburga, do rozporządzenia szefa żandarmów, matka zaś, dowiedziawszy się, że na Krepszty ma być nałożony sekwestr, śpiesznie wróciła do domu, żeby sprzedać zboże i okowitę z gorzelnii i zebrać trochę gotówki.

Rzeczywiście, wkrótce nadeszło rozporządzenie o nałożeniu sekwestru na wszystkie dochody z majątku. Zarządcą mianowano miejscowego „sprawnika“, kapitana Aleksiejewa, który z żoną, wychrzczoną żydówką, przeniósł się do Krepszt.

Dla nowego zarządcy przeznaczono słoneczne skrzydło domu, wychodzące na ogród, gdzie były pokoje dziecinne, nas zaś, dzieci, przeniesiono do olbrzymiego pokoju stołowego, rozdzieliwszy go szafami. Zaczęło się ciężkie życie z gotówki, mieszkając bowiem we własnym majątku, trzeba było kupować każde jajko od własnych kur, każdą szklankę mleka od własnych krów.

Taki stan rzeczy trwał do roku 1866, kiedy nastąpiła przymusowa sprzedaż Krepszt, nas zaś, jako dzieci ojca, pochodzącego z Królestwa, wysiedlono do Warszawy. Według prawa z roku 1865, przymusowej sprzedaży w ciągu roku podlegały wszystkie majątki zesłańców, lecz kupować je wolno było tylko Rosjanom, albo uprawnionym do tego Niemcom. Na sprzedaż od razu przeznaczono wiele majątków, a kupców nie było; po roku niesprzedane rząd oddawał za byle co swoim urzędnikom. Krepszty dostały się temu samemu Aleksiejewowi za 8.000 rs., z wypłatą, rozłożoną na kilka lat, t. j. właściwie rodzicom zabrano majątek darmo.

*

*

*

Lato. Los ojca był postanowiony. Deportowano go na Syberję.

Przez stosunki udało się zatrzymać ojca na czas jakiś w Petersburgu, i matka jechała tam, by go pożegnać i opatrzyć na drogę. Wzięła mię z sobą. Reszta rodzeństwa została pod opieką ciotki. Jechaliśmy własnymi końmi do Rygi, dalej statkiem do Petersburga.

W Telszach trzeba było zaopatrzyć się w dwie przepustki: od rządu rosyjskiego i od komisarza Rządu Narodowego. Zajęli się tem faktorzy żydzi. Wspominając potem tę okoliczność, nie mogłem sobie wyjaśnić, w jaki sposób w małym miasteczku dwie wrogie władze mogły istnieć obok siebie. Pokazało się, że bezpieczeństwo komisarza Rządu Narodowego było zagwarantowane przez miejscowy rabinat.

Do pokoju, zajętego przez matkę, przyszedł właściciel zajazdu, znany i ogólnie lubiony przez ziemian. Był to stary Josel, z dużą siwą brodą i takimiz pejsami, w czarnym atlasowym żupanie i w wysokiej, wutowanej krymce.

Na pytanie matki, usiadłszy przy samym końcu stołika, na którym szumiał samowar, Josel z ukłonem przyjął szklankę herbaty i począł poufnie informować „jaśnie panią marszałkową“ o ruchu powstańczym i o najświeższych nowinach. Pokazało się, że najbliższe na naszej drodze miasteczko, Siady (o 20 kil. od Telsz), zajęte jest przez partję Staniewicza, bliskiego krewnego matki. Rosjanie nagwałt rekwirują furman-

ki u okolicznych chłopów i właśnie dzisiaj w nocy mają uderzyć na powstańców, których konne pikiety stoją w najbliższym od Telsz lesie.

Josel radził przeczekać parę dni w Telszach, aż wyprawa się skończy, i Rosjanie wrócą do Telsz. Lecz matka nie zgodziła się, chcąc jak najprędzej wyjechać do Siad, by uprzedzić naczelnika partji o przygotowywanym napadzie. Słuchałem tych poufnych zwierzeń z najwyższem napięciem, drżąc z niecierpliwości zobaczenia wreszcie powstańców, o których ciągle tyle słyszałem, ale których jeszcze nigdy nie widziałem.

Nareszcie formalności były załatwione, i przed wieczorem wyruszyliśmy z Telsz, na Siady, drogą do Mitawy. Jechaliśmy ciężkim koczem, na stojących resorach, wyładowanym po brzegi i zaprzężonym w 6 koni cugowych z forysiem. Szeroko otwartemi oczyma wpatrywałem się w zapadający zmrok, w nadziei, że ujrzę oczekiwanych powstańców. Matka, w obawie, że się zdrzemnę i wypadnę z kołyszącego się na zlej drodze powozu, ułożyła mię na siedzeniu za sobą, gdzie zasnąłem nadobrze. Nagle poczułem, że powóz się zatrzymał. Zerwałem się i wyjrzałem z za pleców matki. Zobaczyłem, że otoczyli nas jacyś jeźdźcy, którzy majaczeją w mroku. Dwu z nich stoi pieszo przy powozie. Oczywiście muszą znać matkę, bo ją w ręce całują i rozmawiają wesoło. Przy świetle latarni powozowej dostrzegam, że są to ludzie zupełnie młodzi, ubrani w popielate czamarki z czarnemi szamerowaniami i w konfederatki. Szczególnie wpadła mi w oczy wesoła twarz jednego z nich, z niewielkim czarnym zarostem.

Na zapewnienie matki, że Moskale gotują wyprawę i dziś w nocy osaczają Siady, śmiał on się głośno, błyskając białymi zębami i wołając: „Ależ prosimy drogich gości, od tygodnia już czekamy“.

Zwróciłem uwagę, że powstańcy na plecach mają dubeltówki, nie karabiny. Znałem się już wówczas na broni, bo miałem własną, krótką dubeltówkę, z której wolno mi było strzelać do wron w ogrodzie. Zresztą w gabinecie ojca na ścianie wisiał cały arsenał najrozmaitszej broni i przyborów myśliwskich. Zadałem więc sobie pytanie, czy powstańcy strzelają do Moskali śrutem, lecz zaraz myśl tę odrzuciłem, mówiąc sobie w duchu, że pewnie strzelają loftkami, jak tatuś do wilków lub jeleni.

Wkrótce pojechaliśmy dalej, serdecznie żegnani przez pikietę powstańczą, i dotarliśmy do Siad. Dwór był rześście oświetlony. Wewnątrz grała kapela żydowska, a młodzież tańczyła ochoczo. Usłyszawszy turkot za jeżdżającego powozu i bohaterskie palenie z bata, którym woźnica Benedykt zawsze sygnalizował wjazd na dziedziniec, tańczący wylegli na ganek, gromadnie otoczyli powóz, uprzejmie zapraszając do wnętrza. Wybiegł i Staniewicz. Poznawszy matkę, począł ją gorąco prosić, by weszła, lecz matka się nie zgodziła i, uprzedziwszy o przygotowanej wyprawie, kazała jechać dalej, żeby wycofać się z terenu zbliżającej się walki. Na mnie Staniewicz, ubrany w czarną zapiętą czamarkę, bez żadnej broni, nie zrobił wrażenia. Nie takim wyobrażałem sobie dowódcę partji powstańców.

Zanocowaliśmy o 12-15 kilometrów od Siad, przed

jakaś karczmą w lesie, nie wysiadając z powozu, kazał tylko konie wyprząc. O świcie przyjechał konno żydek, zawiadamiając swych współwyznawców z zajazdu, że partja powstańców została rozbita, a Siady Moskale rabują i palą. Tę hiobową wieść natychmiast powiózł on dalej wzdłuż traktu. Matka też kazała śpiesznie zaprzęgać, żeby prędzej wydostać się z gubernji kowieńskiej do Kurlandji, gdzie warunki podróży były bezpieczniejsze.

Dalszej drogi przez Mitawę, Rygę i morzem do Petersburga zupełnie nie zachowałem w pamięci.

Pamiętam tylko, że w Rydze mostu stałego przez Dźwinę nie było, przejeżdżaliśmy przez most pływający z belek, spojonych łańcuchami. Przy wjeździe ciężkiego koczna na most woda wytryskiwała między belkami, co tak straszło przyprzążkowe konie, że trzeba je było wyprząc i prowadzić w rękę.

W Petersburgu zamieszkaliśmy u pani Paszkiewiczowej, krewnej sąsiadów naszych, majorostwa Korybut-Daszkiewiczów z Likszel, którzy dali nam stosowne rekomendacje. Ojciec był w więzieniu tymczasowem, t zw. „peresyłocznoj tiurmie“, które się mieściło w Zamku Litewskim, na Kriukowym kanale, zaraz za teatrem Maryjskim.

Generał-gubernatorem Petersburga, którego władza obejmowała więzienie polityczne, był książę Suworow, człowiek dobry i nieuprzedzony do Polaków. Na audjencję matka wzięła mię z sobą i kazała mi wręczyć księciu prośbę o pozwolenie odwiedzenia ojca i o rozmaite ulgi. Gdy wyszedł książę, wysoki, szczupły sta-

rzec, tak mię olśniła wielka ilość gwiazd i orderów, które mi zasiany był jego mundur, że omal języka w gębie nie zapomniałem. Ocknąłem się ze zdumienia, trącony przez matkę, gdy ksiązę stał już przede mną i pytał: „A ty co tu robisz?“ „Proszę za ojcem“—odpowiedziałem po francusku i podałem napisaną prośbę. Ksiązę ją przyjął i oddał adjutantom; podniósł mię za ramiona w górę, pocałował w twarz i, postawiwszy na ziemi, począł rozmawiać z matką. Po chwili polecił nam poczekać, oznajmiwszy, że przyjmie nas oddzielnie, po skończonej audjencji ogólnej. Usunęliśmy się z matką na bok. Ja oczu oderwać nie mogłem od błyszczącego munduru, obwieszzonego orderami.

Po skończonej audjencji, ksiązę podszedł do matki i szczegółowo wypytywał ją o nasze położenie. Pamiętam, że matka mówiła nadzwyczajnie gorąco, polykając łzy, które, pomimo wysiłków, by je powstrzymać, obficie płynęły z jej oczu: uprzedzano ją bowiem, że ks. Suworow płaczu nie znosi, i widząc płaczącą interesantkę, odchodzi. W trakcie rozmowy ksiązę trzymał rękę na mojej głowie, wicherząc mą długą czuprynę. Po chwili położenie się wyjaśniło: ksiązę nie chciał pozwolić matce widywać ojca częściej, niż raz na tydzień, bo zesłańców, siedzących w „Pieresylnoj“, było mnóstwo, i przywileje, przyznane matce, należałoby nadać i innym rodzinom; lecz sam ksiązę zaproponował obejście regulaminu więziennego: ojciec niech się poda za chorego, ja zaś codziennie będę mu przynosił obiady, stanowiąc w ten sposób łącznik między rodzicami. Usłyszawszy to, nie mogłem powstrzymać wybuchu uczucia wdzięcz

ności i gorąco pocałowałem rękę, leżącą na mojej głowie, co znowu tak rozrzewniło księcia, że, nie schylając się (na co pewnie nie pozwalał mu gorset pod mundurem), uniósł mię za ramiona do wysokości swej twarzy i, serdecznie ucałowawszy, postawił na ziemi.

W kilka minut sprawa była załatwiona. Z rozkazu księcia przygotowano krótki rozkaz do administracji więziennej; książę go podpisał i wręczył matce. Wyszliśmy uszczęśliwieni.

Od tego dnia poczęły się codzienne podróże moje z zaufka „Kirpiecznego“ na „Kriukow-kanal“ w towarzystwie starego Wincentego, który niósł obiad dla ojca. W bramie więzienia straż nazywała mię „małym buntownikiem“ (miatieżnik) i dobrodusznie przepuszczała do wnętrza, nie podejrzewając, że na lewej nodze miałem pończochę o podwójnej pięcie, gdzie starannie był wsunięty liścik od matki do ojca, ze sprawozdaniem o tem, co się matce udało zrobić w ciągu doby. Starego Wincentego zatrzymywano w bramie, do wnętrza więzienia wchodziłem sam, w towarzystwie żołnierza, który niósł menażki z obiadem.

Pamiętam, że ojciec był umieszczony w obszernej sali, gdzie stało 18 czy 20 łóżek, zajętych przez zesłańców-Polaków. Z powodu froterowanej posadzki i absolutnej czystości, jaka tam panowała, sala nie wywierała na mnie wrażenia więzienia. Najbliższym sąsiadem ojca był mecenas Bociarski z Wilna, później znany komity adwokat i działacz społeczny w tem mieście.

Po wyjęciu kartki z pończoszki, ojciec odczytywał ją i natychmiast niszczył. Odpowiedzi nie pisał, bo bał się

rewizji. Natomiast uczył mię napamięć wszystkiego, co miałem powiedzieć mateczce, i dopiero, po szczegółowem zdaniu egzaminu, wyruszałem zpowrotem do domu.

Zdarzały się dni dla mnie szczęśliwe, kiedy na sali bywało łóżko wolne: wtedy ojciec, z zezwoleniem władzy więziennej, która, jak teraz z tego zdaję sobie sprawę, była dość względna dla więźniów, pozostawiał mię na noc wśród zesłańców, co napelniało mię dumą.

Tak minęło kilka tygodni. Partje więźniów zmieniały się, a ojciec, dzięki zabiegom matki, ciągle siedział w „Pieresylnoj“.

Zbliżał się koniec lata i, co za tem idzie, przerwanie żeglugi na Wołdze. Trzeba było się śpieszyć z wyskaniem dogodnej drogi Wołgą aż do Permu, skąd dalszą podróż na Sybir odbywało się na „pierekładnych“, t. j. w kibitce pocztowej, zmienianej na każdej stacji.

Matce udało się znaleźć protekcję do hr. Szuwałowa, ówczesnego szefa żandarmów w Rosji, na mocy swego pokrewieństwa z hr. Ostromecką, która była matką Szuwałowa. Dzięki temu ojca wydzielono z partji i pozwolono mu jechać na koszt własny, musiał on jednak wziąć z sobą żandarma, którego podróż tam i zpowrotem trzeba było opłacać samemu.

Nadszedł dzień odjazdu!

Pamiętam, przybyliśmy na dworzec Mikołajewski, dokąd przywieziono ojca w karetkę więziennej i zaraz przeprowadzono do wagonu więziennego z zakratowanemi oknami.

Pożegnanie było przelotne. Zalewając się łzami, zdą-

żyłem tylko ucałować błogosławiącą mię rękę ojcowską, gdyż straż więzienna, aby uniknąć ciekawości tłumu, zgromadzonego na peronie, wsadziła ojca czem prędzej do wagonu.

Powrotu do Krepszt nie zachowałem zupełnie w pamięci.

Ojca zobaczyłem dopiero w kilka lat potem w Warszawie, dokąd wysłano nas z Litwy, jako stałych mieszkańców Kongresówki. Był wymizerowany z widocznymi śladami ciężkiej, nabytej na Syberji choroby piersiowej, która doprowadziła go do grobu.

Z tego okresu życia przypominam sobie, jako dobrego znajomego ś. p. Ojca mego, ministra Erazma Piltza.

Z DZIEJÓW RYWALIZACJI ROSYJSKO- ANGIELSKIEJ W AZJI

I

ALEKSANDER III CHCE „BOLEŚNIE UKAŚCIĆ ANGLJĘ“

W roku 1888 byłem urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy gubernatorze Fergany, generale dywizji Korolkowie, człowieku rzadkiej szlachetności i, korzystając z każdego polecenia służbowego, szczególnie wśród szczepów kirgiskich, koczujących w górach, z zamiłowaniem oddawałem się polowaniom całymi tygodniami, tropiąc grubego zwierza rozmaitych gatunków.

Właśnie podczas jednej z takich wycieczek zaprzepaciłem się w górach dłużej niż zwykle, gdy nagle zjawił się dżygit z listem generała Korolkowa, wzywającym mnie jak najspieszniej do Margelanu, stolicy ówczesnej Fergany, z poleceniem stawienia się u niego zaraz po przyjeździe o każdej porze dnia lub nocy.

Zaniepokojony pośpieszyłem do domu, gdzie służba mi powiedziała, że generał przysyłał po mnie kilkakrotnie, nakazując stawić się bezzwłocznie po przyjeździe. Więc, mimo późnej pory nocnej, udałem się do mieszkania gubernatora wojennego.

General spał. Rozbudzony przez ordynansa, przyjął mię natychmiast i, po gorącym kazaniu na temat, że nie wolno mi przepadać tygodniami w górach, nie pozostawiając wskazówek, gdzie trzeba mię szukać, zapytał, skąd zna mnie minister wojny. Odpowiedziałem, że wiem tylko, iż ministrem wojny jest generał Wannowski, ale nie znam go i absolutnie nie wiem, skądby mógł wiedzieć o mnie. Wtedy generał pokazał mi poufny telegram wielkorządcy Turkiestanu, generała adjutanta Rozenbacha, zawiadamiający, że z rozporządzenia ministra wojny mam jak najspieszniej być wysłany do Petersburga i stawić się w Wojskowo-naukowym Komitecie Sztabu Generalnego. Równocześnie wielkorządca poleca zapytać mię, w jakiej sprawie jestem wezwany do Petersburga.

Nie nie wiedziałem. Byłem wtedy w stopniu porucznika na dalekich kresach w głębi Azji, stosunków nie miałem żadnych i w Petersburgu nie byłem od czasu wystąpienia z gwardji, t. j. od 13 lat.

Korolkow wręczył mi przygotowane dokumenty podróży oraz pieniądze i polecił natychmiast wyjechać. O świcie ruszyłem w podróż, która w owe czasy była niełatwa. Kolej środkowo-azjatycka zaczynała się dopiero od Samarkandy, i z Margelanu trzeba było jechać 700 kilometrów końmi pocztowymi. W Uzun Ada, na brzegu morza Kaspijskiego, przesiadało się na statek, który przewoził na drugi brzeg morza, do Baku, stamtąd — koleją do Tyflisu, skąd znowuż końmi po najwspanialszej w Rosji szosie, przez główne pasmo gór Kaukaskich do Władykaukazu. I tam nakoniec

trafiało się do wagonu, z którego się wychodziło już w Petersburgu.

Pędziłem dzień i noc i na 10 dobę, o 8 z rana stanąłem w Petersburgu, o 9 zaś byłem już w poczekalni Komitetu Wojskowo - naukowego Sztabu Generalnego. Wkrótce zjawił się referent Komitetu, rotmistrz szt. gen. Żyliński (późniejszy generał-gubernator warszawski) i, przyjrzawszy się ciekawie nieznanemu porucznikowi aż z Azji Środkowej, oznajmił mi, że wprawdzie wezwany jestem przez ministra wojny, ale mam się stawić u generała Kuropatkina, który prawdopodobnie nadejdzie wkrótce.

Kuropatkina, późniejszego wodza naczelnego armji rosyjskiej w wojnie japońskiej, znałem w latach 1875—76, kiedy służyliśmy razem przy generale świty cesarskiej, Skobielewie, w okresie zdobywania chanatu Kokandzkiego. Kuropatkin w stopniu sztabs-kapitana sztabu gen. był szefem sztabu oddziału wojsk Skobielewa; ja w stopniu chorążego pełniłem służbę polowego adjutanta generała.

Kuropatkin uczestniczył w wojnie tureckiej oraz w zajęciu Merwu i, szybko robiąc karierę wojskową, był już w randze generała. Ja polubiłem Turkiestan, przeszedłem do administracji wojskowej tego kraju i siedziałem tam w stopniu porucznika, więcej ceniąc swobodę włóczęgi myśliwskiej po przepięknym świecie bożym, niż wszelkie stopnie i awanse.

W czasie, o którym mówię, Kuropatkin opracowywał plan obrony zachodniej granicy Rosji przed Niemcami, przedsięwzięty z polecenia cesarza Aleksan-

dra III, który może pod wpływem żony swej, Marji Teodorówny (córkę króla duńskiego, Chrystjana) nie lubił Niemców i powoli przygotowywał się do śmiertelnego starcia. Prace prowadzono w nadzwyczajnym sekrecie, w 2-ch pokojach, nie mających innego połączenia nad schody kręcone, prowadzące na górę wprost z gabinetu naczelnika Komitetu wojskowo-naukowego, generała dywizji Feldmana. Klucz od tego pomieszczenia miał zawsze Kuropatkin, a od gabinetu Feldman. Nawet sprzątanie tych pokojów odbywało się przez zaufanego wóźnego w obecności generalów.

Około 10 nadszedł Kuropatkin, serdecznie przywitał się ze mną i zaprowadził do siebie. Z ciekawością rozejrzałem się w tem historycznym pomieszczeniu. Były to dwa duże, jasne pokoje, zastawione stołami; na stołach leżały mapy i plany z różnokolorowemi chorągiewkami oraz wiele rozrzuconych papierów, z notatkami, pisanemi przeważnie ołówkiem.

Generał oświadczył mi, że cesarz Aleksander III, znudzony ciągłemi intrygami Anglików w sferze polityki zagranicznej Rosji, chciałby ich „boleśnie ukąsić“; ministerjum spraw zagranicznych, prowadzone przez Giersów i Lamsdorfów, jest tak zniemczone, iż przy każdej poważniejszej akcji straszy wojną z Anglią, której cesarz Aleksander chciałby za wszelką cenę uniknąć. Więc w rozmowie z ministrem wojny, w wydziale którego był cały Turkiestan, graniczący na ogromnej przestrzeni z Afganistanem, zapytał, czyby nie można przedsięwziąć czegoś niemiłego dla Anglii od strony Turkiestanu. Minister wojny nie był nigdy w Turkie-

stanie i nie znał tego kraju; porucił więc tę sprawę Kuropatkinowi, który zkolei, będąc w zażyłych stosunkach ze mną i wiedząc, że włóczę się ciągle po górach, mam dużo przyjaciół krajowców i jestem dobrze obeznany z miejscowemi stosunkami, wolał wezwać mnie, niż żądać wyjaśnień piśmiennych, które zawsze są jednostronne, i nadto przesyłanie ich pocztą ze względu na tajność sprawy jest niepożądane.

Byłem stropiony. Pędząc w ciągu 10 dni do Petersburga, oczywiście setki razy kombinowałem w umyśle przyczyny tak śpiesznego wezwania, przechodząc od najbardziej różowych do najczarniejszych przypuszczeń, co zresztą w Rosji, tym kraju wszelkich możliwości, jest rzeczą zupełnie naturalną; ta jednak kombinacja nawet na sekundę przez myśl mi nie przeszła. Zresztą od paru lat nie interesowałem się karierą Kuropatkina; nie wiedziałem, że się tak wybił i ma sobie poruczoną tak ważną sprawę.

Poprosiłem o czas do namysłu. Odpowiedział mi, że to niemożliwe, gdyż cesarz Aleksander III, będąc charakteru nieustępliwego, przy każdym raporcie zapytywał ministra o tę sprawę i niecierpliwiał się.

Trzeba więc było opracować projekt natychmiast, albo zaniechać go zupełnie i wrócić do Turkiestanu. Kuropatkin dał mi arkusz papieru i ołówek, posadził pod oknem, a sam zasiadł do pracy.

Przeniosłem się myślą do Turkiestanu, czyniąc przegląd stosunków pogranicznych. Nagle przypomniałem sobie, że w Samarkandzie mieszka Ischak-Chan, rodzony brat emira Abdurachmana afgańskiego, ży-

jąc ze skromnej pensji, którą mu wypłacał rząd rosyjski. Ischak-Chan był namiestnikiem emira w północnym Afganistanie, oraz w prowincjach Czar-Wilajetu, t. j. w Badaszchanie, Roszanie, Szugnanie i Wachanie; chcąc się uniezależnić, ogłosił się samodzielnym chanem, ale rozbity przez emira Abdurachmana, uciekł do Rosji i osiedlił się w Samarkandzie; z Ischak-Chanem mieszka około 200 wybitnych Afgańczyków, którzy pomagali mu w tej sprawie i, czując się skompromitowanymi, uciekli z nim razem, a teraz pędzą nędzne życie, otrzymując razem 1000 rubli miesięcznie, które wypłacał Ischak-Chanowi rząd rosyjski. Byli to ludzie wpływowi, mający rozległe stosunki w północnym Afganistanie i przytem nienawidzący emira Abdurachmana, który skonfiskował majątki uchoźców i skazał na śmierć znaczną liczbę ich najbliższych krewnych.

Taki element, zaopatrzony jako tako w broń i pieniądze, mógł nawarzyć gorącego piwa Anglikom, którzy za cenę ogromnych wysiłków, wypłacając emirowi Abdurachmanowi zawrotną na owe czasy sumę 1.200.000 rupij miesięcznie, utrzymywali protektorat swój nad Afganistanem, tworząc buforowe państwo między Rosją a Indjami.

Opisawszy powyższe stosunki, dodałem, że, według mego zdania, na początek dostatecznie będzie dać Ischak-Chanowi 1000 karabinów Berdana, 100.000 ładunków, 10.000 rubli srebrnych oraz na pewien czas ochronę z małego oddziału kozaków w najbliższej miejscowości od Amu-Darji, stanowiącej granicę Af-

ganistanu, póki Ischak-Chan nie zorganizuje własnej ochrony. Potem zaś należy pozostawić go własnemu losowi, wspomagając jednak pieniędzmi i orężem, gdyż czeka go walka nietylko z bratem, ale z Anglią, która popiera emira Abdurachmana.

Napisawszy to krótko ołówkiem, podałem Kuropatkinowi, który przeczytał mój referat z widocznym zadowoleniem i zaniósł go do ministra wojny, prosząc mię, bym tymczasem coś przekąsił, a następnie przyszedł do niego za 1½ — 2 godziny po odpowiedź.

Wróciwszy, zastałem Kuropatkina w wyśmienitym humorze. Okazało się, że minister Wannowski niebardzo wierzył w możliwość ogólnego powstania w Czar-Wilajecie, a tem bardziej w wypędzenie z północnego Afganistanu wojsk emira Abdurachman-Chana, o sprawności których miał przesadne wiadomości, ale nie wątpił, że położenie jest korzystne i, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, życzenie cesarza Aleksandra III „bolesnego ukąszenia“ Anglików, może się udać. To też, zalecając jak największą ostrożność, aby nie zdradzić udziału rządu rosyjskiego w tem przedsięwzięciu, w projekcie moim co do subsydjum Ischak-Chanowi dodał wszędzie cyfrę 0 i kazał wysłać mnie jak najspieszniej do Samarkandy dla omówienia tej sprawy z Ischak-Chanem.

Dowiedziawszy się, że Ischak-Chan ma dostać 10.000 karabinów, 1.000.000 ładunków i 100.000 rubli srebrnych oraz że mam go pod eskortą 2-ch secin kozaków dostawić nad brzeg Amu-Darji, znając miejscowe warunki i skłonność krajowców do rabunków, uwie-

rzyłem, że zaprojektowana awantura może mieć poważne następstwa. Razem z Kuropatkinem poczęliśmy energicznie biegać po urzędach, żeby, w myśl polecenia ministra wojny, otrzymać odnośne rozporządzenia co do wydania mi ze składów w Samarkandzie broni i ładunków, oraz pieniędzy z depozytów ministra wojny w kasie taszkienckiej.

Załatwiwszy wszystko i umówiwszy się z Kuropatkinem co do sposobu, w jaki będę go zawiadamiał o biegu sprawy, o 8 wieczorem wyjechałem zpowrotem do Samarkandy, przebywszy w stolicy tylko 12 godzin.

II

WYPRAWA NA AFGANISTAN

Po 7 dniach podróży stanąłem w Samarkandzie i poszedłem do Ischak-Chana, którego poznałem był już dawniej, kiedy przyjeżdżał do Margelanu celem odwiedzenia krewnych. Był zdumiony i nie chciał wierzyć swojemu szczęściu. Odbyliśmy naradę przy współudziale najwybitniejszych z jego stronników i postanowiliśmy, że Ischak-Chan natychmiast pośle swoich emisariuszów do Czar-Wilajetu celem propagandy, a ja będę częściowo wysyłał na „arbach“ broń i ładunki w stronę Termazu nad brzegiem Amu-Darji, gdzie stał nadgraniczny oddział wojsk rosyjskich. W ten sposób zjawienie się znacznego transportu ciężarów, pod ochroną kilku kozaków, będzie upozorowane zwykłą dostawą

intendentury dla termaskiego garnizonu i nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Dopiero po zbliżeniu się transportu z Amu-Darji miał zniknąć Ischak-Chan z pieniędzmi; lecz, bojąc się, by nie zatrzymały go władze bucharskie, które naturalnie o przygotowującym się zamachu nic nie wiedziały, wolał zrobić to w otoczeniu kozaków, którzy mieli być wysłani, jako pościg za nim.

Po omówieniu tych spraw z Ischak-Chanem, pośpieszyłem do Taszkientu, aby przedstawić sprawę wielkorządcy, którego zawiadomiono telegraficznie, że o poruczonem mi zleceniu zdam mu sprawę osobiście.

Generał-adjutant Rozenbach, spokojny Niemiec, nie lubiący żadnych zatargów lub niepewnych zarządzeń, wzburzony podjętą akcją, zawołał: „Tam zwarjowali“. Zreflektował się jednak odrazu, gdy się dowiedział, że myśl „bolesnego ukąszenia“ pochodzi osobiście od cesarza Aleksandra III. Mimo to jednak umył ręce od całej tej sprawy, mówiąc mi: „Otrzymasz pan wszystko, czego będziesz potrzebował, ale ja o tem nie wiem. Wmieszałeś się pan w awanturę. Jeżeli wpadniesz w ręce Afgańczyków, emir wsadzi pana na pal. Nie mogę dopuścić, żeby oficer w czynnej służbie był zamieszany w taką sprawę. Proszę natychmiast złożyć podanie o zwolnienie do rezerwy. Podanie będzie panu zwrócone, jeżeli wyjdiesz pan cało z tej historii“.

Podanie złożyłem i, odetchnąwszy swobodnie, pośpieszyłem do Samarkandy, gdzie razem z Ischak-Chanem gorączkowo zajęliśmy się przesyłką ciężarów, zakupami koni dla niego i świty. Ponieważ o ekspedycji wiedziało już dużo osób, i sprawa mogła się rozgłosić,

więc śpieszyliśmy się nagwałt, i coś na 4-ty dzień w nocy Ischak-Chan z kasą i świtą w otoczeniu 2-ch secin kozaków pod mojem dowództwem wyjechał z Samarkandy.

Przejeżdżając koło stacji telegraficznej, podałem króciutki telegram do Petersburskiej Ajencji Telegraficznej, że pretendent do tronu afgańskiego, Ischak-Chan, zbiegł ze świtą nocy dzisiejszej w niewiadomym kierunku. Po paru dniach wysłałem nową depeszę, że pościg natrafił na ślady zbiega i dąży za nim energicznie, i nakoniec trzecią, że Ischak-Chan zdołał zbiec przed pościgiem i przeprowił się na lewy brzeg Amu-Darji, na terytorjum afgańskie. Na tem akcja oficjalna rządu rosyjskiego była zakończona.

Tymczasem oddział nasz szybko przeszedł granicę bucharską i przecinał wschodnią Bucharę, dążąc w stronę Termazu i Amu-Darji. Granicę, której tak obawiał się Ischak-Chan, przeszliśmy, nie zatrzymując się, i główną kwaterę rozbiliśmy w wiosce Biształ o 30 kilometrów od Amu-Darji, wystawiwszy posterunki na brzegu rzeki. Byłem zdumiony masowym napływem stronników Ischak-Chana, którzy, otrzymawszy broń i zasilek pieniężny, formowali oddziały partyzanckie, żeby równocześnie napaść na oddziały emira Abdurachmana, zdawało się, nie podejrzewające bliskiego niebezpieczeństwa. Emir, zajęty wojną z sąsiedniemi: Kafiristanem i Czatrarem, ściągnął wojska bliżej teatru wojny, zostawiając w miastach Czar-Wilajetu tylko słabe garnizony.

Po dwóch tygodniach siły Ischak-Chana tak wzro-

sły, że postanowił uderzyć na stolicę północnego Afganistanu, miasto Mazar-i-Szeryf, i przeprowił się na lewy rzeb Amu-Darji, prosząc, ażebym zatrzymał się jeszcze parę dni, aż on zajmie stolicę i umocni się. Chociaż moja rola była skończona, chętnie odprowadziłem go do przeprawy, obiecując czekać na wynik wyprawy, żeby w razie niepowodzenia móc go ochronić. Rozstaliśmy się bardzo serdecznie: Ischak-Chan upewniał, że nie wątpi o zwycięstwie i będzie najszcześliwszy, jeżeli spotka mnie u siebie, jako rezydenta Rosji w Mazar-i-Szeryfie.

Przecucie go nie omyliło. Stolica, gdzie miał najwięcej stronników, poddała się bez boju, garnizon w panice uciekł, wzbudzając popłoch wśród innych garnizonów.

Po „nieudanym“ pościgu za Ischak-Chanem, wróciłem do Samarkandy, oddałem komendę nad kozakami i pojechałem na dawną placówkę do Margelanu.

Dalsze losy Ischak-Chana, którego w życiu więcej nie spotkałem, znane mi są tylko pobieżnie.

Zająwszy w ciągu miesiąca cały obszar ogromnej prowincji, Ischak-Chan kilkakrotnie zwracał się do Rosji, oddając się pod jej protektorat i prosząc o przysłanie broni, a szczególnie dział polowych i górskich, których nie miał zupełnie i kupić nie mógł, bo Anglicy nie sprzedaliby ich, Chińczycy zaś i Bucharezycy sami nie mieli. Rząd rosyjski, kokietując Europę swoją bezinteresownością w tej sprawie, wytargowywał od Anglii jakieś drobne ustępstwa na bliskim Wschodzie, sprzedając za przysłowiową misę soczewicy moż-

ność zajęcia ogromnych obszarów aż do Hindukuszu i bezpośredniego wpływu na kieszeń Anglii — Indje. O Ischak-Chanie zapomniano, i nie otrzymał on obiecanej pomocy. Tymczasem emir Abdurachman, energicznie popierany przez Anglję, przygotowywał się do zaciętej wojny z bratem.

W czerwcu roku 1889 wojska Abdurachmana, opatrzone nowożytnym orężem i górskimi działami, przeszły Hindukusz i poczęły bić Ischak-Chana, a w lipcu kampanja była skończona. Czar-Wilajet był znowu zdobyty, a Ischak-Chan uciekł do Samarkandy.

W tym czasie, z polecenia Towarzystwa Geograficznego i z funduszu następcy tronu, późniejszego cesarza Mikołaja II, odbywałem podróż naukową, dla zbadania nieznaných dolin Hindukuszu i Himalajów. Spuściwszy się w dolinę Murg-ob (źródła Amu-Darji), własnymi oczyma widziałem skutki straszliwej rozprawy emira Abdurachmana z nieszczęsnymi stronnikami Ischak-Chana.

W dzienniku podróży*) odnotowałem wówczas, co następuje: „W ciągu trzech dni spotykaliśmy bezustanny pochód uchodźców, uciekających do Rosji przed okrutną rozprawą Afgańczyków. Trzy dni szliśmy drogą, uslaną trupami ludzi i zwierząt, które, gnijąc, tak zatrwały powietrze, że wyprawa moja na noclegi musiała zatrzymywać się daleko od drogi. Wszędzie spotykaliśmy chorych, ranionych lub wycieńczo-

*) Str. 9. Sprawozdania B. L. Grąbczewskiego na specjalnem zebraniu Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego, z dnia 10 stycznia 1891 roku.

nych drogą; długim sznurem ciągnęły kobiety z dziećmi u piersi lub na plecach. Słowem, na każdym kroku spotykaliśmy obrazy takiej rozpacz, która możliwa jest tylko w Azji, gdzie jeden władca, zawojowawszy państwo drugiego, wycina w pień całą ludność i kraj obraca w pustynię. Ekspedycja moja opatrywała rannych, chorym dawała lekarstwa, dzieliła się skromnymi zapasami żywności, ale to była kropla w tem morzu okrutnej nędzy“.

W wiosce Sarez, miejscu urodzenia Dżarnejla Seid Ali Chana, który z pułkiem swoim przeszedł na stronę Ischak-Chana, a potem wpadł w ręce emira, stała klatka z żelaznych prętów z gnijącym ciałem pułkownika; ciało umieszczono w ten sposób, że głowa sterczała nad klatką, a ciało w klatce, tak, że człowiek w klatce nie mógł nawet usiąść. W tej klatce obwożono Seida Ali Chana *) po większych miastach Czar-Wilajetu, nie dając mu spać, karmiąc go tylko produktami słonemi i nie dając wody. Po śmierci klatkę wraz z ciałem odesłano do Sarezu i ciała zabroniono pogrzebać.

Mieszkańcy, poznawszy we mnie oficera rosyjskiego, padali na kolana, całowali obuwie, prosząc, bym dał znać Białemu Cesarzowi, żeby prędzej przysłał wojska przeciwko Afgańczykom, którzy młode kobiety całej prowincji oddali żołnierzom, a mężczyzn i dzieci wymordowują doszczętnie i w najohydniejszy sposób.

Na Aliczur Pamirze ekspedycja widziała całe kata-

*) Krewnym Ali-Chana Afgańczycy wykluli oba oczy, a żonom ich po jednym, żeby mogły karmić swoich mężów.

kumby trupów Wachańczyków, którzy uciekali w stronę Chin. Oddział wojsk chińskich pod dowództwem Dżan-Da-Zenia odpędził ich zpowrotem i oddał w ręce oddziału Afgańczyków, którzy uchodźców wymordowali, a trupy zabronili chować, zostawiając na pożarcie zwierząt, co według religji muzułmańskiej jest największą hańbą.

Tak się skończyło „bolesne ukąszenie“ Anglików przez cesarza Aleksandra III, którego Rosjanie po śmierci nazwali „Mirołubcem“.

Dla bezstronności muszę dodać, że rząd angielski także uciekał się do tych samych metod i przy sposobności chętnie podburzał poddanych rosyjskich rękami tychże Afgańczyków. Tak np. w 1885 roku, więc na 4 lata przed opisanymi wypadkami, najniespodziewaniej i bez żadnego powodu, wybuchnęło groźne powstanie w całej wschodniej części Fergany. Z gór zeszyły oddziały Kirgizów i Kara-Kipezanów, uzbrojonych w nowoczesne karabiny wyrobu angielskiego, z marką afgańską — i napadły na miasta powiatowe, Andżan i Osz, siejąc popłoch wśród urzędników kolonij rosyjskich. Powstanie było dosyć szybko zgniecione żelazną ręką, a Derwisz Chan, przewodca oddziału, umknął do Afganistanu; w ręce rosyjskie wpadł tylko jeden z najgłówniejszych przewodników jego, Machmed Karym Datcha (generał byłego chana Hudojara), który wydał swoich przyjaciół politycznych. Surowe śledztwo wykryło całą konspirację, składy broni, ładunków i dużo gotówki, w woreczkach po 1000 rupij indyjskich, któremi rząd angielski wypłacał subsydjum

emirowi Abdurachman - Chanowi. Okazało się, że w Kaszgarze siedział specjalny agent afgański, Gulzor-Chan, który, korzystając z ożywionych stosunków handlowych z Ferganą, przemycał broń i opłacał powstanie. W rezultacie nastąpiły sądy doraźne, egzekucje oraz tak dobrze znane Polakom masowe zesłania na Syberję i konfiskaty mienia.

Ponieważ emir Abdurachman sam ciągle potrzebował broni i pieniędzy na organizację swojej ogromnej armji i przytem absolutnie nie mógł mieć żadnych politycznych interesów w odległej i oddzielonej niedostępными górami Ferganie, przeto inspiracja tego całego przedsięwzięcia mogła pochodzić tylko z rozporządzenia wice - króla Indyj.

ZE WSPOMNIENIŃ O JAPONJI

Straszna katastrofa żywiołowa, trzęsienie ziemi, przed dwoma laty dotknęła szlachetny naród japoński, budząc najżywsze współczucie wśród szerokich warstw społeczeństwa polskiego.

Wyrazy szczerzej sympatji przesłały Japonji wszystkie narody cywilizowane. Tylko nieliczne organa prasy angielskiej i poczęści amerykańskiej wskazywały, że nieobliczalne straty Japonji cofnęły ją wstecz o całe pokolenie i usunęły na długo z rzędu wielkich mocarstw.

Otóż czuję się w obowiązku gorąco zaprotestować przeciwko takiemu pogładowi.

Blisko poznałem Japonję w r. 1896. Potem w ciągu 11-letniej służby na Dalekim Wschodzie, spędzałem tam urlopy, co rok po 4 tygodnie, a co trzy lata po 6 miesięcy. Przyzwyczailem się szanować Japończyków za ich patriotyzm oraz za ich wytężoną pracę, z jaką dążyli do zdobycia kultury i połączenia się z rodziną narodów cywilizowanych.

A trzeba ciągle pamiętać, że kultura europejska znana jest w Japonji dopiero od 63 — 65 lat.

Jeszcze w roku 1856 był to kraj zamknięty dla Eu-

ropejczyków. Faktorję handlową mieli tylko Holendrzy, osiedleni na ślicznej, wiecznie zielonej wysepce, przy wejściu do fiordowej zatoki Nagasaki, i mieszkający tam pod dozorem urzędników japońskich. Mieszkało tam także kilkunastu misjonarzy katolickich, dlatego też wyspa znana była wśród Europejczyków pod nazwą Papenbergu. O ówczesnym stanie kultury w Japonji można sądzić z tego, że właśnie w roku 1856 Japończycy wymordowali jedyną europejską kolonję, a misjonarzy zrzucili ze skały do morza, wołając: „Jeżeli Bóg wasz lepszy od naszych, niech wam pomoże przepłynąć morze“.

Fakt wymordowania misji holenderskiej, głównie misjonarzy, pobudził Europę do posłania na wody Japonji zbiorowej floty, która zmusiła to państwo do otwarcia czterech portów dla handlu z Europą i Ameryką, a mianowicie: Nagasaki, Kobe, Jokohamy i Surugi, oraz do zawarcia traktatów, gwarantujących życie i mienie zamieszkałych tam Europejczyków.

Traktaty weszły w życie w latach 1858 — 60, i od chwili tej poczęło się kulturalne zbliżenie Japonji z cywilizacją europejską.

Miałem możność, jak już wspomniałem, obserwować kulturalne zdobycze Japonji w ciągu dłuższego czasu.

Już z pokładu statku, wchodzącego do zatoki Nagasaki, Japonja wywiera nadzwyczaj dodatnie wrażenie. Piękne wzgórza, pokryte wiecznie zielonemi krzewami, mnóstwo kwitnących na wiosnę azalij i rododendronów, charakterystyczne drzewa kamforowe,

platany, często palmy — wszystko to razem nęci oko i zaciękawia.

Gdzie niegdzie na wzgórzach świątynie w stylu japońskim, otoczone przeważnie ogromnemi sosnami. Zdołu do świątyń prowadzą szerokie schody kamienne, liczące po 100 i więcej stopni. Przy świątyniach ogromne dzwony, położone na bok. Zamiast serca — długa belka, z końcem, okutym żelazem, umocowana na bloku w ten sposób, że po odciągnięciu wraca do wnętrza i okutym końcem uderza, wydając głośny dźwięk. Wierni, przychodzący do świątyni, przed przystąpieniem do modlitwy, rzucają parę miedzianych monet do drewnianej skrzyni przed ołtarzem i dzwonią w dzwon, budząc Buddę, żeby wysłuchał i przyjął modlitwę.

Port w Nagasaki nie ma grobli, bo zatoka jest wąska i kręta, tak że wielkich fal teoretycznie być nie powinno. Jednakże w razie tajfunu (pochodzi od chińskich słów: Da — wielki, fyn — wiatr), trąby powietrznej, dość częstej w tych okolicach, Ocean Spokojny wyrzuca na brzeg nawet duże łodzie rybackie.

Nawet wielkie okręty wchodzą swobodnie do zatoki o tyle głębokiej, że daje im ona możność zbliżenia się o pół kilometra do brzegu.

W roku 1896 Nagasaki miało około 20.000 mieszkańców. Istniał tylko jeden dom europejskiej konstrukcji, a mianowicie wspaniały czteropiętrowy hotel, urządzone według ostatnich wymagań komfortu europejskiego.

Takież hotele wybudowano i w innych otwartych

dla cudzoziemców miastach, jak w Kobe, w Jokohamie i w Tokjo.

Hotele te wybudował rząd w mniemaniu, że bogatych turystów można przyciągnąć do kraju, zapewniwszy im komfort, do którego są przyzwyczajeni. Rząd zachował też kontrolę nad gospodarstwem w hotelach, broniąc turystów od wyzysku, a także przestrzegając czystości i porządku. Obecnie opieka rządu nad hotelami dawno się skończyła. Zastąpiła ją konkurencja.

Drugą niespodzianką w ówczesnem Nagasaki były wodociągi, urządzone doskonale.

Obfitość filtrowanej wody była tak wielka, że ogromne statki rosyjskie, w drodze do Władywostoku, zawiąły specjalnie do Nagasaki po wodę i brały ją w ilości potrzebnej dla statku na cały czas bytności w porcie władywostockim, gdzie wodociągów nie było (o ile pamiętam, niema ich dotąd), wodę zaś rozwozili brudni Chińczycy w beczkach, czerpiąc ją wprost z rzeczki o parę kilometrów za miastem.

W Nagasaki zwiedziłem muzeum okręgowe. Był to szalas drewniany, lecz w nim umieszczono wszystko, co okrąg produkował, jedwabie najdelikatniejszych odcieni, wspaniałe hafty, wyroby z trzciny, zabawki dla dzieci i t. d. Każdy wystawiony przedmiot miał oznaczoną cenę dla wygody turystów. Osobliwość muzeum stanowiło to, że obok wyrobów krajowych wystawione były także wyroby najlepszych fabryk europejskich, obok jedwabi japońskich — jedwabie fabryk

francuskich, obok miejscowych zabawek — zabawki fabryk norymberskich i t. d.

Oczywiście wyrobów fabryk europejskich nie sprzedawano, lecz je wystawiono jako wzór dla producentów, którzy licznie zwiedzali wystawę i na wzorach europejskich uczyli się ulepszać wyroby, bądź stosować je do gustu europejskiego.

Urzędnik muzealny objaśniał, że muzeum urządzone jest przez rząd specjalnie w celach dostarczenia ręcznemu przemysłowi dobrych wzorów zagranicznych, a że pospólstwo w Japonji z jednej strony jest oszczędne, z drugiej zaś ceni tylko to, za co płaci, więc cena za wejście do muzeum jest oznaczona w wysokości jednego imbryka herbaty, którą każdy ma prawo wypić, siedząc na matach w poczekalni. W muzeum widziałem grupy wieśniaków, którzy ciekawie oglądali wystawione przedmioty, czasem prosząc o otworzenie witryny i biorąc wystawione przedmioty do ręki.

Podobne muzea urządzano we wszystkich okręgowych miastach Japonji i utrzymywano przeważnie z procentu od sprzedanych towarów.

Obecnie zamiast w szałasach z desek, okręgowe muzea mieszczą się w gmachach. W Tokjo był wybudowany kilkunastopiętrowy gmach z żelaza i betonu. Ciekawy ten gmach został zniszczony doszczętnie przez ostatnią katastrofę.

Okolice Nagasaki są bardzo ładne, jak zresztą i cała Japonja. Śliczne wzgórza, porośnięte wiecznie zielonymi drzewami, pola uprawione ręcznie z drobiazgową starannością, a przedewszystkiem bajecznie urządzone

drogi zachęcają do wycieczek i dostarczają mnóstwa rozrywek.

Na wyjazd za miasto trzeba było dawniej otrzymać pozwolenie administracji. Formalność tę załatwiał hotel telefonicznie w przeciągu kwadransa, i w chwili wyjazdu portjer hotelowy, usadzając turystów do wózka, razem z koszykiem z prowiantami (zamiast niespożytego w hotelu drugiego śniadania), doręczał zezwolenie władzy na zwiedzenie pewnej okolicy, o które zresztą w drodze nikt nigdy nie pytał.

Kolei na wyspie Kiu-Siu, gdzie leży Nagasaki, jeszcze nie było. Podróżowało się na małych, bardzo lekkich, dwukołowych wózkach z budą i fartuchem na wypadek deszczu, ciągnionych w mieście przez jednego człowieka (rykszę); za miastem, szczególnie w miejscowości górzystej, wózek ztyłu popychał drugi człowiek.

Koni w Japonji wogóle jest bardzo mało i w zaprzęgu są prawie nieużywane. Wszystkie ciężary przewożą ludzie. Pola uprawiają przeważnie ręcznie, rzadziej przy pomocy wołów lub krów. Zboże, słomę zwożą z pól ręcznie. Więc też nie tylko absolutnie wszystkie drogi są bite, lecz nawet wąskie polowe dróżki są wyłożone bitym kamieniem.

Domy w miasteczkach i wioskach są jednakowej mniej więcej konstrukcji. Cała budowa opiera się na grubych słupach modrzewiowych i bywa przeważnie jednopiętrowa. Piętra są niewysokie. Człowiek wysokiego wzrostu dostaje ręką do sufitu. Ściany dolnego piętra — karkasowe, t. j. rusztowanie z drzewa prze-

łożone niepaloną cegłą i otynkowane. Na piętrze ścianę z cegieł robią tylko od północy, a czasami i od zachodu, zabezpieczając się od zimnych wiatrów. Drugie dwie ściany składają się z papierowych parawanów, które się rozsuwają, przepuszczając powietrze i słońce, lub szczelnie zamykają przy zimnie lub wietrze.

Na dole mieści się warsztat lub sklep, gdyż trudno spotkać rodzinę przeciętnego Japończyka, któraby nie handlowała czemkolwiek. Oprócz tego — kuchnia i wszelkie gospodarskie schówki; na piętrze mieszkanie rodziny. Budynek przykrywa ciężki dach z dachówek, dosyć daleko wystający nad ścianami, z wygiętymi w chińskim stylu bokami.

Schody, lakierowane czarnym lub czerwonym lakierem, wyglądają, jak pudełka od cukierków. Wejść na nie w butach niepodobna, bo zostaną skazy. Obuwie zdejmuje się na dole i idzie się na górę w skarpetkach. Wnętrze wysłane jest misternie związanymi matami ze słomy. Mebli niema żadnych. Wzdłuż ściany — długie, wąskie wałki watowane, pokryte jedwabiem lub kolorową materją z bawełny, na których się siedzi, oraz kilka wałków do oparcia. W kącie ułożony jest stos kołder, grubo watowanych, na których Japończycy śpią, kładąc pod głowę wałki. Japonki śpią, położywszy głowę na drewnianych miniaturowych stołeczkach z wycięciem na szyję, a to w celu zabezpieczenia ubrania włosów, które są zawsze fantastycznie uczesane. Widząc to narzędzie tortury, nigdy nie mogłem pojąć, jak można spać na niem w ciągu długich lat.

Jedzenie podaje się na małych stolikach w rodzaju naszych stolików pod nogi, tylko szerszych i dłuższych, ślicznie lakierowanych. Japończycy jedzą pałeczkami, jak Chińczycy, lecz kuchnia ich nie jest tak urozmaicona, jak chińska. Podstawą jedzenia jest ryż; mięsa prawie nie używają. Prócz tego jadają jarzyny i ryby. Chleba białego lub czarnego nie znali zupełnie. Obecnie wprowadzono jedynie mięso, i wkrótce pewno wejdzie to w ogólne użycie. Z powodu małej ilości pastwisk i bardzo ograniczonej liczby wszelkiego bydła mięso mrożone sprowadza się z Australji i przechowuje w specjalnych chłodniach, wybudowanych we wszystkich większych środowiskach.

Japończycy ubierają się w dobrze znane u nas kimona, których co najmniej dwa wkładają jedno na drugie, przepasując się długim pasem z wełnianej lub bawełnianej materji, którym się okręcają dwa — trzy razy. Bielizny spodniej nie noszą. Koszulę zastępuje pierwsze kimono, uszyte zwykle z ciężkiej i miękkiej materji bawełnianej. Poły kimona zakładają się daleko jedno na drugie, mimo to gołe nogi widać prawie do kolan. Na stopach mężczyźni i kobiety noszą krótkie skarpetki, sięgające za kostkę, uszyte z białej, grubej materji w ten sposób, że cztery palce są połączone razem, a wielki—oddzielnie. Otóż treпки drewniane, które noszą wszyscy Japończycy, przymocowuje się do nogi w ten sposób, że sznur od trepek przechodzi między wielkim a środkowym palcem u nogi i dzieli się na dwie części, przyciągając obie strony trepek do nogi. W 1896 roku Japończycy jeszcze nosili długie wło-

sy, zawiązane na wierzchu głowy. Obecnie ten sposób czesania się jest edyktem wzbroniony, i mężczyźni strzygą włosy na sposób europejski. Na głowie mężczyźni nosili dawniej ogromne kapelusze słomiane. Obecnie ich prawie nie widać. Wszyscy przeważnie noszą czapki sportowe, co zupełnie nie licuje z kimonem. Kobiety chodzą zawsze z głową odkrytą, a to z powodu fantazyjnego uczesania i dużych szpilek, z których kilka tkwi we włosach. Kimona męskie są spokojnego koloru szarego w białe prążki z wyszytymi czasem na rękawie lub kołnierzu napisami, oznaczającymi kastę lub ród właściciela. Kobiety w domu noszą kimona bardzo jaskrawe, lecz wychodząc na ulicę, zawsze narzucają kimono jednego koloru i przytem nierzucającego się w oczy. Najdroższą rzeczą w ubiorze Japonki jest szeroki pas, którym się opasuje zawsze, z grubego jedwabnego materiału, często misternie złotem haftowany, lub ze złotogłowiu.

Obecnie w miastach połowa Japończyków chodzi w kostjumach europejskich, kamaszach, sztywnych kołnierzykach i sztywnych kapeluszach; dopiero wróciwszy do domu, wkłada kimona.

Mówiąc o domach japońskich, trudno nie wspomnieć o minjaturowych ogrodach, które otaczają każdą zamożniejszą willę. Jest to specjalnie talent japoński.

Na przestrzeni nie większej, niż plac, zajęty pod dom, urządza się ogródek z minjaturowemi skałami, grotami, wodospadami i basenami. To wszystko obsadzone jest karłowatemi tujami z misternie obciętemi gałązkami, przedstawiającemi np. łodzie, idące pod

rozpiętymi żaglami. Mnóstwo wazonów z karłowatymi drzewami pomarańczowemi, obwieszonemi gorzkimi owocami lub z karłowatemi azaljami i rododendronami. Ogródki te cieszą oko i wskazują, jak naród japoński lubi naturę i potrzebuje jej do swego najbliższego otoczenia, nie szcedząc pracy i kosztów.

W Modzi siadłem na statek, by przepłynąć do Kobe (drugiego otwartego portu dla Europejczyków), przez wewnętrzne morze Japońskie, które oddziela wyspy Kiusiu i Szi-Koku od wyspy Nipon, głównej w archipelagu. Jest to bodaj najpiękniejsza część kraju w przepięknej Japonji.

Zaczyna się morze wewnętrzne przy Simonoseki i biegnie wąską cieśniną między brzegami, usianemi setkami wiosek i miasteczek. Doskonale widać je z pokładu statku.

W niektórych miejscach okręt przechodzi tuż koło brzegów, co daje możność podróżnym, tłumnie zalegającym pokład, obserwowania codziennych zajęć mieszkańców.

Kobe w 1896 roku miało już wspaniały hotel i tylko dwie ulice, zabudowane domami europejskimi, w których mieściły się konsulaty i kantory handlowe. Teraz to ogromne miasto ciągnie się ku wzgórzom, porośłym gęstym lasem sosnowym, w którym wybudowano wspaniale urządzonego hotel, zdala od gwaru wielkiego miasta portowego. Kobe liczy obecnie około 600.000 ludności i prowadzi ogromny handel, w którym porcelana japońska gra niepoślednią rolę.

W Kobe przesiadłem się na pociąg, dążąc do Joko-

hamy. Koleje ówczesne robiły dziwne wrażenie. Wąskotorowe, miały małe wagony z ławkami wzdłuż ścian i tak niskie, że człowiek wysokiego wzrostu dosięgał prawie dachu. Pośrodku wagonu mieściły się dwa małe ogniska z żarzących się węgla, przy których stałe grzały się imbryki z wodą do użytku podróżnych, pragnących pokrzepić się herbatą. Murowane, bardzo skromne dworce stacyjne były tylko w Jokohamie i w Tokjo. We wszystkich innych miastach i niezliczonych stacjach wzdłuż linii kolejowej, zamiast dworców, stały prowizoryczne budy z desek, rozdzielone barjerą na połowę: w jednej stały zwyczajne t. zw. wiedeńskie krzeselka plecione — to była poczekalnia I i II klasy. Druga była bez mebli, wysłana słomianą matą, z kilkoma ogniskami z żarzących się węgla i imbryczkami z gotującą się wodą do herbaty — to poczekalnia klasy III.

Pociągów osobowych nie było, tylko towarowo-osobowe. W środku długiego szeregu wagonów towarowych stały zwykle 2 — 3 wagony III klasy i po jednym I i II-ej, różniących się tylko tem, że ławki I klasy były obite aksamitem, II klasy sukniem, a III — twarde, drewniane. Pociągi przebiegały tylko 25 kilometrów na godzinę, ale zato z każdej stacji w każdą stronę odchodził pociąg co godzinę, t. j. stacje przepuszczały 24 pary pociągów, kiedy najlepiej obsłużona w Rosji linja Moskwa i Petersburg, mająca 2 tory, przepuszczała także tylko 24 pary pociągów. Bufetów na stacjach nie było, lecz na większych stacjach zjawiali się roznosiciele, sprzedający zimne obiady, uło-

żone w białych, drewnianych, bardzo eleganckich pudełkach, wielkości dużej, grubej książki. Pudełka dzieliły się na dwie połowy: jedną wypełniał wspaniale ugotowany ryż, drugą systematycznie ułożone: kilka suszonych drobnych rybek, trochę prasowanych, ugotowanych jarzyn i coś w rodzaju biszkoptowego ciastka z firmą restauracji i z włożonemi do środka nowemi, ładnie odpolerowanemi pałeczkami do jedzenia. Kosztowało to 20 sen (20 kop.). Jadło się w wagonie i popijało herbatą, którą trzeba było mieć z sobą, albo też zażądać od konduktora. Woda gorąca zawsze była w wagonie przy ognisku. Wieczorem w oknach wagonów zjawiali się roznosiciele poduszek z waty, w zupełnie świeżych powłoczkach, co kosztowało 25 sen. Poduszkę i pudełka od obiadów zostawiało się w wagonie, i zapewne konduktorzy przedmioty te zwracali właścicielom za specjalnem wynagrodzeniem.

Ruch publiczności był ogromny. Wagony II i III klasy — przepelnione. Wagony I klasy dosyć puste, bo korzystali z nich tylko turyści,—cudzoziemcy i wyjątkowo zamożni Japończycy, albo wysocy dygnitarze japońscy.

Raz w drodze z Tokio do Niko do wagonu I klasy, w którym siedziałem sam jeden, wszedł jakiś Japończyk, odprowadzany z wielkimi honorami przez otoczenie. W drodze poznaliśmy się.

Pokazało się, że był to główny dyrektor kolei państwowych. Znał doskonale Europę, Rosję i Amerykę Północną, bo wszędzie studjował kolejnictwo. W rozmowie powiedział:

„Pana zapewne rażą nasze wąskotorowe koleje, brak stacyj i wszelkich na nich urządzeń. Lecz cóż robić! — Japonja jest krajem biednym! Do rozwoju handlu i przemysłu potrzebujemy dużo kolei, jak najwięcej nowych linii. Wskutek tego budujemy je jak najoszczędniej i staramy się uruchomić jak najwięcej pociągów, żeby ożywić ruch towarowy. Wspaniałe stacje, luksusowe pociągi i wszelkie drogo kosztujące inwestycje Japonja posiada, ale dopiero za 25 lat!“

Otóż w ciągu ostatniego pobytu w Japonji, w lutym i w marcu 1920 roku, przekonałem się, że ów dyrektor miał słuszość. Cała Japonja pokryła się niezliczoną siecią linii kolejowych, łączących najodleglejsze zakątki kraju z ogniskami handlowymi. Luksusowe pociągi z pulmanowskimi wagonami i restauracjami przebiegają cały kraj, utrzymując bezpośrednie połączenie między portami i większymi miastami. Morze wewnętrzne nie tamuje obecnie połączenia kolejowego między wyspami Nipon i Kiu-Siu, gdyż dziesiątki ogromnych żelaznych promów przewozi całe pociągi z pasażerami oraz wagonami towarowymi.

O bajecznym, nieprawdopodobnym rozwoju komunikacji w Japonji można sądzić chociażby z tego, że, gdy w roku 1896 między Tokjo a Jokohamą ułożone były tylko dwa tory dla wąskotorowej kolei, to obecnie na tej samej drodze naliczyłem 28 torów, rozbiegających się w rozmaite strony, i prócz tego dwa tory do ogromnych wagonów kolei elektrycznej, która biegnie co parę minut, zatrzymuje się co parę kilometrów i stanowi niezrównaną komunikację podmiejską. Wszystkie

te pociągi odchodzą z drugiego piętra wspaniałych dworców w Jokohamie i Tokjo, niestety zniszczonych w czasie ostatniego kataklizmu.

Chciałbym jeszcze przytoczyć dwa fakty, świadczące o niezrównanym talencie Japończyków w przystosowaniu kultury europejskiej do potrzeb kraju, i przytem z najmniejszą stratą środków materialnych.

W roku 1896 spędziłem w Japonji 5 miesięcy, chcąc dobrze poznać najbliższych sąsiadów rosyjskiego Dalekiego Wschodu (dokąd jechałem na kilkoletnią służbę) nie z okien wagonu i balkonów hoteli, lecz z osobistego zetknięcia się z krajem i ludnością. Prosiłem więc posta rosyjskiego o uzyskanie dla mnie odpowiedniego pozwolenia, i z Niko do Simonoseki, przestrzeń około 800 kilometrów, przeszedłem pieszo lub przejechałem w rykszach.

Byłem wtedy w Oten. Jest to śliczne miasteczko na brzegu olbrzymiego jeziora Biwa, otoczonego ze wszystkich stron wysokimi górami. Miasteczko to wtedy stało się głośnie i przyciągało tłumy turystów z powodu, że tu właśnie Mikołaj II, będąc następcą tronu, odniósł ciężką ranę w głowę, która osłabiła w pewnym stopniu stan jego umysłu i pozostawiła stałą niechęć do Japończyków.

Zamach ten, jak wiadomo, dokonany przez jednego z samurajów, będącego na warcie honorowej w Oten, polegał na tem, że w chwili, gdy cesarzewicz wysiadał z rykszy, samuraj ciął go pałaszem w głowę. Cesarzewicz upadł. Samuraj chciał jeszcze raz uderzyć, lecz został powalony uderzeniem kija przez

królewicza Mikołaja greckiego, który towarzyszył w podróży późniejszemu Mikołajowi II i jechał na następnej rykszy. Cesarzewicza zaniesiono do najbliższego domu, skąd po opatrunku odwieziono na pokład krążownika „Pamięć Azowa“. Podróż naokoło świata została przerwana, i cesarzewicz przez Władywostok i Syberję wrócił do Petersburga.

Wypadek ten zrzęcznie wyzyskał właściciel domu, gdzie zrobiono opatrunek. Przyjmując licznych turystów, opowiadał szczegółowo o całym przejęciu, zbierał podpisy do albumów, lub naklejał na nich bilety wizytowe, i na odjeździe darzył turystów ręcznikiem na którym czerwoną farbą były odbite te plamy krwi cesarzewicza, które, rzekomo, pozostały na jego ręczniku, póki nie sprowadzono podróźnej apteczki, nie zrobiono dezynfekcji rany i stałego opatrunku. Za uprzejme przyjęcie i podarunek ręcznika każdy turysta, naturalnie, odwdzięczał się hojnym podarunkiem.

Z Oten do Kioto (drugiej stolicy Japonji) wróciłem łodzią, korzystając z kanału, który Japończycy wyprowadzili z jeziora Biwa, przebiwszy tunel przez góry, długości przeszło 3 i pół kilometra. Wodę, wpuszczoną do kanału, regulują żelazne śluzy; w dowolnej ilości płynie ona przez tunel, który na całej przestrzeni jest wyrąbany w skałach. Kanał ten jednocześnie służy do dostawy wszelkich produktów z okręgu Biwa do Kioto i jest tak szeroki, że dwie duże, ładowne łodzie mijają się swobodnie. Łodzie, idące w stronę Kioto, biegną z prądem kanału bardzo szybko. Naodwrot, łodzie idące do Oten i innych miasteczek,

znajdujących się na brzegach olbrzymiego jeziora Biwa, posuwać można powoli i z wysiłkiem, chwytając drągami za ogromne, żelazne kółka, specjalnie dlatego wkręcone w ścianę kanału co parę metrów.

W tunelu w kilku miejscach porobione są kominy dla odświeżenia powietrza. Kominy te również miejscami przepuszczają promienie światła, podtrzymując w tunelu słaby mrok. Mimo to podróż tunelem denerwuje. Wszystkie łodzie w tunelu mają zapalone latarnie: na przodzie białe, z tyłu czerwone. A że w perspektywie wydaje się, że tunel się zwęża i przedstawia się wdali, jak wąska niteczka, z migającymi światełkami spotykanych łodzi, więc ma się ciągle wrażenie, że łodzie nie będą mogły się minąć i muszą się zetknąć.

Tymczasem przy spotkaniu mijają się zupełnie swobodnie. Tunelem płynie się około 3 kwadransów.

Po wyjściu z tunelu woda w kanale płynie znacznie spokojniej. Kanał przeprowadzony jest zboczami gór, na przestrzeni około 60 kilometrów, do samego Tokjo, gdzie cała ta masa wody spada do turbin i wytwarza prąd elektryczny do oświetlenia miasta, uruchomienia tramwajów, oraz zasila miejskie wodociągi. Tunel i kanał przeprowadzone są z wielką dokładnością, działają dotąd, dostarczając stolicy tanio potrzebnej ilości wody i energii elektrycznej.

Umiejętne wyzyskanie siły wody jest w Japonji bardzo rozwinięte: każdy górski strumień, każdy wodospadzik, a jest ich dziesiątki w górzystej Japonji, za pomocą turbin najprostszego systemu wytwarza ener-

gję elektryczną do oświetlenia i warsztatów pracy. To też nietylko wszystkie miasteczka mają oświetlenie elektryczne, ale korzysta z niego mnóstwo wio-szczyn.

Wspomnę jeszcze o jednej osobliwości, której nie spotkałem w żadnym kraju. Jest to kolej żelazna, na której wagony wprowadza w ruch siła ludzka.

O 120 — 150 kilometrów od Jokohamy jest miejscowość Atami, gdzie bije jedyny w Japonji gejzer, który Japończycy wyzyskali do celów leczniczych przeciw gruźlicy, bardzo w Japonji rozpowszechnionej. Atami leży na samym brzegu oceanu Spokojnego, w miejscowości dzikiej, bardzo skalistej, lecz i bardzo pięknej. Jest to miasteczko, mające jeden hotel europejski i dużo najrozmaiciej urządzonych hoteli japońskich, przepelnionych kuracjuszami, których rocznie bywa tam do 50 tysięcy.

Z Jokohamy jedzie się główną linią kolei Tokjo — Kioto do stacji Kudżu, skąd kolej zębata wiezie turystę na wierzchołek pasma gór skalistych, biegnących brzegiem oceanu. Na górze wznosi się maleńki domek. To stacja kolei „ludzkiej“, a wokoło na szynach dużo miniaturowych wagonów, stojących na torze, szerokości około metra. Każdy wagonik podzielony jest na trzy równe przedziały, stanowiące 3 klasy. Pierwszą zajmuje 2 pasażerów, w drugiej sadzają 4 osoby, w trzeciej 6.

O wielkości wagonu można sądzić z tego, że, otworzywszy okna naprzestrzał, swobodnie położyłem jedną rękę na jednym oknie, drugą na drugim. W prze-

dziale trzeciej klasy, gdzie teoretycznie powinno było na 2-ch ławeczkach siedzieć 6 osób, musiało być nawet maleńkim Japończykom ciasniej, niż śledziom w beczce. Z przodu i z tyłu wagonika niewielkie platformy, gdzie pomieści się po trzech ludzi, z których jeden trzyma w ręku rękojeść hamulca. Po wypełnieniu wagonu pasażerami, lub wykupieniu wszystkich biletów, wagon odchodzi natychmiast, poruszony pchnięciami sześciu ludzi po szynach w stronę strome-go zbocza, gdzie wzdłuż skał, nad straszną przepaścią przebita jest metrowej szerokości dróżka z ułożo-nemi na niej szynami. Na dole widać niebieskie wody oceanu, przykryte jakby lekką powłoką mgły. W chwili, kiedy wagon poczyną się toczyć wdół, pchany własną ciężkością, trzech „popychaczy“ wskakuje na przednią platformę, trzech na tylną, i wagon mknie na dół, z co-raz to zwiększającą się zawrotną szybkością zbiega wdół wąwozu i z rozpędu na pewną część przeciwle-głej góry.

W momencie, kiedy wagon, straciwszy rozpęd, za-trzymuje się i mógłby się stoczyć wstecz, robotnicy zeskakują i pchają wagon na wierzchołek nowej gó-ry, skąd podróż podobna poczyną się znowu. Bieg na dół jest tak szalenie szybki, a widok przepaści tak działa na nerwy, że pasażerowie instynktownie przy-ciskają się do ściany wagonika.

Pomimo tak prowizorycznego urządzenia, kuracju-sze, których tysiące przyjeżdża corocznie, nie przy-pominają sobie nieszczęśliwych wypadków na tej dro-dze. Opisany sposób lokomocji istniał w latach 1896—

1900. Potem zastąpiono go przez tramwaj elektryczny, który biegł po drodze normalnej szerokości.

Głównym środkiem leczniczym w Atami był gejzer, który, wybuchając co kilka godzin, wyrzucał mnóstwo pary, przesiąkniętej siarką, oraz gorącą wodę o silnym siarczanym zapachu. Wodę zapomocą rur puszczano do łazienek, gdzie reumatycy i artretycy czekali na gorące kąpiele siarczane.

Para z ogromnym szumem wlatywała do wysokiego cylindra z grubej blachy żelaznej, w którym było mnóstwo otworów, zamkniętych szczelnie gutaperkowymi korkami i ponumerowanych. Chorzy wykupywali w zarządzie numer, oraz gutaperkową klapę z długą takąż rurką.

Przed wybuchem chorzy zbierali się w dużej sali, gdzie ustawiony był cylinder, wyjmowali korki, zamykali otwory klapami, od których szły rurki, i czekali wybuchu. Jak tylko para z łoskotem poczęła napełniać cylinder, chorzy kładli rurki do ust i całą siłą piersi wdychali tę parę, co naturalnie, wywoływało gwałtowny kaszel. Po 15 — 20 minutach oddychania otwory zamykano gutaperkowymi korkami, i chorzy rozchodzili się, czekając nowego wybuchu gejzeru.

Hotel europejski przylepiony był jedną stroną do skały, mając wszystkie okna i balkony zwrócone na południe, w stronę oceanu. U stóp hotelu — plaża kąpielowa, dalej mały brzeg kamienny, o który rozbiła się ogromna fala oceanowa, wznosząc się prostopadle w górę do 4 — 5 piętra hotelu.

Atami również zostało zniszczone.

Taki sam los spotkał i drugą stację kąpielową, śliczną Kamakurę, najbliższe miejsce odpoczynku dla Tokio i Jokohamy, w ciągu całego roku licznie odwiedzaną przez turystów. W parku Kamakury stał największy w Japonii posąg Buddy, artystycznie odlany z brązu. Wszystko to podobno doszczętnie zmyły fale.

Od kataklizmu najwięcej ucierpiała prowincja Tokaido z miastami Tokio i Jokohamą, która jest portem stolicy, bo zatoka tokijska jest niegłęboka.

Tokjo liczyło około 3 milionów ludności. Jokohama już dosięgła 600.000, chociaż poczęła się rozwijać dopiero od 60 roku zeszłego stulecia. Oba miasta musiały ponieść niezwykle straty w swoich handlowych dzielnicach, położonych w najbliższych okolicach morza. Dzielnice na wzgórzach w Tokjo, poczynawszy od pałacu cesarskiego i dalej w stronę poselstwa rosyjskiego, a w Jokohamie — na wzgórzach, poczynawszy od konsulatu francuskiego, ucierpieć mogły tylko od trzęsienia ziemi, gdyż fale morskie dosięgnąć tam nie mogły.

W Tokjo orjentować się dość trudno nawet temu, kto często bywał w tem mieście, a to z powodu, że Tokjo, jak Londyn, powstało z naturalnego zrostu okolicznych miast i wiosek, które stopniowo wcielano do miasta. Znając energję Japończyków, jestem przekonany, że wyzyskają nieszczęście, które ich spotkało, i na gruzach dawnego, z mnóstwem wąskich i krzywych uliczek i zaułków, wyrośnie nowe Tokjo, wsporniale zbudowane.

Wszak i S. Francisco za naszej pamięci uległo straszemu trzęsieniu ziemi, które zburzyło połowę miasta, lecz katastrofa spowodowała wspanialszą jego odbudowę.

Trudniej będzie z Jokohamą, która w ostatnich latach rozwijała się z bajeczną szybkością. Trzeba było na własne oczy widzieć wspaniałe doki, mogące przyjmować największe statki, olbrzymie składy wszelkich towarów, elewatory i inne urządzenia portowe, żeby zrozumieć, jakie olbrzymie straty musiał wyrządzić katakizm. Był to największy i najlepiej urządzony handlowy port Japonji. Stąd rozchodziły się wszystkie pasażerskie statki japońskie, pomyślnie konkurując z najbogatszymi angielskimi i francuskimi towarzystwami. Tu była baza ich, i jeżeli prawdą jest, że Jokohama jest doszczętnie zniszczona, to straty muszą być rzeczywiście nieobliczalne. Na jednym ze statków kompanji N. Y. R., a mianowicie „Shidzouka-Maru“ w roku 1920 wracałem z Japonji do Londynu i w ciągu 45 dni miałem możność obserwować ład, porządek, sprawność załogi, komfort i wykwintność kuchni. Do tego dodać należy, że cena biletów o 30 procent jest niższa od europejskich linii konkurencyjnych, oraz że „Shidzouka-Maru“ jest jednym z dawniejszych statków i wkrótce miał być wycofany z linii międzynarodowej.

Otóż wszystko to pozwala mi twierdzić, że obecne zbyt ciężkie doświadczenie losu nie złamie energji narodu, który umiał z niczego zbudować ojczyznę

i w 60 lat doszedł do tak zdumiewających zdobyczy kultury. Japonja spokojnie zniesie cały ogrom nie-szczęścia, które ją spotkało, i zdumiewająco szybko zaleczy poniesione rany, czego naród polski z duszy jej życzy.

SPOTKANIE Z W. KS. KONSTANTYM

Pierwsze moje spotkanie z w. ks. Konstantym, b. namiestnikiem Królestwa Polskiego, nastąpiło wtedy, gdy wyruszałem na wyprawę do źródeł rzeki Indus. Jechałem wtedy przez morze Czarne z Odesy do Batumu na pięknym parowcu, „Puszkinie“, i zwiedzałem po drodze wszystkie miejsca godne widzenia i ich osobliwości.

Z Sewastopola, gdzie również wysiadałem na ląd, „Puszkina“ wyszedł przed wieczorem i o 7 rano miał być w Jalcie. Wiedząc, że statek płynie w niewielkiej odległości od brzegów Krymu, o świcie już byłem na pokładzie, aby się nacieszyć wspaniałymi widokami na pasmo Jajły, z Aju-dahem (góra miedziana). Rzeczywiście, wiecznie zielone wybrzeże, z mnóstwem willi i wioseczek na tle wspaniałych gór, oświeconych wschodzącym słońcem, pozostawiło mi niezatarte wspomnienie.

Nagle z małej zatoki wysunęła się duża motorówka pod banderą wielkiego księcia generał-admirała (pomimo niełaski cesarskiej w. ks. Konstantemu zostawiono tytuł generał-admirała floty rosyjskiej, choć faktycznie flotą zarządzał bratanek jego, późniejszy

generał-admirał, w. ks. Aleksy), sygnalizując „Puszkiniowi“, by się zatrzymał, oficer zaś przez tubę zapytał, czy jestem na statku. Pokazało się, że w. ks. Konstanty uprzejmie zaprasza mię do siebie i, nie chcąc, żebym tracił czas na przejazd 12 kilometrów końmi z Jałty (do Orjandy, wysłał po mnie swą motorówkę, z poleceniem zabrania mnie z przechodzącego obok Orjandy statku. Byłem w kłopotcie, gdyż uniform galowy pozostał w tłumoku, i miałem go wydobyć dopiero w Jałcie. Lecz adjutant zapewnił mię, że w. ks. przyjmie mię w charakterze prywatnym i pozwala przybyć w takim ubraniu, w jakim będę na statku. Spuszczono schody okrętowe, zszedłem do motorówki i w pół godziny byłem już w Orjandzie. Wielki książę jeszcze nie wyszedł z sypialni, więc miałem czas obejrzeć wspaniały park. Pałac właśnie się był spalił na krótko przed moim przyjazdem, i wielki książę mieszkał w pawilonie myśliwskim, zbudowanym na stromej skale, wystającej nad morzem i znanej pod nazwą „Orlego Gniazda“.

O pożarze pałacu w Orjandzie słyszałem już w Petersburgu, gdzie pod sekretem opowiadano sobie, że wielki książę, obawiając się rewizji i zabrania mu kompromitujących go dokumentów, umyślnie podpalił swoją ogromną bibliotekę. Ogień zauważono dopiero wtedy, gdy się wydobył nazewnątrz, że zaś najbliższa straż ogniowa była w Jałcie, więc nim ona przybyła, ogień zniszczył doszczętnie nie tylko bibliotekę, lecz i większą część pałacu.

Wraz z adjutantem wracaliśmy z parku, aby się sta-

wiść na ósmą rano do pawilonu, gdy zobaczyłem w. ks. Konstantego, śpieszącego na nasze spotkanie. Wysoki, szczupły, jakgdyby nieco przygarbiony, przywitał mię nader uprzejmie i zaprosił do siebie na skromne „wiejskie“ śniadanie. W toku ożywionej rozmowy poruszał najrozmaitsze tematy, wykazując ogromną erudycję i znajomość spraw rosyjskich w Azji. Dokładnie zaznaczył ogromne zasługi Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w kwestji zbadania Azji i cieszył się, że dożył chwili, kiedy miały się sprawdzić proce słowa jednego z założycieli Towarzystwa, admirała Czychaczowa, iż niedługo nadejdzie czas, gdy rosyjscy podróżnicy odkryją drogę do Indyj przez niezbadane pustynie Azji Środkowej, i że mnie przypadło w udziale zaszczytne posłannictwo: jako pierwszy Europejczyk, mam przeciąć Azję Środkową i właśnie od północy przedrzeć się przez Pamiry i Hinduksusz do źródła Indusu, skąd dalej do Indyj jest już droga znana, otwarta.

Skorzystawszy ze sposobności, że wielki książę wspomniał, iż z powodu spalenia się pałacu w Orjandzie, musi mieszkać w dwóch małych pokojach pawilonu myśliwskiego, zapytałem, w jaki sposób powstał pożar. Wielki książę odrzekł, że sam winien jest nieszczęściu, które go spotkało: za długo pracował w nocy w swojej bibliotece przy otwartem oknie i udał się na spoczynek, nie zgasiwszy lampy i nie zamknąwszy okna; nad ranem silny podmuch wiatru górskiego musiał przewrócić lampę — nafta się rozlała, zapaliły się papiery, i powstał pożar, który, podsycany przez

wiatr, odrazu przybrał takie rozmiary, że, kiedy ludzie się zbudzili, własnymi siłami już było niepodobna opanować ognia, straż zaś z Liwadji i Jałty przybyła dopiero po 2 godzinach.

Na audjencji tej półtorej godziny zbiegły mi, jak jedna chwila. Gdy prosiłem o pozwolenie odjechania do Jałty, gdyż nie chciałem spóźnić się na statek, który o 12 w południe wyruszał w dalszą drogę, wielki książę odesłał mię swym powozem, nakazując naprzód zawieźć do Alupki, gdzie jest znany z piękności pałac hr. Woronców, i przewieźć do Jałty nie szosą, lecz krótszą drogą wprost przez park liwadyjski, którą przejazd dla publiczności był wzbroniony.

Żegnając mię, wielki książę jakby przeczuł, że więcej go w tem życiu nie zobaczę: wziął ode mnie słowo, że po powrocie z podróży przedstawię się jego żonie, w. księżnej Aleksandrze Józefównie, która mieszkała stale w Petersburgu, w tak zwanym pałacu Marmurowym, gdzie niegdyś mieszkał i umarł nieszczęśliwy król Stanisław August Poniatowski. Naturalnie, danej obietnicy dotrzymałem.

Wizyta ta zbliżyła mię do rodziny w. ks. Konstantego, i potem już, kiedy zaprzestałem trudnych i niebezpiecznych podróży, na prośbę wielkiej księżnej Aleksandry byłem przez cały rok opiekunem jej najstarszego syna, Mikołaja Konstantynowicza. Książę ten za kradzież brylantów z obrazu, wiszącego w prywatnej kaplicy matki swej, w. ks. Aleksandry, został wydalony z majątku, uznany za warjata i zesłany na stałe zamieszkanie do Taszkientu. Na utrzymanie jego

zarząd majątków wielkiej księżnej wypłacał 60 tysięcy rubli rocznie, co na owe czasy, szczególnie w Taszkencie, było olbrzymiem uposażeniem. Rozporządzanie temi pieniędzmi zależało nie od wielkiego księcia, który, jako warjat, pozbawiony był tego prawa, lecz od wyznaczonego przez rząd opiekuna.

Na tem tle powstawało mnóstwo nieporozumień. Wielki książę zanosił skargi do matki, która go bardzo kochała. Opiekunowie zmieniali się nieustannie, lecz nie mogli ustalić znośnego modus vivendi. Nie mogąc odmówić prośbie wielkiej księżnej, z największą niechęcią wzięłem na siebie rolę opiekuna, zastrzegając się, że najdalej za rok zastąpi mnie ktoś inny. Tymczasem przy bliższem poznaniu w. ks. Mikołaja Konstantynowicza przekonałem się, że był to człowiek bardzo wykształcony, o umyśle bystrym, i że przy pewnej rezerwie w osobistych z nim stosunkach, oraz przy umiejętnem traktowaniu jego wybryków można było uniknąć starć. A wybryków tych było mnóstwo. Wielki książę bowiem był tego zdania, że, ponieważ jest urzędownie uznany za niespełna rozumu, przeto za postęпки swe nie jest odpowiedzialny. Zaczął od tego, że, przejeżdżając przez Orenburg, ożenił się ze śliczną córką miejscowego policmajstra, Marją Drejer. Cesarz, oczywiście, małżeństwa tego nie uznał; popa, który dał ślub, zesłano na pokutę do odległego klasztoru, a miłą panią Marję musieliśmy podawać w spisach urzędowych, jako zaliczoną do otoczenia wielkiego księcia, pannę Marję Drejer. Małżeństwo to nie przeszkodziło księciu ożenić się po raz drugi z kozaczką

uralską, z rodu kozaków, zesłanych na Syrt-Darję za wyznawanie „starej wiary“. Lecz ta w Taszkencie się nie pokazywała, bojąc się wyjeżdżać ze swojej stancyi.

Tak więc w. ks. Mikołaj pędził życie podwójne, prowadząc dwa domy, i uprzyjemniając je sobie drażnieniem lub wykpiwaniem miejscowych wielkorządców, co mu przychodziło łatwo. Choć bowiem uznany był za warjata i jako taki znajdował się pod dozorem generał-gubernatorów, nie został jednak pozbawiony tytułu wielkiego księcia i, jako członek rodziny cesarskiej, popierany zawsze przez matkę, (która do końca życia przebaczyć sobie nie mogła, że, ujawniwszy kradzież brylantów z obrazu, zgubiła pierworodnego syna), ze starć tych z miejscowymi kacykami wychodził zwycięsko.

Mnie udało się zainteresować wielkiego księcia ideą nawodnienia części stepów turkiestańskich zapomocą kanałów, wyprowadzonych z rzeki Syrt-Darji. Powodzenie go zachęciło, i z biegiem czasu oddał on się tej pracy całkowicie; odmawiał sobie najniezbędniejszych rzeczy, oddając wszystkie pieniądze własne i uzyskane od matki, która popierała go w tej pracy, na kosztowne roboty irygacyjne. Nawodnione tereny zasiedlał uchodźcami z Rosji lub kozakami uralskimi, wśród których czuł się najlepiej. Po wyjeździe mym z Turkiestanu w roku 1896 przerwała się styczność moja z rodziną wielkiego księcia Konstantego.

Jeszcze słówko w sprawie Orjandy. Dziwnem zrządzeniem losu, cesarzowa Marja Teodorówna z córką

Ksenią, wnukami i zięciem, w. ks. Aleksandrem Michałowiczem w roku 1918 schroniła się przed bolszewikami na krążownik angielski właśnie z tej samej Orjandy, gdzie przed 30 laty mąż jej, cesarz Aleksander III, więził swego stryja, w. ks. Konstantego. O ucieczce tej opowiadał mi komandor angielskiego „avizo“, przysłanego do Anapy, gdzie wówczas mieszkałem, po wielką księżną Marję Pawłównę, matkę wielkich książąt: Cyryla, Borysa i Andrzeja, która wraz z dwoma młodszymi synami również mieszkała w Anapie.

Otóż w Jałcie stała niewielka eskadra angielska, składająca się z krążownika, paru torpedowców i statku do posyłek (avizo), której dowódca miał polecenie okazanie wszelkiej możliwej pomocy byłej cesarzowej, Marji Teodorównie, mieszkającej w Aj - Todorze obok Orjandy. Nagle z Sewastopola do Jałty przybył okręt wojenny ze zbuntowanymi marynarzami w celu zaareztowania cesarzowej, głównie zaś zawładnięcia jej mieniem. Admirał angielski wysadził na brzeg mały oddział z karabinami maszynowymi w celu ochrony Aj-Todoru od ataku bolszewików i wezwał cesarzową do schronienia się na krążownik. Morze tego dnia było bardzo burzliwe, i krążownik nie mógł podплыć blisko do brzegu, port zaś w Jałcie zajęty był przez bolszewików. Trzeba było rodzinę cesarzowej i ogromny bagaż wywozić z Orjandy na małych motorówkach, które z powodu fali to wznosiły się do wysokości pokładu krążownika, to zapadały w głębie morskie. Przeładowanie przedstawiało ogromne trudności, i cesarzo-

wą wciągnięto na krążownik zemdloną, na linie, poczem statek zaraz odszedł na Malte, a „avizo“ do Anapy. Z Malty cesarzowa Marja pojechała do Anglii, do siostry swojej, królowej Aleksandry, lecz przebywała tam niedługo i osiedliła się w Danji, w prywatnym swoim mająteczku, kupionym jeszcze przez cesarza Aleksandra III, pod Fredenborgiem.

EPIZOD Z WIZYTY ALEKSANDRA III W PARYŻU

Wróciwszy do Petersburga z długiej i ciężkiej podróży po Azji Środkowej, którą odbyłem z polecenia Towarzystwa Geograficznego, lecz na osobisty koszt następcy tronu, późniejszego cesarza Mikołaja, zameldowałem się niezwłocznie wychowawcy cesarzewicza, generałowi-adjutantowi Daniłowiczowi.

Był to człowiek rzadkiej dobroci i wykształcenia. Choć wóczas już był wypełnił swe obowiązki wychowawcy i mieszkał nie w pałacu Anickowskim, lecz w oficynie, od strony rzeki Fontanki, poszedł natychmiast do cesarzewicza poprosić o audjencję dla mnie, nadmieniając przytem, że następcą tronu wyjeżdża na czas dłuższy zagranicę i kilkakrotnie dopytywał się o losy mojej wyprawy.

Wkrótce poproszono mię do apartamentów cesarzewicza, który przyjął mię nader życzliwie.

W toku rozmowy dowiedziałem się, że przyjechałem w przeddzień wyjazdu pary cesarskiej z wizytą do Paryża; cesarzewicz ma tam towarzyszyć rodzicom, potem zaś wyjedzie w kilkumiesięczną podróż naokoło

świata *). Nie będzie więc mógł w żaden sposób wysłuchać sprawozdania z mej długiej podróży w Petersburgu, lecz ma nadzieję, że mu się to uda w drodze do Paryża. Poprosił mię tedy, abym się przygotował do tej podróży, jeżeli stan zdrowia i zmęczenie mi na to pozwoli. Oczywiście propozycję przyjąłem skwapliwie i już nazajutrz otrzymałem pismo od Ministra Dworu, w którym hr. Woroncow-Daszkow zawiadomił mię, że na żądanie cesarzewicza zostałem przydzielony do jego świty na czas podróży do Paryża.

Była to pierwsza wizyta cesarza Aleksandra III w Paryżu, stanowiąca zwrot w całej polityce rosyjskiej i stwierdzająca oswobodzenie się od wpływów niemieckich oraz zawarcie przymierza francusko-rosyjskiego. Cała Francja spotykała wysokiego sojusznika z nieopisanym zapałem, a Paryż wysilał się na nadzwyczajne przyjęcie, między innymi ozdabiając sztucznymi kwiatami wszystkie drzewa na bulwarach.

W pamięci mojej zachowało się parę zabawnych zdarzeń z tej bytności we Francji.

Jako przydzielony czasowo do świty cesarzewicza, mieszkalem w wyznaczonym mi apartamencie w Grand Hotelu i otrzymywałem wszelkie zaproszenia na galowe przyjęcia ówczesnego rządu Rzeczypospolitej; pozostawiono mi jednak zupełną swobodę, gdyż nie miałem obowiązku towarzyszenia cesarzewiczowi, który wziął z sobą przybocznego adjutanta, księcia Koczubeja.

*) W czasie podróży tej cesarzewicz był ciężko raniony szablą w głowę w miasteczku Oten, w Japonji, przez fanatyka z kasty samurajów.

Raz, gdy szedłem ulicą Royal na Place de la Concorde, gdzie miała się odbyć ceremonia założenia kamienia węgielnego pod budowę mostu Aleksandra III na Sekwanie, zatrzymał mię tłum, złożony przeważnie z kobiet, wśród których widać było futrzaną bermycę hajduka cesarzowej Marji, kozaka dońskiego, Wasilja Afanasjewa. Sądząc, że coś zbroił, bo lubił podpisać, począłem przeciskać się przez tłum, by się dowiedzieć, co się stało.

Wysoki brunet, bardzo przystojny, ubrany trochę egzotycznie, w aksamitny, ciemno granatowy kaftan ze złotem szamerowaniem, obramowany futrem, w palonych butach, z kordelasem u pasa, w wysokiej czapce sobolowej ze złotym orłem i sznurami, Wasilij rzeczywiście mógł zaintrygować i mniej żywą i wrażliwą publiczność, niż paryska.

Przecisnąwszy się przez cizbę, pytam:

— „Wasilij, co się stało?“

Ucieszył się, zobaczywszy mię, i zawołał:

— „Panie pułkowniku, wyprowadź mnie z tłumy“.

— „Ależ mów, co się stało?“

— „Całować się każą“.

— „No to całuj“.

— „Kiedy nie mogę, nie mam już sił. Chyba ze 2000 bab „ichnich“ przecałowałem, a one wciąż się drą: „ambrasie i ambrasie“.

Wtedy, zdjawszy kapelusz, począłem przemowę do tłumy: jest to osobisty hajduk cesarzowej Marji, śpieszy na służbę, gdyż cesarzowa oczekuje wizyt; zachwycony uprzejmością paryżanek, obiecuje on jutro o tej

samej godzinie stawić się tutaj i pocałować wszystkie damy, które tu przyjdą, teraz jednak prosi, by go zwolniły na służbę. Publiczność się śmieje, bije brawo i wypuszcza nas ze zwartego koła, przy szalonych okrzykach: „Vive la Russie“, ja zaś odprowadzam spoconego jak mysz Wasilja przez ulicę Rivoli do Pałacu Elizejskiego, gdzie zamieszkała rodzina cesarska.

A teraz drugi epizod, o innym zabarwieniu.

Po tygodniu iście bajecznego przyjęcia w Paryżu rodzina cesarza wyjechała do Kopenhagi, do króla Chrystjana, ojca cesarzowej Marji, a ja, otrzymawszy urlop, udałem się na południe Francji.

W Nicei, przechadzając się wieczorem po mieście, spostrzegam afisz, zapowiadający w teatrze przedstawienie „Chat Noir“ (kinematografów jeszcze wówczas nie znano). Wehodem. W teatrze panuje mrok, na ekranie zmieniają się cienie, a przyjemny tenorek, akompaniując sobie na pianinie, wyśpiewuje objaśnienie do scen i widoków na ekranie.

Tenor śpiewa o tem, jak Paryż przyjmował cesarza Wszechrosji.

Na ekranie zjawiają się bulwary paryskie z drzewami bez liści, lecz ozdobione sztucznymi kwiatami. Przez zwarte tłumy publiczności przeciska się orszak cesarza, obsypywany kwiatami. Tłumy, z odkrytymi głowami, powiewają chustkami i krzyczą: „Vive la Russie“ — słowem entuzjizm nieopisany!

Tenorek śpiewa dalej: „A teraz, co Francja na tem zyskała?“...

Więc z ekranu znika dawny obraz, i ukazuje się

woddali sylwetka Paryża z wieżą Eiffla. Na pierwszym planie stoją członkowie rady municypalnej, wychudzeni, w obwisłych, jak po ciężkiej chorobie, kamizelach i frakach, z przeciągniętymi fizjonomjami, trzymając bezradnie w rękach sążniste rachunki wydatków na przyjęcie.

Jeszcze bliżej — rosyjski minister skarbu, Witte, sążnistymi szusami ucieka z Paryża w stronę pogranicznego słupa o barwach rosyjskich z napisem „Russie“, przyciskając do siebie nadzwyczajnie wypchaną tekę, z której, jak również i z bocznych i tylnych kieszeni fraka, sypią się papiery z napisami: akcje, obligacje, pożyczki i t. p.

Publiczność zanosi się od śmiechu, teatr trzęsie się od oklasków.

Działo się to w tej samej Francji, w parę dni potem, kiedy biedny kozak Wasilij musiał sromotnie uciekać przed całusami rozentuzjasmowanych paryżanek.

Nie ulega wątpliwości, że wizyta pary cesarskiej w Paryżu przyczyniła bardzo dużo kłopotów nie tylko radzie municypalnej, ale bodaj jeszcze więcej policji. Echa wystrzału Berezowskiego do Aleksandra II w czasie przejazdu do opery nie przebrzmiały jeszcze wówczas i wywołały nieznanne w wolnej Francji zarządzenia przeciwko Rosjanom, Polakom, no i rewolucjonistom wszelkich narodowości. Aresztowano i osadzono w fortach kilkadziesiąt tysięcy osób tylko dlatego, że nie cieszyły się sympatją portjerów domów, w których mieszkały.

Znane mi jest takie zdarzenie: w Paryżu stale mie-

skał dobry mój znajomy, inżynier Penkala, syn znanego dawniej w Warszawie właściciela magazynu mód i konfekcyj damskich na ulicy Senatorskiej, blisko placu Teatralnego. Otóż na kilka dni przed przyjazdem cesarza Aleksandra, Penkala wyszedł z domu, jak zwykle, do biura i wieczorem nie wrócił. Pełna trwogi żona, paryżanka, pobiegła do komisarza policji, który, widząc rozpacz młodej kobiety, starał się ją wszelkimi siłami uspokoić, tłumacząc, że mąż pewnie zmuszony był gdzieś na parę dni wyjechać, niema więc powodu do niepokoju; gdyby męża jej spotkało jakie nieszczęście, to policja wiedziałaby o tem, gdyż zdarza się, że apasze zabijają, ale trupów nie zabierają z sobą. Wreszcie, nie mogąc uspokoić zdenerwowanej niewiasty, posłał ją do prefekta policji, ten zaś bez ceremonji oświadczył, że nie ma czasu zająć się jej sprawą, i zaproponował pożyczkę na utrzymanie domu, w razie jeżeli nie ma dostatecznych środków. Wogóle obydwaj urzędnicy policji wywierali takie wrażenie, jakgdyby wiedzieli dobrze, co się stało z jej mężem, lecz nie chcieli jej powiedzieć.

W zmartwieniu i łzach minął zrozpaczonej kobiecie czas pobytu pary cesarskiej w Paryżu, nazajutrz zaś po jej wyjeździe inżynier Penkala wrócił do domu w najlepszym zdrowiu.

Pokazało się, że był aresztowany na ulicy, odwieziony do fortu w Vincennes, gdzie przesiedział 11 dni w towarzystwie jeszcze kilkuset innych osób. Aresztowanych odżywiano dobrze na koszt rządu, ale izolowano ich od wszelkich stosunków zewnętrznych.

Dopiero po wyjeździe cesarza z Paryża uwolniono ich, wyjaśniając, że zostali przetrzymani wskutek niewyraźnych informacji o ich życiu i przekonaniach politycznych. Inżynier Penkala, opowiadając mi o tym fakcie, nadmienił, że po uwolnieniu swem zwracał się do wszystkich urzędów ze skargą na bezprawne pozbawienie go wolności, ale nigdzie mu na podania nie odpowiadano nawet. Wtedy udał się do sądu, żądając przyznania mu odszkodowania za stracony w czasie aresztu zarobek. Znalazł się dzielny adwokat, który podjął się sprawę przeprowadzić w sądzie, niezależnym od administracji. W sprawę tę jednak wmieszał się prokurator Rzeczypospolitej, który wezwał Penkalę i bez ogródek oświadczył mu, że albo cofnie natychmiast swą skargę, albo będzie wysiedlony z Francji, jako niepożądany obcokrajowiec. Naturalnie, Penkala zaniechał sprawy i zrzekł się wszelkich pretensyj za areszt.

Znamienne było, że prasa francuska nie podtrzymała pretensyj Penkali, i żadna z większych gazet nie odezwała się o tym fakcie przemocy ani jednym słowem.

To też rodzina cesarska opuściła Francję pod jak najlepszym wrażeniem, co niewątpliwie wpłynęło na zacieśnienie węzłów przyjaźni francusko-rosyjskiej.

WALKA O NAMIESTNICTWO DALEKIEGO WSCHODU

W r. 1903 byłem generalnym komisarzem na Kwantunie, z rezydencją w Porcie Artura, i w sprawach służbowych pojechałem do Petersburga.

Raz, idąc po Newskim, spotykam znajomego sekretarza stanu, A. M. Bezobrazowa, który wita mię zdaleka, wołając: „Generale kochany, sam Pan Bóg zrządził to spotkanie, bo nie wiedziałem, że bawisz w Petersburgu“.

Witam się, i odchodzimy na bok chodnika, a Bezobrazow pyta: „Co pan myślisz o cywilnym zarządzie naszym w Mandżurji i na Kwantunie“?

— „Sądzę, że nie przynosi on chluby Rosji i nie zadowala tubylców“.

— „Dlaczego? Przecież pan sam byłeś rok wojennym komisarzem Mandżurji i zarządzałeś całą prowincją mandżurską z ludnością 15 miljonową, a teraz już trzy lata jesteś generalnym komisarzem Kwantuna“.

— „Właśnie dlatego uważam się za upoważnionego do określenia charakteru zarządu. Istota zła, niezależnie od osobistych zalet lub wad osób, stojących u steru administracji, tkwi w tem, że nie można na zasadzie pra-

wa, stworzonego dla mieszkańców Rosji Środkowej, zarządzać narodem innej rasy, innych obyczajów, zupełnie innego poglądu na świat, nadto zaś narodem takim, który ma swoją odrębną kulturę i patrzy na nas, 'jak na barbarzyńców'.

Bezobrazow uścisnął mi rękę, mówiąc, że właśnie on to samo mówił cesarzowi Mikołajowi, podziela w zupełności moje zdanie i prosi bardzo, abym pojechał zaraz do niego w celu omówienia tej sprawy, gdyż obecnie cesarz osobiście bardzo się nią interesuje.

Pojechałem. Muszę nadmienić, że Bezobrazow był twórcą koncesji drzewnej na Jalu w Korei, do której wciągnął kapitały kilku wielkich książąt oraz najwybitniejszych przedstawicieli arystokracji z otoczenia dworu cesarskiego. Koncesję wydał król koreański w czasie, kiedy szukał schronienia w poselstwie rosyjskiem w Seulu. Na terytorjum koreańskim zjawiała się ochrona, jakoby z wynajętych żołnierzy, ale pod dowództwem czynnych oficerów rosyjskich, dla obrony przed chunhuzami (szajki bandytów koreańskich lub chińskich) rosyjskich przedstawicielstw handlowych na Jalu. W ujściu rzeki stanęła kanonierka rosyjska w celu ułatwienia formalności przy wywozie drzewa z Jalu. Słowem, zaczęła się stopniowa aneksja pogranicznego okręgu Korei.

Na to zareagowała Japonja, która Koreę uważała za kraj, znajdujący się pod jej wpływem, i zażądała od Rosji zrzeczenia się koncesji. Wobec zaangażowania kapitałów osób bardzo wpływowych, rząd się nie zgodził, i najniespodziewaniej dla Rosji wybuchła nie-

popularna wojna z Japonją, opinja zaś publiczna całą winę wywołania wojny przypisała Bezobrazowowi, jako niefortunnemu twórcy jalskiej koncesji.

W rzeczywistości koncesja była tylko pozorem do rozpoczęcia wojny. Kamień niezgody padł między mocarstwami jeszcze w roku 1894, zaraz po wojnie japońsko-chińskiej, kiedy Rosja skorzystała z chwilowego wycieńczenia Japonji i zmusiła ją do opuszczenia Portu Artura, zdobytego od Chin z ogromnym wysiłkiem, i zajęła go sama.

Od tej chwili Japonja poczęła gorączkowo przygotowywać się do wojny z Rosją, przygotowywać się systematycznie, zdając sobie sprawę, że w razie niepowodzenia postawi na kartę swoje istnienie. Rozumiejąc, jak wielką rolę w takiej wojnie odegra patriotyzm, już w szkołach dzieciom wpajano nienawiść do Rosji.

Przytoczę tu następujący epizod charakterystyczny.

W roku 1896 jechałem po raz pierwszy na służbę na Daleki Wschód, jako pograniczny komisarz z Chinami. Kolei syberyjskiej jeszcze nie zaczęto budować, więc jechałem z Marsylji naokoło świata, przez Suez, Cejlon, Singapur, Hong-Kong, Szanghaj i Japonję do Władywostoku.

W Japonji zainteresowałem się bajecznie szybkim i niespodziewanym rozwojem kultury tego młodego państwa i, chcąc poznać najbliższego sąsiada Rosji nietylko z okien wagonu, przeszedłem piechotą ogromną część kraju od Niko do Nagasaki (około 800 kilometrów).

Przechodząc przez Hakone, śliczną miejscowość w górach, odpoczywałem w jakiejś herbaciarni, zbudowanej na pagórku, skąd roztaczał się wspaniały widok na jezioro i dalekie góry. Nagle nadeszła szkoła (szkoły w Japonji obowiązaone były jeden dzień w tygodniu poświęcić wycieczkom krajoznawczym), 50—60 chłopców w wieku lat 12—14 z nauczycielem, i miała zamiar zatrzymać się na wypoczynek opodal herbaciarni.

Lubię dzieci i, chcąc zapoznać się z systemem nauczania i z programem szkoły, posłałem tłumacza, prosząc całą szkołę na herbatę. Dzieci przysły i, grzecznie się skłoniwszy, usiadły na cynówkach herbaciarni, a właścicielka zakrzętnęła się, stawiając przed każdym lakierowaną tackę z imbryczkiem herbaty, pistacjami i jakiemiś ciastkami (kosztowało to tylko po 10 kopiejek za tackę). Z pół godziny rozmawialiśmy, potem dzieci wstały, żeby iść w dalszą drogę, uprzejmie dziękując za gościnność. Przed odejściem 2-ch chłopców zwróciło się do tłumacza z zapytaniem, do jakiej należą narodowości. Z szybkiej odpowiedzi tłumacza zrozumiałem, że nazwał mię Anglikiem; zaprotestowałem więc i zmusilem do wytłumaczenia, że jestem Polakiem w służbie rosyjskiej. Dzieci zesły z pagórka i, zatrzymawszy się u jego stóp, gorąco coś omawiały. Potem dwaj chłopcy podeszli do mnie i, zdjąwszy zdaleka czapki, z wielką grzecznością oznajmili, że szkoła poleciła im powiedzieć, iż mocno żałuje, że nie wiedząc, iż jestem Rosjaninem, przyjęła gościńę, bo między nimi a nami leży krew naszych braci.

Byłem zupełnie stropiony tą odpowiedzią. Będąc po raz pierwszy w Japonji, nie wiedziałem o tak gwałtownym antagonizmie między temi dwoma narodami; nie znałem chorobliwej prawie miłości własnej Japończyków, nieprzebaczających takich uraz, jak pozabawienie części zdobyczy wygranej wojny.

To też odpowiedziałem, że nie jestem Rosjaninem, lecz Polakiem w służbie rosyjskiej, tak, jak są Japończycy w służbie chińskiej lub koreańskiej. Zresztą, dodałem, jestem waszym gościem i chcę być waszym przyjacielem. I mówiąc to, wziąłem stojącą przede mną tackę ze słodyczami, wsypałem ją do czapek chłopczków, które trzymali w rękach. Tu dzieci się stropiły. Nie mówiąc nic, wróciły do szkoły, która poszła dalej. W 8 lat później dzieciaki te miały już po 20—22 lata i, naturalnie, brały czynny udział w japońsko-rosyjskiej wojnie 1904 roku.

Tak więc przygotowania do wojny i stosowne urabianie opinji publicznej odbywało się oddawna, a imperjalistyczna polityka Rosji systematycznie prowadziła do starcia, gdyż nie chciała zrozumieć, że 46 milionów Japończyków nie może pomieścić się na kilku skalistych wyspach i musi znaleźć ujście w kolonjach.

* * *

Był czas, że silna w Japonji partja polityczna pragnęła rozwój swej ojczyzny oprzeć na porozumieniu się z Rosją. Chodziło o to, żeby Rosja nie mieszała się do spraw Korei, pozostawiając ją w zupełności Japonji. Wzamian Japonja ofiarowywała zapewnienie zupełnej bezinteresowności w Mandzurji, gdzie Rosja zagrzeba-

ła miljardy na budowę kolei. Układ nie doszedł do skutku. Rosja wyznaczyła doradcę finansowego przy królu koreańskim, a po zamordowaniu królowej, która była zdecydowaną zwolenniczką Rosji, dała przytułek królowi koreańskiemu w poselstwie rosyjskiem w Seulu, trzymając faktycznie rządy Korei w swoich rękach. Wtedy Japonja zawarła przymierze z Anglią i, uzyskawszy zgodę Ameryki na przychylną neutralność, wywołała wojnę przedtem, nim Rosja mogła zakończyć budowę wielkiej kolei syberyjskiej.

Tragizm chwili polegał na tem, że rząd rosyjski nie wierzył ostrzeżeniom ludzi, dobrze znających tamtejsze stosunki, i patrzył na Japonję z wielkopańskim lekceważeniem, nie dopuszczając myśli, żeby to małe podówczas państewko ośmieliło się zadrzeć z kolosem rosyjskim.

Japończycy jednak się ośmielili. Wojna wybuchła 23 stycznia 1904 roku o 10 wieczorem. Tego dnia przyjechał do Portu Artura konsul japoński z Inkou, żeby zabrać poddanych japońskich. Konsul przedstawił się głównemu naczelnikowi kraju, wojsk, oraz floty, admirałowi E. I. Aleksiejewowi i prośbę swoją umotywował wyzywającą postawą Rosji. Admirał śmiał się, upewniał, że w Rosji nikt nie myśli o wojnie, i zaprosił konsula na obiad. Konsul zaproszenie przyjął, lecz poddanych na statek pakował. W Porcie Artura panowało takie zaślepienie, iż nikt nie zwrócił uwagi, że około 300 poddanych japońskich, którzy handlowali w Porcie Artura, rzuca swój dobytek i z rodzinami śpiesznie ładuje się na statek.

Obiad, jak zwykle, zaczął się o 7 wieczorem, a o godz. 9 konsula z należnemi honorami odprowadzono na statek, który dał parę i wypłynął z portu.

Trzebaż zbiegu okoliczności, że w dniu tym były urodziny jedynaczki córki komendanta portu, admirała Starka, który mieszkał w porcie. W mieszkaniu jego zebrał się komendanci krążowników i generalicja z admirałem Aleksiejewem na czele. Nagle około godziny 10 poczęły się wybuchy min, któremi Japończycy wysadzili w powietrze największe, najsilniejsze okręty eskadry rosyjskiej, stojące w porcie. Z początku goście sądzili, że to marynarze urządzili niespodziankę córce komendanta portu. Potem już wyjaśniła się groźna rzeczywistość. Pokazało się, że natychmiast po wyjściu z portu statku, na którym wyjechał konsul japoński ze swymi rodakami, do portu weszło kilka statków japońskich, których dowódcy, zbadawszy w dzień miejsca, gdzie stały czołowe kolosy rosyjskie, zaatakowali je w nocy i zniszczyli albo obezwładnili. Ironja losu chciała, że w parę miesięcy potem na statku Petropawłowsk, co zatonął, wpadłszy na minę, zginął wielki malarz-batalista rosyjski, Wereszczagin, którego obrazy były tak realne, że Wilhelm zabronił je wystawiać w Berlinie, jako źle wpływające na ducha armji; znajdujący się zaś na tymże statku, nikomu niepotrzebny wielki książę Cyryl ocalał i mieszka obecnie w Paryżu, gdzie występuje jako konkurent wielkiego księcia Mikołaja na beznadziejny tron Romanowych.

Poza tem równocześnie Japończycy zatopili statki rosyjskie, stojące w Czemulpo, w Korei, a statki, będące

w portach neutralnych, jak Szanghaj i inne, nie mogły opuścić portów w oznaczonym terminie i były rozbrojone.

W ten sposób przed wypowiedzeniem wojny rosyjska eskadra Oceanu Spokojnego była zniweczona, i morzem niepodzielnie zawładnęli Japończycy.

Tak się rozpoczęła wojna rosyjsko-japońska.

* * *

Lecz powracam do Bezobrazowa. Omówiwszy wszechstronnie położenie administracji na Dalekim Wschodzie, która rządziła Chińczykami, według praw, wydanych dla Moskwy, przyszliśmy do porozumienia, że zmiana istniejącego prawa zajmie zbyt wiele czasu, jedynem zaś wyjściem jest ustanowienie na Dalekim Wschodzie takiej władzy, która mogłaby wstrzymać wykonanie istniejących przepisów i czasowo ustanawiać nowe.

Władzą taką mógł być tylko namiestnik, działający w imieniu cara.

Bezobrazow usilnie prosił o jak najspieszniejsze napisanie umotywowanego projektu ustanowienia namiestnika, oraz drobiazgowego określenia jego kompetencji i władzy. Przytem wziął słowo, że w całej sprawie będzie zachowana absolutna tajemnica, gdyż miała to być inicjatywa samego cesarza Mikołaja.

Robota była trudna, gdyż nie miałem z sobą w Petersburgu żadnych danych liczbowych, a zbieranie ich w ministerjach było niemożliwe bez pewnego rozgłosu, czego musiałem unikać. Mogłem więc liczyć tylko na swoją pamięć. Lecz zabrałem się do pracy z zapalem,

gdyż zarząd nasz na Kwantunie i w Mandżurji gwałtownie wymagał reformy.

W parę dni projekt wygotowałem i oddałem Bezobrazowowi.

Nagle otrzymuję list od min. spr. wewn., von Plewego, który wzywa mię na godzinę 7 wieczorem do swego prywatnego mieszkania na wyspie Aptekarskiej.

Stawiwszy się punktualnie o godz. 7 wieczorem, byłem natychmiast zaproszony do gabinetu, po którym wielkimi krokami chodził Plewe. Był to człowiek wysoki, otyły, z nadzwyczaj przenikliwemi oczyma.

Na stole z największem zdumieniem zobaczyłem swój rękopis, który miał być tak tajny, że musiałem przepisywać go własnoręcznie. Rękopis był cały pokreślony niebieskim ołówkiem i opatrzony znakami zapytania.

Przywitawszy mię, Plewe począł mówić z wielkim tupetem, że przedstawionego przeze mnie projektu nie może przyjąć z tego powodu, iż nie zgadza się on zupełnie z istniejącem w Rosji prawem; na stwarzanie na kresach kacyków on przyna'jmniej nigdy nie pozwoli, w Rosji bowiem były już projekty tworzenia namiestnictw (w Polsce, na Kaukazie) i zawsze dawały wyniki ujemne i t. d.

Wyczekawszy spokojnie końca kazania na temat konieczności poszanowania zasadniczych praw Rosji, opowiedziałem Plewemu, w jaki sposób projekt powstał, o ile zrozumiałem Bezobrazowa: — tego chciał cesarz.

Plewe zamyślił się chwilę, jakby coś ważąc w myśli, potem powiedział: „Mnie cesarz prosił tylko o przeczytanie i jak najprędzkie zwrócenie projektu ze swoim

wnioskiem. Zresztą, projekt usuwa z rąk min. skarbu cały dozór i rozporządzanie koleją mandżurską, a na to Witte nigdy się nie zgodzi“.

Przystąpiliśmy do czytania projektu punkt po punkcie. Plewe, stojąc ciągle na stanowisku nadprokuratora senatu, gorąco oponował przeciwko każdej próbie odstąpienia od praw zasadniczych i cofał się tylko pod naciskiem faktów lokalnych, z życia tamtejszego. Robota przeciągnęła się do północy.

Po przejrzaniu projektu wszczęła się rozmowa na temat, kto mógłby zająć miejsce namiestnika, gdyby projekt zyskał zatwierdzenie cesarza. Plewe wskazał na admirała Aleksiejewa.

Gorąco protestowałem przeciwko temu, mówiąc, że od trzech lat jest on moim głównym naczelnikiem, widuję go w sprawach służbowych codziennie i przejrzałem nawylot, jest to może dobry marynarz, ale człowiek, pozbawiony szerokiego poglądu na świat, niezbędnego na takim stanowisku; prócz tego jest nadzwyczaj ambitny i uważa za korzystne dla kraju, którym zarządza, tylko to, co w ten lub inny sposób go wywyższy lub przyniesie mu pożytek. Osobiście jestem z Aleksiejewem w stosunkach zupełnie poprawnych, bo w życiu prywatnym jest on bardzo uprzejmy i gościnnie.

Plewe słuchał z wielkiem zajęciem, potem zapytał, kogobym mógł wskazać. Odpowiedziałem, że całe życie byłem na dalekich kresach, nie znam więc wielu osób, mogących piastować urząd namiestnika. Kilka razy jednak zdarzyło mi się rozmawiać ze szwagrem cesarskim, wielkim księciem Aleksandrem Michałowiczem, i sędzę,

że on będzie odpowiedni na stanowisko namiestnika. Plewe przenikliwie spojrział na mnie, jakby chciał do głębi przejrzeć, a potem szybko zawołał: „Ten byłby jeszcze gorszy“!

Rozstając się, Plewe zaproponował mi przejście do min. spr. wewn. na stanowisko gubernatora. Podziękowałem, ale stanowczo odmówiłem, motywując to brakiem środków osobistych i niemożnością za 10.000 rubli, które gubernator otrzymywał rocznie, urządzania przyjęć i reprezentowania najwyższej w gubernji władzy. Plewe zgodził się ze mną i pożegnał mnie słowami: „A więc poczekamy, aż się otworzy awans w gubernji, gdzie obowiązki gubernatora połączone są z innymi płatnymi urzędami“ *).

W parę dni potem otrzymałem czek na pięć tysięcy rubli z napisem: „Za pożyteczną pracę“, z sum, pozostających do dyspozycji Najjaśniejszego Pana, t. j. z sum tajnych, które nie podlegały rewizji Urzędu Kontroli Państwowej. Czek podpisany był przez Plewego.

Zaciekawiony, z jakich powodów projekt, który miał być taką tajemnicą, wpadł w ręce Plewego, jeździłem parę razy do Bezobrazowa, ale nie mogłem go złapać.

Tymczasem sprawy, dla których wezwano mnie do

*) W trzy miesiące potem, bawiąc zagranicą, otrzymałem telegram od min. wojny, Kuropatkina, że jestem mianowany gubernatorem astrachańskim, hetmanem kozaków astrachańskich, głównym opiekunem ludu kałmuckiego, generał-gubernatorem hordy Bukiejewskich Kirgizów i prezesem Rybackiego Komitetu na Woldze, co mogło nastąpić tylko w porozumieniu z Plewem.

Petersburga, zostały załatwione. Postanowiłem więc skorzystać z bytności w Europie i wyjechać na kurację do Kissingen.

Oddając wizyty pożegnalne w sztabie generalnym, przypadkowo zaszedłem na śniadanie, obok sztabu, do Hotelu Francuskiego i najniespodziewaniej przy wejściu do sali spotkałem Bezobrazowa. Usiedliśmy razem przy osobnym stoliku. Bezobrazow powiedział mi, że wie, iż byłem u niego, lecz nie miał czasu zajechać do mnie, gdyż w ciągu 10 dni musiał przeprowadzić dwie sprawy wielkiej wagi: mianowanie Aleksiejewa namiestnikiem i usunięcie Wittego od obowiązków ministra skarbu oraz mianowanie go przewodniczącym komitetu ministrów (który przy ostatnich 2-ch cesarzach nigdy się nie zbierał na naradę). Teraz sprawa jest skończona, i w przeciągu dwóch dni nominacje będą ogłoszone w „Prawit. Wiestniku“. Przeprowadzono ją w takiej tajemnicy, że w dziale urzędowym „Wiestnika“, który jest już wydrukowany, rozkazano zostawić parę pustych wierszy, gdzie odnośne nominacje będą pomieszczone dopiero w nocy przed wyjściem „Wiestnika“.

Śluchałem i uszom nie wierzyłem. W toku rozmowy dowiedziałem się, że Witte był stanowczym przeciwnikiem jalskiej koncesji i, chociaż nie mógł zapobiec jej utworzeniu, gdyż powstawała ona na terytorjum koreańskim, o ile mógł, szkodził jej realizacji. Otoczenie cesarskie, zaangażowane w tej sprawie finansowo, postanowiło wysunąć projekt utworzenia stanowiska namiestnika na Dalekim Wschodzie, żeby w ten sposób usunąć Wittego od kolei mandżurskiej, która

była pod jego władzą, i eo ipso od Korei. Lecz wpływy Wittego były jeszcze tak silne, że sprawa byłaby ugrzęzła, gdyby był nie pomógł przypadek.

W komitecie kolei syberyjskiej, który zbierał się parę razy do roku pod przewodnictwem cesarza, admirał Abazie, jeden z najbardziej wpływowych członków jałskiej kompanji, wskazując niedomagania administracyjne na Dalekim Wschodzie, podkreślił konieczność utworzenia silnej władzy na miejscu, naprzykład utworzenie tam namiestnictwa.

Witte z właściwą sobie brutalnością przerwał admirałowi Abaziemu, mówiąc, że taki projekt może być przeprowadzony tylko równocześnie z dymisją jego, jako ministra skarbu.

Cesarz Mikołaj, który był bardzo czuły na uchybienia etykiety, widocznie dotknięty niepowściągliwością Wittego, pohamował się i, zwróciwszy się do niego z przyjaznym uśmiechem, powiedział: „Będziemy mieli na względzie pańskie życzenie“.

Naturalnie, że najbliższe otoczenie cesarza wyyskało nietakt Wittego, podszezuwając przeciw niemu Mikołaja. W akcji wziął udział Plewe, który nie znosił Wittego, jako jedyne konkurenta do samodzielne go rządu Rosją, i przeprowadził ją artystycznie.

Osobiście nie byłem stronnikiem Wittego, lecz nie mogłem nie uznawać w nim rozumu i energii, z jaką wyprowadził Rosję z chaosu finansowego.

Z powodów zrozumiałych nie miałem prawa, ani możliwości ostrzegać Wittego o katastrofie, grożącej jego miłości własnej, a przenoszącej go ze stanowiska wszech-

mocnego ministra skarbu na wyższe, lecz zupełnie bezczynne i bez wpływów.

Chciałem się jednak przekonać, czy Witte, mając w ręku tak ogromne środki, jest uprzedzony o przygotowanym na niego zamachu, i pod pozorem pożegnania się przed wyjazdem swoim zagranicę, a potem na Daleki Wschód, pojechałem do prywatnego mieszkania Wittego, na Kamienno-Ostrowskim prospekcie.

Przyjął mię natychmiast. W rozmowie powiedziałem, że w Petersburgu krążą wieści, iż na Dalekim Wschodzie ma być utworzone namiestnictwo, i pierwszym namiestnikiem ma być podobno admirał Aleksiejew. Spojrzał na mnie badawczo i, wiedząc, że nie jestem adoratorem Aleksiejewa, śmiejąc się, rzekł: „E, tak źle nie będzie. Znasz pan przecież nasze przysłowie: „Boh nie wydadst — swinja nie sjest“ (Bóg nie dopuści — świnia nie zje).

Na drugi dzień o 8 rano przynieśli mi „Prawitielstwiennyj Wiestnik“, w którym na pierwszej stronie były wydrukowane imienne rozkazy cesarskie o utworzeniu namiestnictwa i o mianowaniu namiestnikiem Aleksiejewa oraz o zwolnieniu Wittego od obowiązków ministra skarbu i mianowaniu go przewodniczącym komitetu ministrów.

Tak padł Witte i wypłynął po raz drugi już jako hrabia (tytuł hrabiowski był mu nadany za przeprowadzenie traktatu Portsmouthskiego po wojnie z Japonją) Witte i prezes rady ministrów w Rosji konstytucyjnej.

MINISTER DURNOWO I ZAMACH NA PLEWEGO

Nie tak dawno temu, gdyż mniej więcej przed dwoma laty w prasie rosyjskiej, a następnie i w polskiej ukazały się wiadomości sensacyjne, dotyczące osoby Piotra Durnowo, jednego z pomocników ministra spraw wewnętrznych, v. Plewego, potem zaś ministra w gabinecie hr. Wittego. Wedle owych wieści, Durnowo miał pono wyprorokować wielką wojnę europejską i wszelkie jej skutki.

Ponieważ znałem blisko Durnowo, nie zdaje mi się, żeby przypisywane mu przez sowiecką gazetę proroctwa, tak drobiazgowo przepowiadające wyniki przyszłej wojny, były rzeczywiście napisane przez niego; lecz nie ulega wątpliwości, że był to człowiek wyjątkowo sprytny i umiejący ratować się ze wszelkich trudnych sytuacji. Przytoczę parę szczegółów, charakteryzujących zupełny brak wszelkich skrupułów u tego męża stanu.

W 1904 r. w czasie wojny z Japonją urzędowałem w Astrachaniu. Osobiście objeżdżając olbrzymie tereny, uspokajać musiałem umysły wzburzone wskutek mobilizacji coraz to nowych roczników.

W pierwszych dniach lipca otrzymałem od ministra Plewego depeszę, wzywającą mię natychmiast. 14 lipca rano stawilem się w Petersburgu i zameldowałem się telefonicznie.

Plewe podziękował mi za szybki przyjazd i zapowiedział, że udając się z raportem do cesarza Mikołaja, po drodze zajedzie do mnie, żeby osobiście omówić sprawę, z powodu której zostałem wezwany.

Wiedząc, że polują na niego, jak na zająca, byłem zdziwiony, iż mówi tak swobodnie o przyjeździe swoim do hotelu. Gorąco zaprotestowałem przeciw temu, proponując, że stawię się natychmiast w jego willi.

Plewe z początku nie rozumiał motywów mego protestu, zrozumiawszy zaś rzekł:

— Wszak nikt losu swego nie uniknie. Zresztą, może to i lepiej będzie, jeżeli się trochę zmieni marszrutę.

W pół godziny potem przez okno zobaczyłem szybko pędzącą karetę Plewego pod eskortą 6 rowerzystów i wyszedłem na korytarz, by powitać ministra. Pokazało się, że Plewe otrzymał telegram od posła rosyjskiego w Teheranie, że tam panuje cholera, i wezwał mnie, żeby się porozumieć w sprawie zarządzeń zaradczych. Omówiliśmy tę sprawę naprędce, gdyż minister śpieszył się na pociąg, który o 10 rano miał go odwieźć do Carskiego Sioła, gdzie mieszkał stale cesarz Mikołaj. Plewe polecił mi wezwać głównego inspektora urzędu lekarskiego, opracować z nim plan walki z cholera i przynieść na 3 po południu do willi. Żegnając się, powiedział:

— Przywiozę panu *carte-blanc* cesarza na wszel-

kie zarządzenia i rozporządzanie kredytami. Cholera musi być zatrzymana do jesieni. Pojawienie się cholery na Wołdze, przy szalonej agitacji wrogich porządkowi partyj, wywołać może bunty, a może nawet rewolucję. A ciężka wojna i jednoczesna rewolucja — to koniec Rosji.

Odprowadziłem ministra do schodów i wróciłem do siebie. Nie upłynęło 15 minut, gdy drzwi się otworzyły, i do pokoju wpadł kurjer ministra z teką, wołając:

— Panie generale! ministra zabili.

Zdrętwiałem, nie zdając sobie narazie sprawy, co ten człowiek mówi. Więc pytam:

— Co takiego? jakiego ministra? gdzie?

— Zabili von Plewego na Izmailowskim prospekcie, przed dworcem warszawskim. Rzucono bombę, która rozerwała karete, choć ta była ze stali. Minister jechał bardzo prędko, ja zaś gorszemi skarbowemi końmi, zostałem znacznie ztyłu i, widząc zamach, zawróciłem zpowrotem do pana generała, bo nie wiem, co mam zrobić z teką z papierami, które minister wiozł do raportu do cesarza.

Machinalnie wziąłem tekę do ręki i zauważyłem, że nie jest zamknięta. Oddałem ją w tej chwili kurjerowi, mówiąc:

— Pojedziesz na Wielką Morską do żółtego domu. Tam mieszka pomocnik ministra, Durnowo. Oddasz mu do rąk własnych.

Kurjer chciał już wychodzić, gdy nagle przyszło mi na myśl, że kurjer może Durnowo nie zastać. Teką dostanie się w niepowołane ręce, które skorzystają z taj-

nych dokumentów, jakie może zawierać otwarta teka. Zawołałem przeto lokaja, żeby mi dał sznurek i lak, własnoręcznie zawiązałem tekę sznurkiem, a że pieczęci nie miałem, więc sznurek przypięczetowałem sygnetem herbowym, który nosiłem na palcu. Potem portfel oddałem kurjerowi, a sam szybko pojechałem na miejsce wypadku.

Szeroki i ruchliwy prospekt, wiodący do dwóch dworców, warszawskiego i bałtyckiego, był pusty zupełnie, jak wymarły. Nie dojeżdżając do mostu, naprzeciwko 4-piętrowej kamienicy, w której mieścił się trzeciorzędny „Hotel Warszawski“, zobaczyłem roztrzaskaną karete ministra. O kilka kroków na lewo od karety leżało na bruku straszliwie poszarpane ciało Plewego (rękę znaleziono aż na dachu Hotelu Warszawskiego). Z drugiej strony karety, prawie naprzeciwko wyjścia z hotelu, leżało ciało rowerzysty, który, zauważywszy człowieka z bombą w ręku, rzucił się na niego i przewrócił go rowerem, ale zamachowi nie przeszkodził i sam zginął. Dalej jeszcze o kilkadziesiąt sążni stały przednie koła karety i część kozła. Jeszcze dalej leżał furman, ciężko ranny w krzyż i plecy, którego rozhukane konie wlokły jakiś czas na lejcach. Wreszcie, na moście, prowadzącym przez „Obwodny kanał“, pośrodku jezdni stała ogromna latarnia na żelaznym słupie. Oszalałe konie z połamanym dyszlem uderzyły w słup, przewróciły latarnię i, zaplątawszy się w uprząży, stanęły.

Detonacja była tak silna, że na kilkaset kroków od miejsca katastrofy cała ulica była zasypana kawałkami rozbitego szkła. Bojąc się pociąć opony gumowe,

musiałem powóz zatrzymać i iść dalej piechotą. Na dworcu warszawskim, który stoi dalej za mostem, ze szklanego dachu nad peronem wyleciało kilka tysięcy szyb, zasypując potłuczonym szkłem peron i podróżnych odchodzącego pociągu.

W tej samej chwili, kiedy podszedłem do ciała Plewego, jak z pod ziemi wyłonił się oficer policyjny i zapytał, czy nie mam czego do polecenia. Spytałem, czy dano znać sędziemu śledczemu, prokuratorowi i p. Durnowo. Odpowiedział, że wszystko już zrobione. Poprosiłem, aby nakryto czem ciało Plewego, bo poszarpaną twarz obsiadły muchy. Gdy rozmawialiśmy, z rozmaitych kątów wysunęła się policja, ukazały się grupki przechodniów, zatrzymujące się opodal i gorąco rozprawiające. Wkrótce nadjechał Durnowo i, podchodząc do mnie z impetem, zawołał: „A pan generał tu co robi?“. Odpowiedziałem, że wypadkowo pierwszy dowiedziałem się o zabójstwie, dałem znać o tem jemu i pojechałem na miejsce, ażeby coś pomóc, w razie gdyby minister tylko był raniony, a teraz żegnam.

Byłem tak rozstrojony tem, że człowiek, który kwadrans temu był wszechwładny w Rosji, leży bez życia na bruku ulicy, że nie mogłem wrócić do hotelu; czułem potrzebę spotkania się z kimś z dostojników, by wybać, jakie to sprawiło wrażenie.

Przypomniałem sobie, że był to dzień posiedzeń głównego zarządu rosyjskiego Czerwonego Krzyża, którego byłem członkiem; pojechałem do zarządu tej instytucji, której prezesem był hr. Woroncow-Daszkow, dawny mi-

nister dworu cesarskiego, persona gratissima przy dworze, człowiek rzadkiej szlachetności.

Posiedzenie już się rozpoczęło. Przewodniczył hr. Woroncow-Daszkow. Przywitawszy się, szepnąłem mu, że mam z nim do pomówienia. Oddał przewodnictwo wiceprezesowi i wyszedł ze mną do drugiego pokoju. O katastrofie nie wiedział i opowiadaniem mojem wydawał się zupełnie zgnębiony. Chwilę milczał, a potem cicho wyszeptał:

— Tak, i ja teraz przychodzę do przekonania, że zarządzeniami policyjnymi Rosji się nie uspokoi.

Słowa te wyryły się w mojej pamięci, bo w ustach tak wpływowego satrapy, jakim był hr. Woroncow-Daszkow, były one przedświtem późniejszej konstytucji.

Na drugi dzień poczęły się nabożeństwa żałobne, a potem kazano każdemu z nas, zarządzających poszczególnymi krajami, śpiesznie wyjechać na miejsce urzędowania, bo bano się rewolucyjnych manifestacyj na prowincji.

Wróciłem do Astrachania i pogrążyłem się w pracy codziennej. Tak przeszło około 3 tygodni. Naraz otrzymuję szyfrowy telegram, podpisany przez ober-prokuratora senatu, Koniego, któremu poruczony był dozór nad śledztwem w sprawach szczególniejszej wagi lub ściśle poufnych. Koni prosi, żebym natychmiast doniósł szyfrem: dlaczego kurjer Plewego, po zabójstwie ministra, przyjechał do mnie i oddał tekę z papierami mnie; dlaczego teka była otwarta, skoro kluczyk od niej znaleziono w kieszeni od kamizelki ministra.

Byłem zdumiony. Siedząc w Astrachaniu, pojęcia nie

miałem o bieżących sprawach Petersburga. Przypomniały mi się tylko słowa Thiersa do sędziów: „napiszcie mi dwa słowa, a ja każdego z panów pod gilotynę zaprowadzę“. Postanowiłem nie pisać, ale pojechać osobiście do Petersburga, tem bardziej, że znałem Koniego, spotykając go często w domu posła japońskiego, barona Niszi.

Anatol Teodorowicz Koni był znakomitym prawnikiem-psychologiem i człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości. Przewodniczył sądowi okręgowemu, który uniewinnił Wierę Zasulicz w sprawie zamachu na Trepowa, ober-policmajstra Petersburga. Przez okres panowania Aleksandra III był w niełasce i dopiero za Mikołaja II zajął należne mu stanowisko w senacie. W zeznaniu przed Konim oświadczyłem, że nie wiem, dlaczego kurjer przyjechał do mnie z papierami, przeznaczonemi dla cesarza, sądzą jednak, że zrobił to odruchowo, pod wrażeniem niespodziewanego zabójstwa ministra. Plewe ode mnie wyjechał w śmiertelną swą podróż, ze mną ostatnim w życiu rozmawiał, do mnie więc kurjer przyjechał. Jeszcze mniej wiedziałem, dlaczego portfel był otwarty. Może Plewe go nie zamknął, może źle zamknął, i portfel w drodze się otworzył. Zresztą kurjer był stale przy osobie ministra, cieszył się pełnem zaufaniem Plewego, woził zawsze teki z papierami, kiedy Plewe wyjeżdżał z raportami do cesarza. Zauważyłem, że portfel jest otwarty, zawiązałem go sznurkiem i przypięczętowałem sygnetem herbowym, polecając oddać w ręce pomocnika ministra, p. Durnowo.

— A w jakich stosunkach byłeś pan z Durnowo? — zapytał Koni.

— Tylko w służbowych, nigdy nie przekroczyłem progu prywatnego jego mieszkania, zresztą i służbowych unikałem. Byliśmy w jednym stopniu służbowym, i wołałem wszelkie sprawy omawiać z ministrem, niż z jego pomocnikiem.

— Jakie jest zdanie pańskie o p. Durnowo?

— Pozwoli pan senator, że na to pytanie nie odpowiem.

— Pytam prywatnie i zupełnie poufnie.

— W takim razie odpowiadam nie panu nadprokuratorowi, lecz Anatolowi Teodorowiczowi Koniemu: uważam pana Durnowo za zdolnego do wszelkich ostateczności dla zadość uczynienia swojej ambicji.

— Takie jest i moje zdanie. To on i tylko on jeden mógł ukraść te dokumenty, i źle się stało, że portfel pan zapieczętował i kazał doręczyć p. Durnowo. Teraz niema świadków, jaką była jego zawartość.

Dopiero wtedy ze słów Koniego dowiedziałem się, o co chodzi. Pokazało się, że Plewe przejrzał moralną nicość Durnowo i chciał się go pozbyć, jak również dyrektora departamentu policji, Łopuchina*), którego uważał za nieodpowiedniego na tej najważniejszej placówce w carskiej Rosji (teraźniejsza czerezwyczajka).

*) Córkę Łopuchina porwali rewolucjoniści w Londynie. Łopuchin jeździł zagranicę i za zwrot córki zdemaskował szpiega, Azefa. Za wydanie tajemnic stanu był sądzony, pozbawiony praw i zesłany na Sybir.

Zabrał więc z tajnego archiwum ministerstwa wszelkie ujemne o Durnowo dokumenty, między innymi doniesienie min. spraw zagranicznych, że Durnowo, pełniący wtedy obowiązki dyrektora departamentu policji, będąc w miłosnych stosunkach z jakąś damą z baletu i podejrzewając, że miłość swoją do niego dzieli ona z attaché jednego z poselstw, skorzystał ze swego służbowego stanowiska i kazał zrobić rewizję w mieszkaniu attaché przy poselstwie, gdzie zdobył listy niewiernej kochanki. Owo poselstwo podniosło gwałt z powodu naruszenia jego eksterytorjalności. Sprawa doszła do cesarza Aleksandra III, który na raporcie min. spraw zagranicznych w tym względzie, napisał rezolucję: „Co zrobić z tą kanalją?” Kazał go pozbawić posady dyrektora departamentu policji. Durnowo pozostał przy min. spraw wewn. bez posady etatowej i gaży w ciągu całego panowania Aleksandra III. Potem znów się wybił przy ministrze Sipiaginie, a po zamordowaniu Sipiagina dostał się w spadku Plewemu. Los chciał, że Plewe był zamordowany akurat w dniu, w którym wioził do cesarza dokumenty; że portfel dostał się w ręce Durnowo, który bez skrupułu ukradł kompromitujące go papiery i został najpierw zastępcą ministra, a w gabinecie Wittego był ministrem i faktycznym pogromcą rewolucji 1905 roku.

P. Borys Sawinkow, który zorganizował i przeprowadził zabójstwo Plewego, człowieka, prawda, zdecydowanych przekonań monarchicznych, lecz uczciwego, niechcący wysunął na pierwszy plan Durnowo, człowieka wyzutego ze skrupułów i pogromcę rewolucji, której p. Sawinkow tak pragnął.

Sprawa zaginionych dokumentów znów odżyła, gdy papiery, które były u cesarza, wróciły; brakowało w nich szeregu akt. Oczywiście, nikt nie śmiał upomnieć się o nie u Durnowo. Lecz szept i plotki rosły, wyszły wreszcie poza ściany ministerjum spraw wewnętrznych i doszły do cesarza, który porucił ściśle poufne śledztwo ober-prokuratorowi senatu, Koniemu. Czy o tem Durnowo wiedział? Sądzę, że wiedział, ale wiedział także, iż śledztwo nie da żadnych faktycznych wyników i będzie umorzone, jak tyle spraw w Rosji „dla braku dowodów“. Mnie przynajmniej nikt i nigdy więcej nie nagabywał w tej sprawie.

Drugi epizod, charakteryzujący Durnowo, jako „pogromcę rewolucji“, był następujący:

Rzeka Wołga, wpadając do morza Kaspijskiego, w delcie swej rozdziela się na 47 odnóg. Delta Wołgi i najbliższe części morza posiadają wprost nieobliczalną obfitość ryb i ściągają rybaków z całej południowej części Wołgi. Wyspy delty i przylegający do morza pas ziemi stanowią własność państwową albo też latyfundja prywatnych potentatów takich, jak hr. Elstan, Sumarokow, książę Jusupow, ożeniony z siostrzenicą cesarza Mikołaja, lub hr. Ignatjew, były poseł rosyjski w Turcji, a potem minister spraw wewnętrznych, właściciel 200.000 dziesięcin ziemi. Państwo nie pozwalało osiedlać się rybakom na swoich ziemiach ze względu na ochronę ryb. Właściciele zaś latyfundjów nie sprzedawali ani metra ziemi, woląc wyzyskiwać rybaków w haniebny sposób krótkoterminowemi dzierżawami. W rezultacie przy ujściu Wołgi zebrało się do 70.000 ro-

dzin rybackich, które nie miały kawałka ziemi, żyjących, jak Chińczycy w Kantonie, na łódkach.

Byli to ludzie pracowici, odważni marynarze, dostarczający flocie rosyjskiej najlepszych majtków. Poznawszy ich nad wyraz ciężkie położenie, chciałem im dopomóc, by mogli posiadać choć kawał tak upragnionej ziemi; że zaś właśnie w tym czasie majątek hr. Ignatjewa figurował na liście dóbr, przeznaczonych na sprzedaż przez Bank szlachecki, więc pojechałem do Petersburga, żeby przy pomocy Banku włościańskiego kupić ten obszar dla rybaków.

Po bliższem zbadaniu tej sprawy pokazało się, że hr. Ignatjew kupił te dobra kilka lat temu od słynnego bogacza syberyjskiego, mecenasa Basylewskiego; że 4 miliony rubli, potrzebne na to przedsięwzięcie, dał mu Bank szlachecki, a hr. Ignatjew, ufny w stosunki, nie płacił bankowi ani kapitału, ani procentów, tak, że zmusił bank do wystawienia dóbr na licytację.

Bank włościański skłonny był dać rybakom potrzebne pieniądze. Lecz dyrekcja, bojąc się wejść w kolizję z takim satrapą, jakim był hr. Ignatjew, zażądała, żeby władza wyższa kazała zarządowi kupić ten majątek dla włościan. Trzeba było poparcia. Zwróciłem się, oczywiście, do ministra spraw wewnętrznych, którym był Durnowo, a że to było w 1905 roku, w czasie samej rewolucji, więc w liczbie motywów, które przytoczyłem na korzyść sprawy włościańskiej, wskazałem i to, że rybacy — to lud spokojny, pracowity i bogaty, a więc zasadniczo wrogo odnoszący się do wszelkich ekspery-

mentów komunistycznych; że jego jedyną jęczącą raną jest zupełny brak ziemi.

Durnowo słuchał mnie z wielkiem zainteresowaniem i, jak się zdawało, był dla sprawy zupełnie przychylnie usposobiony. Ale gdy w toku rozmowy wyjaśniło się, że jedynem wyjściem narazie może być kupienie latyfundiów hr. Ignatjewa, odrazu się zmienił: spoważniał, począł niecierpliwie przerzucać papiery na stole, wkońcu przerwał mi słowami:

— Czy pan otrzymał polecenie przejęcia 4 karabinów maszynowych ze składnic ministerjum wojny?

— Tak, otrzymałem, ale ponieważ karabinów maszynowych nie potrzebuję i o nie nie prosiłem, więc też ich nie brałem, sądząc, że są mi przydzielone przez omyłkę.

— Wielka szkoda, że pan ze zlecenia mojego nie skorzystał. Pan, jako prezes komitetu rybackiego, ma statek rządowy. Proszę go natychmiast uzbroić w karabiny maszynowe. Grozi pan rewolucją, jeżeli te łobuzy nie otrzymają ziemi, którą trzeba odebrać od właściciela wielkich obszarów, chociażby za stosownem wynagrodzeniem. A ja panu powiadam: zbierz pan te wszystkie łodzie razem i daj 10 dobrych salw z karabinów maszynowych, a ręczę, że w ciągu 30 lat żadnej rewolucji nie będzie.

Zdumiony takim poleceniem po chwili milczenia rzekłem:

— Panie ministrze! Brałem udział we wszystkich wojnach, jakie Rosja prowadziła w ciągu ostatnich 35 lat. Widziałem dużo krwi przelanej i nie żałowałem swojej, czego dowodzą wysokie oznaki wojskowe, któ-

re noszę. Ale wojowałem z wrogami Rosji, a nie z jej obywatelami i do tej roli nie czuję się zdolny. Żegnam p. ministra.

I wyszedłem z gabinetu.

Wypada dodać, że sprawę włościan-rybaków udało się załatwić przy pomocy A. T. Putiłowa, znanego finansisty rosyjskiego, który w owym czasie był dyrektorem banku rosyjsko-azjatyckiego i sfinansował tę sprawę, a potem mówił mi, że włościanie jak najakuratniej wpłacali raty i w kilka lat wyrównali cały dług wraz z procentami.

SMIERC CESARSKIEGO SYNA

Nie sładzę, żeby ogółowi polskich czytelników były znane szczegóły śmierci Jerzego, drugiego syna cesarza Aleksandra III.

Więc w kilku słowach je opowiem.

W podróży cesarzewicza Mikołaja naokoło świata brał udział i młodszy brat jego, Jerzy. Podróż odbywała się na krążowniku „Pamięć Azowa“. W czasie podróży, już na morzu Śródziemnem, w. ks. Jerzy, mocując się z bratem na pokładzie statku, potknął się i wpadł przez otwór w pokładzie aż na spód okrętu, na złożone tam liny tak nieszczęśliwie, że ciężko sobie rozbił klatkę piersiową.

Oczywiście, podróż przerwano. Wielki książę Jerzy wrócił do Rosji, lecz zdrowia już nie odzyskał. Rozwinęła się gruźlica, i lekarze zalecili mu mieszkać w Abas-Tumanie *), gdzie warunki klimatyczne są rzeczywiście niezrównane. Lecz młody i bardzo żywego usposobienia chłopak i w Abas-Tumanie nie miał widocznie stosow-

*) Abas-Tuman, stacja klimatyczna wśród wspaniałych świerków, niedaleko od znanej miejscowości Borżomu, na południowym Kaukazie.

nej opieki, gdyż pewnego razu, pędząc sam jeden na rowerze, dostał krwotoku i zmarł na szosie, o kilka kilometrów od Abas-Tumanu. Pierwsza zobaczyła go leżącego na zboczu szosy włościanka, niosąca mleko na sprzedaż do miasteczka. Poznawszy w zemdlonym wielkiego księcia, przyniosła mu ona wody, ocuciła i pobiegła po pomoc do pałacyku, znajdującego się w pewnym oddaleniu od miasteczka, gdzie mieszkał wielki książę. Nim jednak nadeszła pomoc, wielki książę umarł samotnie na szosie.

MIKOŁAJ II

Cesarza rosyjskiego, Mikołaja II, znałem osobiście jeszcze wówczas, gdy był on młodziutkim następcą tronu. Potem również się z nim niejednokrotnie stykałem w najrozmaitszych okolicznościach, już jako z samodziercą Rosji. Miałem więc sposobność bezpośrednio obserwować jego zachowanie się i postępowanie, co pozwoliło mi wyrobić sobie pojęcie o jego charakterze. Wobec tego, że postać nieszczęśliwego monarchy, ofiary brutalnego okrucieństwa własnego ludu, wzbudza ogólne zainteresowanie i bywa w różnych publikacjach niedokładnie oświetlana, nie od rzeczy będzie, sądzę, gdy przytoczę parę epizodów z osobistych stosunków z Mikołajem II: czytelnik sam z nich wyciągnie wnioski, charakteryzujące ostatniego cesarza Rosji.

I

SPRAWA O SPADEK

W roku 1892 byłem naczelnikiem powiatu Oszańskiego, prowincji Fergany w Turkiestanie. Nagle otrzymuję list od swej babki ciotecznej, ś. p. Emilji Chełchow-

skiej. Pisze ona, że, nie mając spadkobierców w linii prostej, pragnąc zaś uszanować groby swoich rodziców, chciałaby majątki swoje oddać w ręce pewne i dlatego wybrała mnie na swego spadkobiercę. Prosi więc, bym natychmiast, nie zwlekając ani chwili, pojechał do niej na Żmudź, a ona sporządzi potrzebne dokumenty. Do listu babuni był dołączony list p. Cyprjana Bitowta, sąsiada babki, który w ciągu długich lat prowadził jej interesy i administrował jej majątkami. P. Bitowt pisał, że babcia ma niezłomną wolę zapisania mi obu swych majątków: miasteczka Poszyle i majątku Bortkiszki, położonych w powiecie Rosieńskim w ziemi Kowieńskiej; on to właściwie wskazał mię babci i prosi o natychmiastowy przyjazd, gdyż babcia ma już 90 lat i, chociaż jest zupełnie zdrowa, lecz ze względu na jej wiek katastrofa jest w każdej chwili możliwa. Przytem p. Bitowt uprzedzał mię, że w chwili obecnej na żadną pomoc materjalną nie mogę liczyć i nietylko podróż muszę odbyć na własny koszt, lecz nadto powinienem mieć z sobą parę tysięcy rubli na opłatę rejenta i zdolnego prawnika, których trzeba sprowadzić do majątku, babcia bowiem już od kilku lat nie wychodzi z pokoju. Słowem, wszelkie wydatki miałem ponieść sam, bez żadnego udziału babki.

Byłem zdumiony tą propozycją, ponieważ babki nie widziałem od roku 1865, t. j. od czasu, kiedy nas, jako „koroniarzy“, Moskale wysiedlili ze Żmudzi do Warszawy. Moje wspomnienia dziecięce z tych lat nie należały do zbyt przyjemnych. Od czasu do czasu matka jeździła do babci, do Poszyla, i zawsze brała mię z so-

ba. Było to w czasach najcięższych dla nas: ojciec zesłany był na Syberję, nie znosił tamtejszego klimatu, chorował i potrzebował zasiłków pieniężnych. Majątek nasz, Krepszty pod Telszami, w ziemi Kowieńskiej, był zasekwestrowany i oddany w zarząd miejscowemu sprawnikowi, Aleksiejewowi, który wszelkie dochody obowiązany był oddawać do skarbu na pokrycie nałożonej na moich rodziców kontrybucji *).

Otóż w tym okresie czasu matka jeździła do babki prawdopodobnie w nadziei otrzymania jakiejś pomocy. A że babka ojca mego nie lubiła, więc jeżeli okazywała jaką pomoc, to podlewała ją obficie żółcią. Nieraz widziałem, jak matka łykała lzy, wysłuchując wyrzekań babki na ojca, że zapragnął zostać wojewodą, zamiast siedzieć spokojnie, jak jej mąż i niektórzy inni sąsiedzi; teraz rodzina zmuszona jest do żebraniny.

Wspomnienia te głęboko zapadły w mą pamięć dziecięcą, i obecna propozycja była dla mnie zupełnie niezrozumiała.

Poza tem nie miałem pieniędzy na wydatki i na drogę — musiałem sobie wyrobić długoterminowy urlop.

Wielkorządcą Turkiestanu był wtedy baron A. B. Wrewskij, człowiek wyjątkowej dobroci i szlachetności, że zaś pozyskałem jego zupełne zaufanie tak, że stale poruczał mi przeprowadzenie spraw najzawilszych i wymagających szczególnej dyskrecji, postanowiłem tedy skorzystać z pomyślnego dla mnie zbiegu okoliczności i zwróciłem się do niego, prosząc o radę i pomoc.

*) Patrz wyżej: „Z czasów powstania na Litwie“.

Baron Wrewskij natychmiast zatelegrafował do wileńskiego generał-gubernatora, Orzewskiego, zapytując, w czyjem ręku są obecnie majątki Poszyle i Bortkiszki, jaka jest ich wartość, oraz czy są na nich i jakie długi hipoteczne. W kilka dni potem generał Orzewskij dał odpowiedź telegraficzną, że majątki te są własnością staruszki, Chełchowskiej, hipoteka czysta, a wartość ich, pomimo chaotycznej gospodarki, wynosi przeszło 100.000 rs. według oszacowania, dokonanego przez Bank Ziemiański w Wilnie.

Wobec takich wiadomości baron Wrewskij radził mi zaryzykować i jechać na Litwę, przytem udzielił mi dwumiesięcznego urlopu i pożyczył ze swoich pieniędzy 3.000 rs., obiecując „wykupić“ mię z Rosji Europejskiej w razie, gdyby sumy tej nie wystarczyło na kosztą podróży i opłatę dokumentów. Dług swój miałem spłacać przez automatyczne potrącanie części z należnej mi gaży.

Pojechałem, serdecznie radując się, że znowu zobaczę ziemię rodzinną, gdzie przeżyłem złote czasy mego dzieciństwa.

Nie pamiętam już, na jakiej stacji kolei libawo-romeńskiej trzeba było wysiąść i dalej do Poszyla jechać pocztą, utrzymywaną przez Żydów. Podjechałem do dworu koło południa. Brama wjazdowa była zamknięta na głucho na ogromną kłódkę. Dobrze pół godziny waliliśmy w nią we dwóch z pocztyljonem; psy ujadaly z wściekłością, lecz do bramy nikt się nie zbliżył, choć widzieliśmy parę głów kobiecych, które wyjrzały z oficyny i z folwarku i zaraz się schowały.

Wreszcie żydek-pocztyljon oświadczył mi, że, jeżeli pana administratora w domu niema, to przyjeżdżających z dzwonkiem lub w ubraniu wojskowem za nic nie wpuszczą na podwórze; lepiej więc nie kołatać do bramy, lecz pojechać do plebanji, a proboszcz jakoś sprawę załatwi. Tak też zrobiliśmy.

Proboszcz, pogodny i gościnnie staruszek, słyszał coś niecoś o mnie, jako o podróżniku po Azji, i nacieszyć się nie mógł moim widokiem; prosił, bym nie śpieszył do dworu, gdyż w razie nieobecności pana Bitowta babka mię nie przyjmie, i będę musiał siedzieć sam jeden w oficynie, więc lepiej jest przenocować u niego i nazajutrz, skoro wróci pan Bitowt, pójść wprost do babki.

Oczywiście na to się nie zgodziłem. Ks. proboszcz więc zmobilizował organistę, który wziął moją walizkę, i poszliśmy razem do dworu, odległego od kościoła o jakie pół kilometra.

Pokazało się, że proboszcz miał słuszość: na interwencję organisty wprowadzono otworzono bramę, lecz zaproszono mię do oficyny, na drugim końcu podwórza.

W nocy dopiero przyjechał p. Bitowt i natychmiast przyszedł do mnie. Znałem i pamiętałem go z lat dziecięcych. W rozmowie otwarcie mi powiedział, że wskazał babce mnie, jako spadkobiercę, i doprowadzi sprawę do końca, jeżeli wydam rejentalne zaświadczenie, w którym wszystkie jego gospodarze zarządzenia uznają za dobre i zrzekną się wszelkich do niego pretensyj. Na usprawiedliwienie swego żądania nadmienił, że od dwudziestu kilku lat administruje majątkami

babki, nie żądając za swą pracę żadnego wynagrodzenia. Źle, czy dobrze gospodarzył, to inna sprawa: gospodarował, jak umiał, lecz nie chciałby w razie śmierci babki, by spadkobiercy, którzy nigdy i w niczem jej nie pomogli, ciągnęli go jeszcze po sądach.

Zgodziłem się na to żądanie, bo jakież prawo miałem do kontroli w okresie, kiedy babka sama rządziła swym majątkiem?

Nazajutrz poszliśmy do dworu. Byłem zdumiony, że babcia nic się nie zmieniła od 20 lat, t. j. od czasu, kiedy ją widziałem po raz ostatni.

Babka potwierdziła treść swego listu i to, co mówił p. Bitowt. Posłano po adwokata, który sporządził akt darowizny. Jednakże sprowadzony z miasteczka Kroże rejent odmówił poświadczenia tego aktu, a to na zasadzie prawa z roku 1865, na mocy którego osoby pochodzenia polskiego mogły dziedziczyć ziemię tylko w prostej linii po rodzicach lub najbliższych krewnych. Wszelkie zaś kupno ziemi na Litwie lub przyjmowanie jej w charakterze darowizny było Polakom zupełnie wzbronione. Ponieważ panią Chełchowską nazywaliśmy babką tylko dlatego, że była ona przyrodnią siostrą mojej babki, i przytem miała dalekich krewnych, przeto akt darowizny na moją korzyść nie mógł być zatwierdzony przez sądy.

Wobec tego babka, chcąc w jakikolwiek sposób zapewnić mi prawo władania majątkami, sporządziła kontrakt, w którym oddawała mi obydwie majątki w dzierżawę na 36 lat, oraz zaświadczyła, że tenutę za cały ten czas otrzymała zgóry. Akta te kazała spisać

w nadziei, że w ciągu 36 lat okoliczności mogą się zmienić, i będę mógł prawnie przyjąć od niej darowiznę.

Wreszcie zastanawialiśmy się, czy się nie uda wyzyskać moich stosunków w Petersburgu i w drodze łaski i wyjątku uzyskać specjalnego pozwolenia na przyjęcie tych dóbr przeze mnie.

Przebywszy u babki kilka dni, zabrałem wszystkie dokumenty i pojechałem do Petersburga. Były to czasy silnej reakcji, kiedy Aleksander III rządził Rosją żelazną ręką. Rozejrzawszy się w położeniu, ze zdziwieniem stwierdziłem, że nawet ludzie, obdarzający mnie prawdziwą sympatją, ludzie, którym bardzo dużo byłem obowiązany, jak np. długoletni wice-prezes Tow. Geograficznego, senator Siemionow (prezesem był wielki książę Mikołaj Michajłowicz), chociaż uznawali zasługi moje dla Rosji i niesprawiedliwość krzywdzącego mię prawa, jednak występowali w mojej obronie z rezerwą, bojąc się narazić kołom nacjonalistycznym, jakie zjednoczył i inspirował osobiście cesarz Aleksander III.

Wyjątku pod tym względem nie stanowił taki potentat, jak ówczesny minister dworu cesarskiego, hr. Woroncow-Daszkow, towarzysz zabaw dziecięcych Aleksandra III i jego adjutant osobisty, w czasie, kiedy ten był jeszcze następcą tronu.

Hr. Woroncow-Daszkow służył czas jakiś w Turkiestanie, polubił ten kraj, uważał się za obrońcę jego spraw i stale protegował wybitnych działaczy i pracowników turkiestańskich. Dla mnie był ze szczególnem

uznaniem. Kiedy jednak zwróciłem się do niego z prośbą o pomoc i protekcję, wręcz mi oświadczył: „Prawo to krzywdzi pana bezwzględnie, i trzeba dla pana obmyślić jakieś odszkodowanie; lecz robienie wyjątków, chociażby ze względu na zasługi pańskie, sprawiłoby ogromną szkodę 25-letniej nacjonalistycznej polityce Rosji na Litwie, a na to cesarz Aleksander nie zgodzi się na pewno. Spróbujmy jednak przez żonę moją zatakować cesarzową Marję Teodorównę. Pójdź pan w mojem imieniu na górę. Żona, zdaje się, jest jeszcze w domu“.

Widząc, że wszystkie me zabiegi nie ruszyły sprawy z miejsca, i rozstrzygnięcie jej odkłada się ad calendas graecas, czas urlopu mija, pieniądze się rozchodzą, postanowiłem wyzyskać ostatni atut i zwrócić się osobiście do cesarzewicza Mikołaja. Wiedziałem, że ojciec trzyma go zdala od spraw państwowych, nie będzie on więc śmiał prosić o cośkolwiek cesarza. Lecz sądziłem, że interwencja jego u wpływowych ministrów nie pozostanie bez skutku. Cesarzewicz był już pełnoletni, lada chwila mógł wstąpić na tron, i trzeba się było liczyć z jego zdaniem.

Zwróciłem się tedy do generała Daniłowicza z prośbą, by mi wyrobił audjencję. Ponieważ cesarzewicz skończył okres swego wychowania, więc generał Daniłowicz, jego wychowawca, mieszkał już oddzielnie. Pomimo tego poszedł do cesarzewicza i tego samego dnia zawiadomił mię przez feld-jegra, kiedy mam się stawić w pałacu Aniczkowskim, gdzie następcą tronu zaj-

mował nieduży apartament na I piętrze z oknami, wychodzącymi na ogród.

Cesarzewicz przyjął mię nadzwyczaj serdecznie, rozpytując o życie w Turkiestanie i wyrażając ubolewanie, że zaniechałem swych podróży, które wyjaśniły tyle zagadnień, dotyczących geografji Azji Środkowej. przytem wyraził gotowość sfinansowania nowej podróży, gdybym ją zaprojektował.

Podziękowałem, tłumacząc, że z powodu nadwątłego zdrowia żadnych podróży przedsiębrać nie mogę; w obecnej zaś chwili zjawiam się tutaj z prośbą o obronę przed prawem, które krzywdzi mię najniesłuszniej. Opowiedziałem meritum sprawy, tylko o to prosząc, bym został zrównany w prawach z najbiedniejszym chłopem rosyjskim, t. j. by mi pozwolono przyjąć darowiznę, którą krewni chcą mi ofiarować.

Cesarzewicz wprost był zdumiony moją prośbą i zapewniał, że nigdy nie słyszał, aby prawo takie istniało w Rosji; oświadczył, że zapewne jest to zarządzenie władzy miejscowej, które on wyjaśni i załatwi; przytem z początku wziął przygotowane przeze mnie memorandum, następnie jednak, dowiedziawszy się, że chodzi o ziemię na Litwie, zwrócił mi je, mówiąc: „W Petersburgu bawi obecnie grodzieńsko-kowieńsko-wileński generał-gubernator, generał Orzewskij; w tych dniach wraca on do Wilna i będzie u mnie, by mię pożegnać. Dam panu znać, kiedy to nastąpi. Proszę przyjechać i przywieźć prośbę. Pomówię z nim w pańskiej obecności i jestem przekonany, iż to przykre nieporozumienie wyjaśnimy niezwłocznie“.

Podziękowałem i wyszedłem prawie zupełnie uspokojony, rozmyślając nad metodą wychowania następcy tronu, który, jak się okazało, nie podejrzewał nawet istnienia w Rosji praw wjatkowych, gnębiących tak okrutnie obywateli poszczególnych narodowości.

W parę dni potem adjutant cesarzewicza, książę Koczubej, zawiadomił mię, iż nazajutrz o 9 rano mam się stawić w pałacu Aniczkowskim.

W poczekalni zastałem tylko księcia Koczubeja. Orzewskij był już w gabinecie cesarzewicza. W jakieś pół godziny wyszedł Orzewskij, a za nim ukazał się cesarzewicz, który, przywitawszy mię, zwrócił się do Orzewskiego:

„Generale, panowie się nie znają? Przedstawiam panu pułkownika Grąbczewskiego. To nasz słynny badacz Azji, który oddał już Rosji nieocenione usługi, a obecnie jest naczelnikiem najtrudniejszego okręgu, bo zarządza naszą granicą z Chinami, Indjami i Afganistanem. Pułkownik twierdzi, że istnieje prawo, wzbraniające mu przyjęcia darowizny dwóch majątków, które chcą mu ofiarować jego krewni, i prosi o wydanie odpowiedniego pozwolenia. Sądzę, że sprawa polega na nieporozumieniu; dlatego proszę pana generała o wyświadczenie mi osobistej przysługi („wlicznoje mnie odołżenje“) i o rozpatrzenie tej sprawy. Bardzo mi zależy na pomyślnem jej rozwiązaniu“.

Orzewskij dwornie podszedł do mnie i, powiedziawszy parę komplementów, oraz zaznaczając, że nazwisko moje jest mu oddawna znane, oświadczył, iż mimo, że dziś wyjeżdża do Wilna, chętnie spełni prośbę ce-

sarzewicza i przyjmie mię jeszcze dzisiaj o godz. 3 pp.: mieszka w hotelu Europejskim.

Na audjencję u Orzewskiego zjawiłem się punktualnie. Orzewskij znał Żmudź dosyć dobrze i począł wypytywać, w jakiej miejscowości leży miasteczko Poszyle. Niebacznie wyrwało mi się, że o 8 kilometrów od miasteczka Kroże. Orzewskij, usłyszawszy tę nazwę, aż podskoczył na krześle i wpił się swemi siwemi oczyma, świdrując mię nawskroś. A trzeba zauważyć, że Kroże podówczas były na ustach wszystkich nietylko na Litwie i wśród władz petersburskich, lecz i w prasie zagranicznej, przeważnie zakordonowej, z powodu zwierzęcej rozprawy gubernatora kowieńskiego, Klingenberga, z mieszczanami i okolicznem, bardzo prawowiernem włościaństwem *).

*) Zatarg powstał z tego powodu, że władze zaborcze uznały, iż małe Kroże mają za wiele kościołów, i postanowiły jeden z nich przekształcić na cerkiew. Mieszkańcy oparli się temu: tłumnie z żonami i dziećmi otoczyli kościół i w walce z policją odnieśli zwycięstwo, nie dopuściwszy do zajęcia kościoła. Ten opór ze strony mieszkańców rząd uznał za bunt. Zjawił się Klingenberg z kozakami, i poczęła się chłosta na śmierć, aresztowania i deportacja księży i mieszkańców na Sybir.

Delegacje miejscowego obywatelstwa, nie znalazłszy sprawiedliwości u Orzewskiego, dotarły do Petersburga, i tam, przy wydatnej pomocy prof. W. Spasowicza oraz innych członków kolonji polskiej, udało się zwrócić uwagę rządu centralnego na bezprawia, jakie się działy na Żmudzi: Orzewskiego wezwano do Petersburga, w celu wytłumaczenia krwawych zająć.

Dlaczego, mówiąc o Poszylu, wymieniłem Kroże, gdzie nigdy nie byłem, a nie inne jakieś miasteczko, doprawdy nie wiem. Chyba tylko dlatego, że o Krożach wówczas wszyscy mówili. Jednak Orzewskiego pobudziło to do gorączkowych pytań:

— „Był pan teraz w Krożach?”

— „Nie! Nietylko teraz, ale i wogóle tam nie byłem“.

— „W jakiż sposób dostał się pan do Poszyla?”

— „Przez Wornce i Kołtyniany“.

— „A babka pańska pewnie jeździ do kościoła do Kroż?”

— „Babka ma swój kościół parafialny w miasteczku, o pół kilometra od dworu. Zresztą, jako 90-letnia staruszka, od kilkunastu lat nietylko do kościoła, ale i z domu nie wychodziła“.

Uspokoiwszy się nieco, Orzewskij przeszedł do sprawy, która mię sprowadziła do niego. Zaczął od tego, że on, jak cała Rosja, ma wielkie uznanie dla mnie za zdobycze naukowe, chciałby osobiście zrobić dla mnie wszystko co może, tem bardziej, że go o to prosił następca tronu, przyszły car i władca (prawiciel) nas wszystkich. Nad sprawą moją zastanawiał się od samego rana. Domyśla się i pojmuję dobrze, że i babka moja, występując, jako ofiarodawczyni, i ja, przyjmując jej ofiarę, działamy pod presją „partji polskiej“, która za wszelką cenę pragnie zrobić wyłom w prawie majątkowem, stosowanem na całej Litwie w celu wzmocnienia elementu rosyjskiego wśród obszarników — Polaków. Przyznanie mi pewnych ustępstw stałoby się powodem setek, może tysięcy analogicznych próśb, któ-

rych zwalczanie jest niemożliwe dla rządu. Nie można jednym pociągnięciem pióra przekreślić 25-letniej pracy na polu zruszczenia („obrusienja“) Litwy w celu zjednoczenia jej z macierzą — Rosją.

Z drugiej strony — ciągnął dalej Orzewskij — nie może on lekceważyć prośby cesarzewicza, który podkreślił przecie, że wszystko, dla mnie uczynione, będzie uważał za osobistą przysługę dla siebie. Otóż, zważywszy to wszystko, on znajduje tylko jedno wyjście, a mianowicie: Prawo wyjątkowe, o którym mowa, głosi, że ziemię na obszarze trzech gubernij litewskich mogą nabywać Niemcy*) i Rosjanie, zrodzeni z rodziców prawosławnych; dla mnie gotów on jest zrobić wyjątek: niech przyjmę prawosławie, a on, by zadowolić cesarzewicza, sam będzie prosił cesarza o wyjątkową łaskę dla mnie, o pozwolenie przyjęcia darowizny.

Propozycja ta tak niespodziewanie spadła na mnie, że osłupiałem! Z oburzenia język mi odmówił posłuszeństwa, i przez chwilę nie mogłem się zdobyć na spokojną odpowiedź. Dopiero nieco ochłonawszy, odrzekłem:

— „Dziękuję panu generałowi za zajęcie się moją sprawą, lecz zrobionej mi propozycji nie mogę inaczej traktować, tylko jako chęć skontrolowania moich zasadniczych poglądów na życie. Nie jestem bigotem i nie sądzę, by jedynie katolicy mogli dostąpić zbawienia;

*) Prawo wydane było w 1865 roku za rządów gen.-gub. Niemca, von Kaufmana, późniejszego długoletniego gen.-gub. Turkiestanu.

lecz również daleki jestem od przypuszczenia, że prawosławie wywiodłoby mię na właściwą drogę zbawienia. Zmieniać zaś religję bez przekonania, mając na widoku tylko korzyści materialne, byłoby postępkim wysoce niemoralnym. Gdybym to zrobił, pan sam starałby się uniknąć podania mi ręki, bo musiałby pomyśleć: „A to łotr (prochwest)! Zmienił wiarę ojców, aby odziedziczyć dwa szmaty ziemi“. Cesarzewicz panu nadmienił, że obecnie zarządzam granicami Rosji z trzema ościennymi państwami w Azji. Rząd rosyjski mi ufa; sprawę ochrony granic uzależnia od moich raportów, i to, że jestem katolikiem, w niczem nie przeszkadza mi w sumiennem spełnianiu przyjętych na siebie obowiązków. Więc pozwoli pan generał, że o przekonaniach religijnych nie będziemy więcej mówili“.

Orzewskij widocznie był stropiony moją odpowiedzią, szybko wstał z fotelu, kilkakrotnie potrząsł moją ręką, mówiąc, iż serdecznie żałuje, że nie mógł naraźe znaleźć innego wyjścia. Przytem dodał, że z drogi napisze do cesarzewicza list, w którym streści naszą rozmowę, i jest pewien, że to zwiększy jeszcze szacunek cesarzewicza dla mnie.

Ostatecznie oświadczył, że, gdyby minister spraw wewnętrznych sam rozstrzygnął tę sprawę i wydał odnośne pozwolenie, on, Orzewskij, protestować, jako generał-gubernator, nie będzie. Tylko niech się do niego nie zwracają po zasiągnięcie opinji, bo on zgodnie ze swemi przekonaniem, będzie musiał odmówić.

Sprawa moja znowu stanęła na punkcie martwym. Nie wiedząc, czy Orzewskij doniósł cesarzewiczowi

o wyniku rozmowy ze mną i, jeżeli doniósł, jak ją przedstawił, wyrobiłem sobie nową audjencję, tym razem przez adjutanta cesarzewicza, księcia Koczubeja, który mieszkał we własnym, wspaniale urządzonej pałacu na Kamiennym Ostrowie.

Jak się pokazało, Orzewskij pisał z Wilna do cesarzewicza, że poznawszy całokształt mojej sprawy, przyszedł do przekonania, iż prawo jest kateryczne i jasne, jedynie więc cesarz w drodze wyjątkowej łaski może pozwolić na jego obejście. Ale swą propozycją, bym zmienił wiarę, nie pochwalił się, i cesarzewicz, dowiedziawszy się o tem ode mnie, zawołał: „A, nie spodziewałem się czegoś podobnego ze strony Orzewskiego!“

Po namyśle następca tronu poradził mi, abym wyśtosował prośbę do cesarza, obiecując pomówić o tem z głównym kierownikiem kancelarji cesarskiej.

Prośbę napisał mi prof. W. Spasowicz, który wogóle brał najszczerszy udział w mej sprawie. Oddałem ją głównemu kierownikowi kancelarji (Niemiec, nazwiska jego w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć), którego już uprzedził cesarzewicz i który obiecał wszelką pomoc. Potem wyjechałem do Turkiestanu, obładowany dokumentami, świadczącymi o darowiznie, lecz z wielką luką w moim budżecie, wyniósłszy z wszelkich tych starań przekonanie, że cesarzewicz chciał mi pomóc i zrobił wszystko, na co mu pozwalały stosunki rodzinne, w jakich wychowywał się i żył.

W kilka tygodni po powrocie do Oszu w Ferganie, gdzie stale mieszkałem, otrzymałem dużą kopertę z dru-

kowanym wielkimi literami napisem: „Z rozkazu jego cesarskiej mości“. („Po wysoczajszemu powielenju“). Z pewnem wzruszeniem zламаłem pieczęć i znalazłem następujące zawiadomienie kancelarji cesarskiej: „Na prośbie, podanej Jego Cesarskiej Mości, w której pan zaznacza, że, spełniając zlecenia służbowe w niezwykle ciężkich warunkach, stracił pan zdrowie; że wobec braku wszelkich innych środków, prócz emerytury w przyszłości, czeka pana nędza, przeto dla zabezpieczenia sobie starości prosi pan o pozwolenie, tytułem wyjątku z obowiązującego na Żmudzi prawa, przyjęcia darowizny dwóch znajdujących się tam majątków — Najjaśniejszy Pan raczył własnoręcznie nakreślić: „Odmówić“. („Otkazat“).

Minęły dwa lata. Najniespodziewaniej umarł cesarz Aleksander III; na tron wstąpił Mikołaj II, i zjawiała się możność wznowienia mojej sprawy. Pojechałem do Petersburga i za poradą przyjaciół, którzy dobrze znali stosunki miejscowe, zwróciłem się do ministra spraw wewnętrznych, Sipiagina *), prosząc o przedstawienie cesarzowi mojej sprawy.

Po kilku dniach Sipiagin zawezwał mię i zawiadomił, że sprawa moja weszła na dobrą drogę: cesarz Mikołaj ją doskonale pamięta i rozkazał przygotować potrzebne dokumenty.

Odetchnąłem! Zdawało się, że wszystko załatwi się

*) Zabity był w parę miesięcy później przez socjalnego rewolucjonistę, przebranego za oficera, przy wejściu na posiedzenie Rady Państwa w Pałacu Maryjskim.

jak najlepiej. Tymczasem los zrządził inaczej. Tego dnia, kiedy byłem u Sipiagina, czy też nazajutrz otrzymałem telegram od p. Bitowta, że moja babka umarła i już jest pochowana w grobach rodzinnych, więc przyjeżdżać do Poszyla nie mam potrzeby. Telegram był wysłany w siedem dni po zgonie babki.

Poszedłem z depeszą do Sipiagina. Przeczytał i ręce rozłożył:

„Los prześladowuje pana! Obecnie nie może być mowy o „Najwyższym ukazie“ na korzyść pańską, gdyż akt darowizny babki, jako sprzeczny z obowiązującym prawem, nie miał mocy prawnej za jej życia, z chwilą zaś jej śmierci w prawa swoje wchodzi spadkobiercy. W tym razie najwyższy rozkaz byłby oparty na ich krzywdzie. Zresztą spróbuj pan odwołać się do sądu okręgowego.

Sądzić się nie chciałem. Zjechaliśmy się w Kownie: spadkobiercy główni, Huszczowie, Bitowt i jeszcze paru innych spadkobierców. Zwrócono mi koszta, jakie mogłem poprzeć dowodami, co naturalnie było z moją wielką krzywdą, ja zaś im oddałem wszystkie kontrakty i dokumenty.

Rozjechaliśmy się, by się więcej w życiu nie spotkać.

II

W PRZEDEDNIU WOJNY JAPOŃSKIEJ

W latach 1899—1903 zajmowałem stanowisko generalnego komisarza Kwantunu z rezydencją w Porcie

Artura. A że na podstawie prawa o urlopach każdy z pełniących służbę na Dalekim Wschodzie Rosji mógł korzystać z urlopu corocznie w ciągu miesiąca, a co trzy lata — w ciągu 6 miesięcy, przeto i ja prawa swoje do urlopu wyzyskiwałem święcie, wybierając na wypoczynek Japonję i to przeważnie w miesiącach zimowych, aby w łagodnym klimacie tego kraju, ogrzewanego ciepłym prądem Kuro-Siwa, odpocząć od zimnych wiatrów północnych i ciężkich mrozów mandżurskich, patrząc na rosnące w gruncie draceny, kamelje, azalje i rododendrony.

Nadto ciągnęła mię do Japonji nieprzeparta sympatja do narodu, który w ciągu 30-lecia, t. j. w ciągu jednego pokolenia, znalazł w sobie dość siły, aby przyswoić sobie wszystko, co mogła dać kultura europejska. Oczywiście, metamorfoza taka mogła błyskawicznie nastąpić tylko dlatego, że Japończycy posiadali własną wysoką kulturę. Lecz odcięci przez rząd swój od reszty świata, nie wiedzieli, jak inne narody żyją i rozwijają się; nie mieli pojęcia o sile pary i elektryczności i zmianach, jakie czynniki te spowodowały w życiu sąsiadów.

Przedtem jeszcze, w r. 1896 spędziłem w Japonji kilka miesięcy i, podróżując samotnie po całym kraju, miałem możność bliżej poznać Japończyków, ich ambicję, patriotyzm i ofiarność dla ojczyzny. Wtedy już przekonałem się, że naród ten nie daruje Rosji pozbawienia go wyników zwycięskiej wojny z Chinami i w cichości gotuje krwawy odwet. O nadciągającej walce na śmierć i życie uprzedzałem rosyjską opinię pu-

bliczną listami, drukowanemi w gazecie „Nowoje Wremja“ w czerwcu czy lipcu 1896 roku *).

Ostrzeżenia te zlekceważyła wówczas zarówno opinia publiczna, jak i sam Mikołaj II, co się pokaże z dalszego mego opowiadania.

Realizując w życiu sympatje swe do Japonji, pomagałem, czem mogłem, Japończykom, których duża kolonja mieszkała i handlowała w Porcie Artura, oraz w innych osiedlach Kwantunu. Dobre chęci moje w swoim czasie oceniono w Japonji, i marszałek, hrabia Ito, przejeżdżając przez Port Artura, w imieniu mikada wręczył mi dyplom i oznaki wysokiego orderu japońskiego „Świętego Skarbu“.

Obcując z Japończykami, nie zamykałem oczu i na wady, właściwe ich charakterowi, do których zaliczam namiętne szpiegowanie każdego przyjeżdżającego do ich ojczyzny cudzoziemca, tem bardziej zaś gościa, zajmującego pierwszorzędne stanowisko urzędowe w najbliższej kolonji rosyjskiej. To też wiedząc na pewno, że będę przedmiotem szczególnego dozoru szpiegowskiego i chcąc zapewnić sobie spokojne wywczasy, urządziłem się w taki sposób: przybywszy do Nagasaki, portu japońskiego najbliższego Portu Artura, brałem tłumacza z hotelu i udawałem się z wizytą, niby sąsiad do sąsiada, do miejscowego gubernatora. W rozmowie oznajmia-

*) Podpisywałem je nie nazwiskiem, lecz literami B. G., gdyż jako oficer armji czynnej mogłem występować w prasie tylko z artykułami, aprobowanemi przez swoją władzę, czego naturalnie unikałem.

łem, że mam zamiar przebyć w Japonji tyle a tyle czasu i zwiedzić takie a takie miejscowości, że zaś nie znam języka, przeto uprzejmie proszę o polecenie mi dobrego tłumacza, przedewszystkiem człowieka kulturalnego, któryby mógł mi towarzyszyć przez cały czas mego pobytu w Japonji i przekładać miejscowe gazety.

Prośbę taką załatwiano z największą uprzejmością. Władze miejscowe przysyłały swojego człowieka zaufanego, z którym umawiałem się co do miesięcznego wynagrodzenia, biorąc na siebie koszty utrzymania w hotelach i przejazdu. Mając stale przy sobie takiego „argusa“, starałem się pozyskać jego sympatję, co przy wygórowanej ambicji Japończyków i wrażliwości ich w stosunkach z Europejczykami było zupełnie nie-trudno. Wystarczało być uprzejmym, zapraszać do swego stołu, jeździć w tym samym przedziale kolejami i wogóle utrzymywać stosunek towarzyski taki, jakibym utrzymywał, mając przy sobie wykształconego Europejczyka.

Tłumacz taki zwykle okazywał nieocenione usługi, zabezpieczając od drobnych zająś, szczególnie w czasie podróży nie kolejają, lecz na rykszach, oraz podczas noclegów we wsiach i małych miasteczkach; bronił od wyzysku w hotelach i sklepach, wyjaśniał miejscowe zwyczaje i obyczaje; tłumaczył pisma, z których (szczególnie nacjonalistycznych) zawsze można było wysnuć wiele ciekawych wniosków, wyjaśniających zamiary rządu i nadzieje narodu japońskiego. Słowem wydatek na tłumacza opłacały stokrotnie wiadomości, zdobyte w podróży.

Ze tłumacze, przysyłani przez władze japońskie, otrzymywali specjalne zlecenia, o tem nie wątpiłem, lecz mnie to nie obchodziło. Chciałem poznać Japonję taką, jaka była w rzeczywistości, ale nie miałem zamiaru szpiegować i podpatrywać.

W końcu roku 1902 dosłużyłem się prawa do 6-miesięcznego urlopu, i otrzymawszy go, wyjechałem do Japonji. W Nagasaki wyznaczono mi tego samego tłumacza, który przed rokiem towarzyszył mi w przeciągu miesiąca i okazywał wielką sympatję i szacunek. Ponieważ czułem się niezdrów, więc z polecenia lekarzy udałem się na 6 tygodni do miasteczka Mijanoszty, słynnego ze źródeł, leczących artretyzm i złą przemianę materji. W Mijanoszty jeszcze kolei nie było, i spory kawał drogi trzeba było przebyć na rykszach.

Urządziwszy się w doskonałym hotelu niedrogo, gdyż nie był to okres sezonu w Mijanoszty, począłem się rozkoszować urlopem. Publiczności było niewiele i to przeważnie Japończycy, więc po odrobieniu przepisanych zabiegów lekarskich, spędzałem czas na wycieczkach po ślicznych okolicach górzystych i na czytaniu gazet, których w Japonji jest mnóstwo.

Już w drodze zauważyłem jakiś szczególny nastrój, niezwykły u zawsze grzecznych i przyjaźnie uśmiechniętych Japończyków, gazety zaś były przepelnione szowinistycznymi artykułami, obliczonymi na wzbudzenie odpowiedniego nastroju wśród szerokich mas ludności.

Z tem wszystkiem czas kuracji w Mijanoszty schodził szybko i przyjemnie. Szczególnie zaprzyjaźniliśmy się z p. Iszy, współwłaścicielem jednego z głównych towa-

rzystw okrętowych, utrzymujących towarowo-pasażerską komunikację z rozmaitemi krajami niemal całego świata. Wychowaniec tokijskiej szkoły handlowej, jako młodzieniec został on urzędnikiem tego towarzystwa i po 20 latach pracy nie tylko stał na jego czele, lecz i rozwinął je znakomicie. Nie było linii na oceanach: Spokojnym, Atlantyckim lub Indyjskim, po którejby nie kursowały statki tego towarzystwa.

W okresie tym bardzo interesowałem się sprawą zaprowadzenia żeglugi wzdłuż brzegów Kwantunu i otrzymałem od niego wyczerpujące wiadomości i dane, dotyczące nadbrzeżnej żeglugi w Japonji. On również dał mi do przejrzenia poufną umowę z rządem, na zasadzie której, za dość wysokie zresztą subsydjum, towarzystwo zobowiązało się na pierwsze wezwanie oddać wszystkie swoje statki do rozporządzenia rządowi i bez jego pozwolenia nie wysyłać ich dalej, niż na jeden dzień drogi od portu, w którym statek był zapisany.

Byłem zdumiony warunkami umowy, która godziła w podstawy dopiero rozwijającego się handlu morskiego Japonji. Wiedziałem, że Japonja jest jeszcze zbyt biedna, aby móc pozwolić sobie na unieruchomienie i przywiązanie do portów setek statków handlowych najpotężniejszego towarzystwa żeglugi morskiej, i że przyjęty przez nie sposób zamówienia statków transportowych na potrzeby wojskowe mógł być zastosowany tylko w oczekiwaniu wojny w najbliższym czasie.

Przypuszczenia te potwierdzały moje obserwacje w Jokohamie i w Tokjo, dokąd pojechałem po skończeniu kuracji w Mijanoszcie. W rozgwarze życia 2-miljonowe-

go miasta, pomimo specjalnej umiejętności Japończyków ukrywania przed cudzoziemcami niepożądanych objawów tego życia, nietrudno było zauważyć mnóstwa faktów, które domysły moje zamieniły w pewność, iż jesteście w przededniu okropnej wojny.

Takiego samego zdania byli i cudzoziemcy, mieszkający stale w Tokjo i Jokohamie. Tymczasem w Rosji nawet nie podejrzewano rzeczywistego nastroju i zamierzeń Japonji. Sfery rządzące stale uspokajały przedstawicieli państwa rosyjskiego w Tokjo, którzy, oczarowani uprzejmościami rządu japońskiego, święcie wierzyli w przyjaźń Japonji.

Pomimo tego wszystkiego trudno było ukryć szydło w worku. O gorączkowych przygotowaniach Japonji do wojny donosili swym rządowi agenci wojskowi innych mocarstw, i wiadomości te drogą okrężną dochodziły do ministra wojny, gen. Kuropatkina, który, w celu wyjaśnienia tej sprawy, na wiosnę tego samego roku osobiście pojechał był do Japonji z poleceniem od cesarza do mikada.

O wizycie tej krążyły w Tokjo anegdotyczne opowieści, gdyż miała ona cechy uroczystego pochodu triumfalnego, w czasie którego pokazano Kuropatkinowi nie rzeczywisty stan przygotowania wojskowego, lecz przeciwnie to jedynie, co mogło świadczyć o zupełnem nieprzygotowaniu Japonji do wojny. Olśniony uprzejmością Japończyków, generał wrócił do Petersburga, przekonany o pokojowym ich nastroju w stosunku do Rosji, co też stwierdził z naciskiem w swem sprawozdaniu. Jednak, jako człowiek rozumny i zawodowo wy-

kształcony, mimo wszystko, nie mógł nie zwrócić uwagi na gorączkowo czynione przez Japonję zakupy rozmaitych zapasów, lecz objaśniał to rozgoryczeniem przeciwko Ameryce i możliwością zbrojnego z nią konfliktu.

Sprawozdanie takie zupełnie odpowiadało nastrojom Rosji, która nie skończyła jeszcze budowy kolei w Mandżurji, co pochłaniało setki milionów rubli rocznie, pragnęła tylko stałego pokoju, któryby pozwolił ukończyć to wielkie przedsięwzięcie. Obawę rozdrażnienia czemkolwiek Japończyków posunięto do absurdu, nawet z widocznem pokrzywdzeniem spraw państwowych. Tak np. minister Witte, który stał na czele budowy drogi mandżurskiej, sprzeciwiał się zwiększeniu wojsk rosyjskich, których liczba w chwili wybuchu wojny sięgała 40.000, przyczem były one rozrzucone garnizonami w rozmaitych miastach całej Mandżurji; tymczasem Japonja w ciągu 36 godzin mogła wystawić do 200.000 wojska i wysadzić je na brzeg np. w zatokach Bidrzywo lub Talienwanu na Kwantunie, które, jako ukryte zatoki do pokojowego lądowania, nie były zupełnie strzeżone, jak zresztą i całe wybrzeże Kwantunu.

Z tych samych powodów Witte odmawiał kredytów na prowadzenie robót fortyfikacyjnych w Porcie Artura, jednocześnie nie żałując milionów, które rzucał szczerą ręką na budowę miasta i portu handlowego „Dalnij“ (leżących zaledwie o 60 kilometrów od Portu Artura; cała Rosja port ten nazywała „Lisznij“ t. j. „Zbyteczny“). W czasie wojny urządzenia portowe wyzyskali Japończycy, i okazały one ogromne usługi przy wyladowywaniu ciężkiej artylerji i setek tysięcy tonn rozma-

tych rzeczy, niezbędnych przy oblężeniu Portu Artura.

Wiara w konieczność wszelkich ustępstw tak opanowała Wittego, że, będąc w jesieni r. 1902 w Porcie Artura, w jednej z poufnych rozmów ze mną powiedział: „Jesteśmy obecnie w takim położeniu, że, gdyby Japończykom przyszła ochota plunąć nam w twarz („w mordę nam plunąć“), moglibyśmy tylko się obetrzeć, mówiąc: „Bóżija rosa“ (rosa Boża). Okoliczności zmienią się zupełnie dopiero za dwa lata, i wtedy odpłacimy Japończykom za swoje“. Na uwagę moją, że o słabości Rosji Japończycy, naturalnie, wiedzą i mogą zechcieć ją wyzyskać, Witte odpowiedział: „Awoś Boh miłostiwij etowo nie dopustit“ (Może Bóg miłosierny tego nie dopuści).

Jednakże „Bóg Miłosierny“ dopuścił, i Japończycy, wiedząc o chwilowej słabości Rosji na Dalekim Wschodzie, w myśl hasła: „teraz albo nigdy“ zadali cios, po którym Rosja już nie mogła przyjść do siebie.

Mając na względzie powyższe okoliczności, oraz mnóstwo niezbitych dowodów, dotyczących przygotowań japońskich do możliwie rychłego rozpoczęcia wojny, postanowiłem przerwać urlop, wrócić do Portu Artura i zawiadomić o wszystkim admirała Aleksiejewa, który był głównym namiestnikiem Dalekiego Wschodu i wodzem naczelnym armji i floty.

Postanowienie takie powziąłem jeszcze i dlatego, że najbliższym terenem wojny mógł być jedynie półwysep Kwantuński, którym bezpośrednio zarządzałem. W razie więc, gdybym nie uprzedził admirała, mógłbym

był ściągnąć na siebie odpowiedzialność za niedołężny zarząd krajem i brak wiadomości o zamiarach sąsiadów.

Wróciwszy do Portu Artura, wprost z parostatku kolei wschodnio-chińskiej „Mongolja“, który przywiózł mię z Jokohamy, poszedłem do admirała Aleksiejewa i zdałem szczegółowy raport z obserwacyj i zebranych wiadomości, oraz pokazałem mu niektóre ze zdobytych w Japonji dokumentów. Słuchał mię, jak człowiek, który jest przeświadczony, iż w tej sprawie posiada już jak najdokładniejsze wiadomości, i rzekł:

— Niepotrzebnie przerwał Pan swój wypoczynek i tracił czas na zbieranie wiadomości w sprawie, którą się wyjątkowo interesuje rosyjskie poselstwo w Tokjo. Rozporządzając olbrzymimi środkami, ma ono możność zdobycia potrzebnych wiadomości ze źródeł miarodajnych i zupełnie wiarogodnych. Poselstwo jest wręcz przeciwnego zdania i stwierdza, że stosunek rządu japońskiego do Rosji jest obecnie tak serdeczny, jak nigdy przedtem. Dlatego niema najmniejszego powodu myśleć, a tem bardziej mówić o zbliżającej się wojnie!

Mówiąc to, admirał Aleksiejew wyjął z kieszeni kamizelki kluszyk od szuflady, w której chował najpoufniejsze tajne dokumenty, wydobyl stamtąd paczkę listów posła rosyjskiego w Tokjo, barona Rozena, i z ironicznym uśmiechem podał mi jeden z nich do przeczytania. W liście tym baron Rozen zachwycał się serdecznością stosunku rządu japońskiego do Rosji i jako dowód przytaczał fakt, że on i jego rodzina zawsze są wyróżniani przez mikada, na ostatniem zaś przyjęciu

dworskiem mikado własnoręcznie ofiarował córce barona parę kolczyków brylantowych.

Służyłem z admirałem Aleksiejewem już czwarty rok. Jako główny zarządca Dalekiego Wschodu, obdarzony wkrótce potem tytułem namiestnika cesarskiego, był on moim bezpośrednim zwierzchnikiem, codzienne zaś stosunki służbowe dały mi możność poznania go dobrze.

Był to człowiek rozumny, lecz pozbawiony szerokich poglądów, tak niezbędnych na zajmowanym przez niego wysokiem stanowisku. Pochodził podobno z rodziny ormiańskiej i po przodkach swych odziedziczył niezwykły spryt, umiejętność przypodobania się i utrzymania dobrych stosunków z ludźmi możnymi i stojącymi u władzy. Karjerę swą zrobił, jako wychowawca nieprawego syna wielkiego księcia, generał-admirała Aleksieja Aleksandrowicza, z którym 14 lat mieszkał w Paryżu, sprawując równocześnie obowiązki agenta morskiego przy poselstwie rosyjskiem. Największą jednak jego wadą była wprost niczem niepohamowana ambicja, która na zajmowanym przez niego wyjątkowo ważnem stanowisku doprowadziła go do tego, że sprawy państwowe oceniał ze stanowiska osobistego, t. j. czy i o ile takowe były korzystne dla jego kariery.

Wiedząc o tem wszystkiem, byłem przekonany, że ze mną się nie zgodzi, a to z następujących względów. Właśnie podówczas w Petersburgu grono osób, stojących najbliżej tronu, przy współudziale kilku wielkich książąt założyło spółkę do eksploatacji koncesyj leśnych nad rzeką Jalu w Korei; minister skarbu Witte, który kierował budową kolei mandzurskiej, wiedział, że

Japonja uważa Koreę za kraj, leżący w sferze jej wpływów, i zaprotestuje przeciwko eksploatacji koncesyj*), przyznanych Rosji przez króla koreańskiego; sprzeciwiał się też wszelkimi sposobami rozpoczęciu eksploatacji. Wtedy postanowiono usunąć Wittego od spraw mandżurskich i Aleksiejewa, który był zupełnie oddanym interesom spółki, obdarzyć tytułem namiestnika cesarskiego na Dalekim Wschodzie i eo ipso powierzyć mu główny zarząd całym przedsięwzięciem.

Oczywiście, wszystko to można było przeprowadzić jedynie przy absolutnej pewności, że Japonja jest za słaba, aby stawiać opór rosyjskiemu kolosowi.

Ze swej strony, widząc gorączkowe przygotowanie Japonji do wojny, której pragnął nie tylko rząd, lecz i cały naród, odpowiednio wychowany, oraz zupełny brak takiego przygotowania w Rosji i wielkopańskie lekceważenie małej Japonji, postanowiłem przed wypowiedzeniem wojny wycofać się ze służby w Porcie Artura, który wskutek swego położenia musiał być przede wszystkim zaatakowany.

Ominąć admirała Aleksiejewa i nie podzielić się z nim swemi osobistemi wrażeniami nie miałem prawa. Lecz zgóry postanowiłem nie sprzeczać się z nim co do jego wiadomości o pokojowych nastrojach Japonji i, korzystając ze swego 6-miesięcznego urlopu, jechać do Petersburga, podać raport piśmienny ministrowi wojny i w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność za

*) Powodem wypowiedzenia wojny przez Japonję była właśnie eksploatacja Jalskich koncesyj.

niezawiadomienie rządu o rzeczywistym stanie rzeczy w sąsiedniej Japonji.

To też, przeczytawszy list posła bar. Rozena i zwracając go admirałowi, spokojnie oświadczyłem mu, że mnie osobiście listy te nie przekonały o pokojowym usposobieniu Japonji. Przeciwnie, wyróżnianie Rozena z pośród posłów innych mocarstw, a szczególnie dary, ofiarowane jego córce, wydają się chęcią zamydlenia oczu posłowi i wymagają szczególnej uwagi i ostrożności.

Przytem uprzedziłem admirała, że nie zrzekam się urlopu, ale skorzystam z niego i pojedę do Rosji, gdyż chcę odwiedzić matkę, mieszkającą w majątku swoim, w ziemi kowieńskiej. Admirałowi bardzo się ten mój wyjazd nie podobał; uspokoił się nieco, gdym go zapewnił, że w Petersburgu prawdopodobnie nie będę.

Nie mając zamiaru wracać do Portu Artura, sprzedałem za bezcen meble, powóz i konie, pod pozorem, że potrzeba mi pieniędzy na drogę, i w parę dni jechałem już luksusowym pociągiem kolei syberyjskiej.

W Petersburgu natychmiast po przyjeździe byłem przyjęty przez ministra wojny, któremu zdałem szczegółowo sprawę ze wszystkich okoliczności, które doprowadziły mnie do przekonania, że w najbliższej przyszłości, chcąc czy nie chcąc, będziemy mieli wojnę z Japonją, przyczem, aby się zabezpieczyć od możliwych zarzutów w przyszłości, złożyłem odpowiedni raport piśmienny.

Minister, generał Kuropatkin, wysłuchał mię z największą uwagą i, pomyślawszy chwilę, rzekł: „Darować

sobie nie mogę, że, jadąc do Japonji, nie wziąłem pana z sobą. Ale to wina Aleksiejewa, który się na to nie zgodził, twierdząc, że z powodu przyjazdu Wittego do Portu Artura nie może obejść się bez pana. Nie miałem z sobą nikogo, ktoby znał Japończyków. I chociaż z podróży swej wyniosłem wrażenia wręcz przeciwne od pańskich, lecz dane, które pan przytacza, są tak poważne, że możliwą jest rzeczą, iż, będąc w Japonji, widziałem nie to, co jako minister wojny powinienem był widzieć, lecz tylko to, co Japończycy chcieli mi pokazać. Bądź co bądź sprawa jest takiej wagi, że nie chcę i nie mogę wziąć na siebie całkowitej odpowiedzialności za wyniesione z Japonji wrażenia pokojowe. Zapewniało mię co do tego nasze poselstwo, oraz agent wojskowy. Będzie się pan przedstawiał cesarzowi: polecam panu zameldować wszystko i szczegółowo. Przykro mi będzie, jeżeli się omylił, lecz cóż robić?! Muszę ponieść konsekwencje własnego niedbalstwa“.

Odpowiedziałem, że gorliwie spełnię to polecenie, jeżeli będę miał po temu sposobność. Przecie minister wie, jak się odbywają nasze audjencje: cesarz wita się, zadaje parę pytań, dotyczących życia miejscowego, życzy wesołej zabawy w stolicy, podaje jeszcze raz rękę — i koniec. Audjencja skończona, choć trwa zaledwie 2-3 minuty.

Na to generał Kuropatkin odrzekł, żebym się nie zapisywał w ministerjum dworu; mam poczekać, aż on wyrobi specjalną audjencję i zawiadomi mię o tem.

W parę dni potem otrzymałem istotnie wiadomość, że

będę przyjęty o 2-ej po południu, w willi Aleksandrji, i że specjalny pociąg odejdzie z dworca bałtyckiego.

W poczekalni zastałem tylko dyżurnego fligiel-adju-tanta, który natychmiast mię zameldował. Cesarz spotkał mię słowami: „Minister spraw wojskowych oznaj-mił mi, że pan specjalnie przyjechał z Portu Artura, że-by uprzedzić nas o wojennych zamierzeniach Japonji. Mam czas dzisiaj do 3-ej po południu. Słucham pana“.

Byłem na to przygotowany i począłem systematyczne opowiadanie, które trwało dobre pół godziny. Cesarz słuchał mię z wielkiem zainteresowaniem. Wreszcie się odezwał:

— Nie przekonał mię pan. Ani na chwilę nie mogę przypuścić, żeby te makaki (małe małpy) ośmieliły się wypowiedzieć mi wojnę. Przecież my ich czapkami zarzucimy“ (szapkami zakidajem).

— Takby się stało — odpowiedziałem — gdyby się wojna toczyła w Rosji Środkowej. Lecz wojna będzie w Mandżurji, w kolonji, odległej o 10.000 kilometrów od centrum Rosji i związanej z nią jednotorową koleją, niteczką cieniutką, którą zawsze i wszędzie można przerwać. Przytem trzeba pamiętać, że w Mandżurji nie, oprócz chleba i mięsa, dostać nie można; każdego żoł-nierza, każdy ładunek, każdą parę obuwia, łut lekar-stwa, słowem wszystko, co jest niezbędne dla wojska, trzeba będzie sprowadzić z metropolji właśnie tą jedno-torówką; wskutek wiary w pokojowość Japonji armja rosyjska skoncentruje się w dostatecznej ilości w Man-dżurji może za rok, a może i później właśnie dlatego, że wysyłać ją będzie można tą jednotorówką jedynie

małemi partjami. Obecnie jesteśmy bezbronni. W całej Mandżurji mamy tylko 35.000 wojska, gdy Japończycy w ciągu 36 godzin mogą na Kwantunie wysadzić 200.000!“

Cesarz, widocznie podrażniony, zerwał się gwałtownie z krzesła, i przerywając mi, zawołał: „Więc co pan myśli? Moja ogromna flota Oceanu Spokojnego będzie stała w miejscu i spokojnie patrzyła na to, jak Japończycy na transportowcach wieżę będą swój desant na Kwantun?!“

Spojrzałem ze zdziwieniem na cesarza. Widząc na twarzy jego podrażnienie, zreflektowałem się natychmiast i spokojnie odpowiedziałem:

— Nie jestem marynarzem, Wasza Cesarska Mość, więc nie wiem, jak postąpi dowództwo floty. Ale znam Japończyków i mam głębokie przekonanie, że, stawiając na kartę swoją państwowość, nie będą zwracali uwagi na hasła humanitarne i zwyczaje międzynarodowe i zawczasu zrobią wszelkie wysiłki, żeby unieszkodliwić flotę rosyjską.

Odpowiedź moja, zdaje się, jeszcze bardziej podrażniła cesarza, gdyż mówił dalej głosem nieco podniesionym:

— Proszę mi wierzyć, iż bardzo cenię pańskie zasługi służbowe i uczciwość w stosunku do mnie. Lecz nie mogę nie zwrócić uwagi na to, iż długoletnie przebywanie na Dalekim Wschodzie rozstroiło pańskie nerwy. Pan widzi nie to, co jest w rzeczywistości. Trzeba panu dać możliwość wypoczynku. Polecam więc, by pan oznajmił Kuropatkinowi, że udzielam panu jeszcze 6-ciomiesięcz-

nego urlopu zagranicznego z prawem pobierania w ciągu tego czasu całkowitej pensji, jaką otrzymuje pan w Porcie Artura.

Poczem podał mi rękę na znak pożegnania.

Audjencja była skończona. Wyszedłem z gabinetu tak zdenerwowany, że mi się trzęsły wargi. Przeklinałem siebie za własną gorliwość i ofiarność: na swój koszt przyjechałem z drugiego końca świata, żeby ich ostrzec przed grożącym niechybnie niebezpieczeństwem, a oni w tym porywie moim widzą jedynie rozstrojone nerwy i nieumiejętność orjentowania się w położeniu!

Postanowiłem jednak skorzystać ze słów cesarza o długoletniej służbie mojej na Dalekim Wschodzie i, bądź co bądź, chociażby za cenę ustąpienia z czynnej służby, wycofać się z Portu Artura.

Pod ciężarem tych gorzkich myśli wróciłem do Petersburga i pomimo prośby ministra wojny, aby wprost od cesarza przyjechać do niego, zawróciłem do hotelu i napisałem podanie, w którym, powołując się na zdanie cesarza co do mej zbyt długiej służby na Dalekim Wschodzie, kategorycznie prosiłem o danie mi odpowiedniego stanowiska w Rosji europejskiej lub o przeniesienie mię w stan spoczynku, gdyż do Portu Artura nie wrócę.

Wręczając podanie ministrowi, szczegółowo opowiedziałem mu o przebiegu audjencji u cesarza, przytem zaznaczyłem, że jedynym majątkiem, jaki zdobyłem w ciągu długoletniej służby w Rosji, jest uczciwe imię. Nie mogę przeto tego dobra mojego na szwank wystawiać,

pozostając dłużej w port-arturskiej aferze, która zbliża się do katastrofy.

Generał Kuropatkin, którego blisko znałem z czasów młodości i wspólnej służby przy generale Skobielewie, starał się mię uspokoić, namawiając, bym narazie skorzystał z zaleconego mi przez cesarza urlopu, a przez ten czas coś się dla mnie znajdzie, jeżeli ostatecznie nie zgodziłbym się wrócić do Portu Artura. Prośbę zaś moją o przeniesienie w stan spoczynku stanowczo odrzucił.

Ponieważ na nowy urlop i wypłatę zgóry pensji trzeba było uzyskać piśmienne pozwolenie cesarza, więc mój natychmiastowy wyjazd zagranicę uległ pewnej zwłoce.

Wreszcie jednak wszystkie formalności zostały załatwione: otrzymałem paszport zagraniczny, i suto zapatrzonej materjalnie, wyjechałem na długi wypoczynek zagranicę.

W sierpniu 1903 roku byłem w Wenecji. Mieszkałem w „Grand Hôtel des Bains“ na Lido i korzystałem z cudownej plaży oraz kąpieli morskich. Nagle otrzymuję telegram następującej treści: „Najjaśniejszy Pan reskryptem z dnia 27 sierpnia raczył mianować pana gubernatorem astrachańskim i hetmanem polnym astrachańskiego wojska kozackiego. Generał-adjutant Kuropatkin“.

Byłem przyjemnie zdziwiony tą zupełnie niespodziewaną nominacją. Dawała mi ona wysokie stanowisko; nadto przez nią wracałem do służby czynnej w armji, którą opuściłem był przed wielu laty, zajmując kolejno

rozmaite stanowiska w administracji krajów, znajdujących się pod zarządem ministerjum spraw wojskowych.

Przyjechawszy do Petersburga, dowiedziałem się, że cesarz z rodziną bawi w Darmsztacie, u brata swej żony; potem oboje cesarstwo mieli pojechać do Kopenhagi, do dziadka cesarza, i wrócić dopiero za miesiąc. Minister spraw wojskowych, Kuropatkin, któremu podlegałem, jako hetman polny, był na urlopie, na letnisku w Finlandji; minister spraw wewn., Plewe, zwierzchnik mój, jako gubernatora i głównego opiekuna ludu kałmuckiego*), oraz jako generała gubernatora hordy bukiejewskich Kirgizów**), korzystając z nieobecności cesarza, odbywał podróż inspekcyjną po Syberji. Wreszcie, jako prezes komitetu rybackiego, zarządzającego rybołówstwem na Woldze i Kamie, miałem jeszcze jedną władzę zwierzchnią w osobie ministra dóbr państwowych, Krywoszeina, który aczkolwiek nie był na urlopie, lecz mieszkał w swym majątku i tylko dojeżdżał do Petersburga.

Musiałem przeto czekać na powrót cesarza i ministrów. Wziąłem z ministerjów potrzebne mi akta i, wertując je, starałem się poznać kraj, którym sądzono mi było rządzić.

W końcu września powrócił cesarz, a 3 października wyznaczono mi urzędową audjencję z powodu nomina-

*) Ziemie Kałmuków leżały na prawym brzegu Wołgi i ciągnęły się aż pod Stawropol.

**) Ziemie hordy Kirgizów bukiejewskich zajmowały lewy brzeg Wołgi aż do Uralu.

cji. Zjawiłem się na nią w mundurze kozaków astrachańskich, z buławą hetmana polnego w ręku.

Cesarz przyjął mię nadzwyczaj uprzejmie, winszował nominacji i rzekł: „Myślałem długo, zanim wybrałem pana na stanowisko hetmana polnego, gdyż ani za mych rządów, ani za ś. p. rodzica mego, ani za dziadka, ani, ile pamiętam, za pradziada, nie było takiego zdarzenia, aby Polaka i katolika kiedykolwiek mianowano hetmanem Kozaków, którzy są ostoją tronu i dynastji. Stąd może pan wnosić, jak cenię służbę pańską i jak panu ufam. Wierzę, że zrobiłem wybór dobry, że pan podnieście dobrobyt Kozaków astrachańskich i zasłuży sobie na ich przywiązanie“.

W dwa tygodnie potem byłem już w Astrachaniu i objąłem urządowanie.

24 stycznia 1904 roku, a zatem w trzy miesiące po przyjeździe swym do Astrachania, urządziłem u siebie bal kostjumowy na korzyść miejscowego oddziału Czerwonego Krzyża, którego byłem prezesem. Na balu tym zebrał się cały Astrachań. Olbrzymia sala hetmańska i dwa ogromne salony były zatłoczone ochoczo tańczącą publicznością. Nagle, coś koło 3-ej po północy przyniesiono terminową depezę: minister spraw wojсковych zawiadomił mię, że tegoż dnia, około 8 wieczorem flota rosyjska, stojąca w głębi przystani Portu Artura, została podstępnie i bez wypowiedzenia wojny zaatakowana przez Japończyków, którym udało się uszkodzić siedem największych okrętów. Są zabici i ranni. Dalszych szczegółów nie było.

Łatwo sobie wyobrazić, jak mię poruszyła ta depe-
sza. Wszedłszy do sali hetmańskiej, gdzie między daw-
nymi sztandarami kozackimi stał na podwyższeniu
portret cesarza wielkości naturalnej, stanąłem na stop-
niach pod portretem, przerwałem muzykę i tańce, prze-
czytałem telegram i wezwałem obecnych, aby zebrane
dzisiaj pieniądze zgodzili się przesłać dla rannych w
Porcie Artura. Orkiestra zagrała hymn narodowy, a żo-
na moja, wzięwszy tace, w otoczeniu dwóch sióstr Czer-
wonego Krzyża, weszła w tłum gości, by zbierać ofiary
na ranionych i rodziny zabitych.

Nieopisany zapał ogarnął publiczność.

Na tace rzucano nietylko pieniądze, lecz wszystko,
co kto miał drogocennego, tak, że zebrało się 13.000
rubli, prócz kosztowności.

Pieniądze i klejnoty wręczono obecnemu na balu dy-
rektorowi Banku Wołżańsko-Kamskiego, który kosztow-
ności spieniężył i na drugi dzień całą sumę odesłał
do Portu Artura, tak że nasza zbiórka była pierwszą,
jaką otrzymali ranni w Porcie Artura.

* * *

W innym miejscu opowiedziałem, w jaki sposób po-
częła się wojna z Japonją. Tu dodam tylko, że spadła
ona na Rosję najniespodziewaniej, jak piorun z jasnego
nieba.

Oczywiście, niepowetowane straty, jakie poniosła
eskadra rosyjska Oceanu Spokojnego z powodu pod-
stępnej napaści Japonji, byłyby nieporównanie mniej-
sze, gdyby w Porcie Artura, porcie wojennym, zacho-
wywano najprostsze środki ostrożności; gdyby

np. o zmierzchu, jak tego wymaga regulamin, zamykano wejście do portu wojennego łańcuchami i pływającymi belkami, okutymi żelazem, to brandery japońskie nie mogłyby były wejść do portu niepostrzeżenie; gdyby olbrzymie krążowniki rosyjskie, stojące w porcie na kotwicach, otaczały się na noc ochronnymi sieciami żelaznymi, w takim razie wypuszczane przez Japończyków miny wybuchnęłyby w sieciach i możeby poczyniły pewne uszkodzenia w krążownikach, lecz nie podziurawiłyby ich i nie zatopiły; wreszcie gdyby straż, stojące na „złotej górze“, przy wejściu do portu wewnętrznego, i umieszczone tam specjalnie w celu oświetlania reflektorami wejścia do portu, choć jako tako spełniały swój obowiązek, to przecież cała eskadra małych statków japońskich, przeznaczonych do zaatakowania floty rosyjskiej, nie mogłaby nietylko wejść do portu wewnętrznego niepostrzeżenie, ale i podejść do wąskiego wejścia między dwiema górami.

Aby uwydatnić niesłychane wprost niedbalstwo władz portowych, jeszcze raz powtarzam, że flota rosyjska była zniszczona, gdy stała wewnątrz portu wojennego, gdzie miała prawo uważać się za zabezpieczoną od wszelkiej niespodziewanej napaści.

Oburzenie na niesłychane niedbalstwo władz portowych w Porcie Artura, a nawet posądzenie ich o zdradę było w Rosji powszechne, lecz wpływy kierowników marynarki rosyjskiej przy dworze były tak wszechmożne, że ani komendant portu, Niemiec, admirał Stark, ani tem mniej admirał Aleksiejew, w obecności którego wszystko to się stało, nietylko nie zostali pociągnię-

ci do odpowiedzialności, lecz nawet śledztwo w tej sprawie nie było przeprowadzone.

Tymczasem ostrzeżeń, że Japończycy przygotowują się do wrogiej akcji, było niemało. Wszak na godzinę przed atakiem na flotę rosyjską wyszedł z Portu Artura statek japoński, na którym konsul japoński w Inkau (w Mandżurji), na zasadzie uzyskanego osobiście od admirała Aleksiejewa pozwolenia, wywiózł z Portu Artura około 300 rodzin handlujących tam Japończyków.

Zdawałoby się, że i ślepyby przejrzał, widząc, że cała kolonja japońska rzuca swe towary, sklepy, cały krwawo zapracowany dobytek i chroni się na statek z tem, co dało się w rękę unieść. Lecz władze Portu Artura nie z tego nie wywnioskowały. Przeciwnie, admirał Aleksiejew o 7 wieczorem podejmuje obiadem i wesoło żartuje z japońskim konsulem, który wręcz oświadcza, że wywozi swych poddanych w obawie przed agresywnością rosyjską; między zaś 8-mą a 9-tą wieczorem już 7 największych czołowych statków eskadry rosyjskiej zatopiono, albo unieszkodliwiono.

Wiarą w niemożliwość wojny władze Portu Artura były tak przejęte, że armaty, mające bronić wałów forticy, stały sobie spokojnie w szopach, i dopiero nazajutrz po zniszczeniu floty komendant twierdzy, generał Smirnow, rozkazał je wciągnąć na wały. Gdyby więc Japończycy równocześnie z napadem na flotę zorganizowali byli zajęcie bezbronnych i przez nikogo nie ochraniających fortów, zajęliby byli Port Artura o rok wcześniej, bez oblężenia, które ich kosztowało około 20.000 ludzi.

Kłeski, które następnie poniosła armja rosyjska (Laojan, Mukden, Szache), cesarz traktował, jako wymierzoną sobie karę boską. Wiem o tem ze słów jego otoczenia najbliższego: komendanta głównej kwatery, generała Diediulina, admirała Niłowa i fligiel-adjutanta Wojejkowa, że kłeski te sobie przypisywał, zawsze wspominając, że go uprzedzał o zbliżającej się wojnie na 8 miesięcy przedtem, że miał czas się przygotować i wiele rzeczy poprawić; lecz ostrzeżenia zlekceważył i obecnie ponosi skutki tego.

Opowiedziane zdarzenia podniosły mój osobisty autorytet w oczach cesarza, który w ciągu wojny z Japonją i w czasie rewolucji 1904—5 roku kilkakrotnie wzywał mię z Astrachania, aby się poradzić w sprawach ogólnych, nie dotyczących bezpośrednio sprawowanych przeze mnie obowiązków.

Lecz o tem postaram się opowiedzieć osobno.

III

PRZEWIEZIENIE GENERAL-GUBERNATORA Z ASTRACHANIA DO MOSKWY PRZEZ REWOLUCJO- NISTÓW W R. 1905

W 1904—5 roku byłem gubernatorem w Astrachaniu, hetmanem kozaków, głównym opiekunem ludu kałmuckiego, generał-gubernatorem hordy bukiejewskich Kirgizów, oraz prezesem Komitetu rybackiego, którego obowiązek polegał na zaspokojeniu potrzeb rybołówstwa 15 gubernij wzdłuż Wołgi i Kamy. Pracy miałem bardzo dużo i podolać jej mogłem jedynie dzięki dro-

biazgowemu co do minuty podziałowi zajęć dziennych. Nadeszły ciężkie dni strajku powszechnego w Rosji. Stały koleje, przestały być czynne poczty, telegraf, słowem zamarło całe życie. Nagle otrzymuję depezę takiej treści: „Proszę przybyć natychmiast — Mikołaj“.

Z początku jakoś się nie zorientowałem, że telegram przyszedł podczas strajku powszechnego. Sądziłem, że wzywa mnie do Petersburga W. Ks. Mikołaj, główny inspektor kawalerji, którego władzy podlegałem, jako hetman kozacki; lecz zbadawszy uważnie depezę, stwierdziłem, że wysłano ją z Carskiego Siola, podpisana była tylko imieniem cesarza, szła zaś do Astrachania tylko 15 minut. Oczywiście więc przepuszczono ją za zgodą komitetu strajkowego w celach dla mnie niezrozumiałych. Zresztą podpisanie depezy przez samego cesarza było pogwałceniem uświęconych przez ceremonjał i tradycję zwyczajów, gdyż w podobnych wypadkach wezwanie zwykle podpisywał albo odpowiedni minister, dodając słowa: „z rozkazu J. C. Mości“, albo, rzadko zresztą, komendant głównej kwatery, którym podówczas był wielki mój przyjaciel i człowiek nadzwyczajnej zacności, Włodzimierz Andrejewicz Diediulin.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad depezą, wyzuwałem, że jakieś nadzwyczajne przyczyny spowodowały odruchowe wysłanie depezy przez samego Mikołaja, lecz narazie nie widziałem sposobu, w jaki mógłbym wypełnić ten rozkaz. Miałem wprowadzić do swego osobistego rozporządzenia statek z załogą, złożoną z kozaków, którzy naturalnie nie strajkowali i mogli mnie

dowieźć do jednego z miast nad Wołgą. Ale jak dalej przez całą Rosję dotrzeć do Petersburga? Zastanawiając się nad położeniem, przyszedłem do przekonania, że jednak, jeżeli depeszę z Carskiego Siola dostarczono mi w ciągu 15 minut, to stało się to tylko za zezwoleniem komitetu strajkowego, którego prezesem, jak się potem okazało, był skromny urzędnik pocztowy, niejaki Chrustalew.

Ostatecznie było możliwe dwojakie załatwienie sprawy: albo pozostanę w Astrachaniu, albo też ja, główny przedstawiciel władzy cesarskiej, zwrócę się pokornie do komitetu strajkowego z prośbą o umożliwienie mi przejazdu do Moskwy, skąd już do Petersburga chodziły pociągi, obsługiwane przez wojsko.

Wybrałem drugi sposób i na depeszę swoją w tej sprawie w pół godziny otrzymałem odpowiedź od komitetu strajkowego w Saratowie z zawiadomieniem, że w Sarepcie (niemiecka kolonja na brzegu Wołgi, 40 klm. od Carycyna) będzie mię oczekiwał specjalny pociąg, oraz że komitet jednocześnie wydaje rozporządzenie rozpalenia pod kotłami na moim statku. Ostatnia wieść ubodła mię najbardziej. Że zaś miałem bezpośrednie połączenie telefoniczne z komendantem statku, wezwałem go przeto do aparatu, aby wydać odpowiednie zarządzenia.

Komendant zameldował mi, że przed chwilą otrzymał rozkaz przygotowania statku do drogi, że rozporządzenie przesłane zostało przez specjalny aparat, łączący wartę statku z pałacem hetmana, i że za dwie godziny statek przejdzie na rzekę Bałda (odnoga Wołgi,

opływającej Astrachań ze wschodniej strony), skąd zwykle wyjeżdżałem dalej.

Ponieważ do aparatu mógł mieć dostęp tylko ktoś stale przebywający w moim domu, pokazało się przeto, że komitet strajkowy miał swych zwolenników wśród najbliższego otoczenia mojego.

Na trzeci dzień raniutko przy płynęliśmy do Sarepty, skąd wówczas zaczynała się linja kolei. Zdaleka, przez lornetkę na wysokim prawym brzegu Wołgi zobaczyłem przygotowany już specjalny pociąg, składający się tylko z dwóch wagonów: salonowego i bagażowego. Parowóz i wagony były gęsto przybrane czerwonymi chorągiewkami, które, trzepocąc się na wietrze, nadały całemu pociągowi czerwoną barwę.

Na przystani — pustki: ani publiczności, ani władz, które, oczywiście, nie były uprzedzone o moim przyjeździe. Gdy, wysiadłszy ze statku, nie wiedziałem, co mam dalej z sobą robić, podszedł do mnie jakiś człowiek i, zapytawszy, czy to ja jestem astrachańskim satrapą, oświadczył, iż „rząd ludowy“ zezwolił na mój przejazd do Petersburga, specjalny pociąg dla mnie stoi na górze, „ochrony“ zaś osobistej brać z sobą nie mam potrzeby, gdyż pojedę pod opieką ludu.

Odpowiedziałem delegatowi, że, jak widzi, ochrony żadnej nie mam z sobą, lecz chciałbym wziąć służącego, który mi zawsze towarzyszy w podróży. Delegat się zgodził. Marynarze ze statku przenieśli moje pakunki do pociągu, i w parę minut, bez dzwonek i sygnałów, ruszyliśmy w drogę, nie zatrzymując się na stacjach.

Pierwszy dłuższy postój, gdzie parowóz brał wodę,

przypadł na stację Uśc-Miedwedickiej. Jeść mi się chciało bardzo, gdyż w pośpiechu zapomnieliśmy zabrać trochę zapasów ze statku. Posłałem więc służącego opodał na stację, by kupił cokolwiek w bufecie, który sły-
nął wyborową kuchnią na całej linii Griazie-Carycyń-
skiej kolei. Po chwili służący wrócił, oznajmiając, że bufet jest doszczętnie rozbity, w poczekalni portret ce-
sarski przestrelony dwiema kulami, a na stole w ja-
dalni, na szczątkach potłuczonych naczyń śpi pijany
oficer kozacki; ile mógł się dowiedzieć od dzierżawcy
bufetu, w stancy zbuntowali się kozacy-rezerwiści, po-
wołani do szeregów z powodu wojny z Japonją, i wy-
mordowali swoją starszyznę. Co się tyczy jedzenia,
z rozporządzenia saratowskiego komitetu strajkowego
śniadanie dla mnie przygotowuje się teraz, i niebawem
przyniosą mi je do wagonu.

Wiadomości o buncie wśród kozaków dońskich, ostoi
caryzmu w Rosji, wydały mi się tak nieprawdopodobne,
że, zobaczywszy na peronie kilku siwobrodych koza-
ków, wyczekujących na coś z naładowanemi worami,
podeszedłem do nich, proponując im, że ich podwiezę,
jeżeli jadą w stronę Griaziej. Dwóch z nich z radością
się zgodziło i, porzuciwszy swe worki, weszli do wago-
nu salonowego. Równocześnie jakiś inteligent, w wyso-
kich butach i w kurtce, wyglądający na inżyniera dróg
i mostów, lecz bez żadnych oznak służbowych, poprosił
mnie, bym wsiadł do wagonu, sam zaś wszedł na paro-
wóz, stanął obok maszynisty, i pociąg ruszył.

W wagonie zastałem śniadanie z dwóch dań, i, co
najciekawsze, butelkę marsali, firmy Depré w Pe-

tersburgu, jedyne go wina, które podówczas stale używałem. Porcje były tak obfite, że w zupełności zaspokoily nasz głód, dodanie zaś do śniadania wina firmy Depré świadczyło nietylko o kurtuazji komitetu strajkowego, lecz i o specjalnym dozorze nade mną, który dotyczył nawet drobiazgów mego życia prywatnego.

Od kozaków dowiedziałem się, że przyczyną wrzenia wśród rezerwistów było niedbalstwo i łapownictwo miejscowych władz kozackich. Rezerwistów powołano na służbę w najgorętszym czasie żniw; stawili się oni natychmiast na punktach zbornych, gdzie od kilku miesięcy siedzą o głodzie i w zupełnej bezczynności, gdy tymczasem pozostałe w domu rodziny, pozbawione najlepszych rąk roboczych, nie mogły ani na czas dokończyć żniw, ani dać sobie rady z orką i z siewami. Niezadowolone wyzyskały miejscowe partje wywrotowe. Poczęło się od rozbicia skarbowych składów spirytusu. Potem pijani rezerwiści rozprawili się ze swemi władzami, a obecnie razem z motłochem rozbijają i grabią składy miejscowych bogaczy. W pogromie biorą udział okoliczne stаницe, wywożąc do siebie wory zagrabionych towarów, żeby, jak mówili moi towarzysze podróży, było z czego płacić kary, gdy nastąpi porządek.

Charakterystyczny dla rozruchów był fakt, że rezerwiści, wymordowawszy najbardziej znienawidzonych oficerów, jednak pilnie ochraniaли kasę skarbową i składy, odpierając salwami karabinowemi próby grabieży ze strony tłumu.

Dworzec w Griaziach, gdzie pociąg znowu zatrzymał

się dłużej, zdaleka czerwienił się chorągwiemi. Niezliczone tłumy zalegały peron, zachowując jednak spokój i wzorowy porządek, pomimo nieobecności policji lub innej, rzucającej się w oczy, władzy. Przy moim wagonie stanął jakiś jegomość z czerwoną opaską na lewym rękawie i, gdy tłum zbyt napierał na wagon, ciekawie zaglądając do jego wnętrza, ruchem ręki odsuwał go na parę metrów w głąb peronu. Poczęły się mowy. Pierwszy wyszedł ktoś z tłumu i, przystawiwszy drabinę do słupa od latarni, wszedł na nią i przemówił do zebranych, wzięwszy za temat stosunek rządu do ludności, którą rozmyślnie trzyma się w ciemnocie i ubóstwie; lud jednak ocknął się, zjednoczył i w chwili obecnej pokazał swą siłę. Rosja zamarła: koleje, poczty, telegraf, banki, urzędy — wszystko jest w letargu, i władze carskie letargu tego zwalczyć nie mogą. Dalej, wskazując na mój wagon, mówca oświadczył, że jaskrawy dowód swej siły i władzy lud ma przed oczyma, gdyż w tym oto wagonie jedzie jeden z głównych satrapów carskich, który może przejechać całą Rosję od Astrachania do Petersburga jedynie na skutek pozwolenia rządu ludowego, ten bowiem wziął go pod swoją opiekę. Wogóle mowa wypowiedziana była gorąco, z przekonaniem, i wywarła ogromne wrażenie.

Pamiętam, że chwile, jakie przeżyłem w czasie tej mowy, nie należały do przyjemnych. Wybór za mównicę latarni najbliższej mego wagonu wskazywał, że mowa przeznaczona jest specjalnie dla mnie; w pierwszym momencie nie wiedziałem, jak mam postąpić: czy siedzieć w wagonie zamkniętym i udawać, że nie

słyszę; czy też otworzyć okno, stanąć w niem i spokojnie wysłuchać przemówienia, wystawiając się na możliwe zaczepki roznamiętnionego tłumu. Wybrałem ostatnie w obawie, by mię nie posądzono, że stchórzyłem. I wygrałem, gdyż absolutnie nikt z publiczności niezem mnie nie obraził.

Zaraz po mowie, która trwała jednak przeszło godzinę, na parowóz wszedł ktoś z władzy kolejowej i w krótkich, energicznych słowach streścił przemówienie poprzednika, poczem pociąg powoli ruszył w dalszą drogę wśród grobowego milczenia zebranej publiczności.

Należy przytem nadmienić, że w Griaziach, jak i w Uś-Medwedickiej ktoś przyniósł nam zupełnie przyzwoity obiad i nie przyjął zapłaty, oznajmiając, że jesteśmy gośćmi ludu.

Tak pod czerwonymi chorągwiami dojechaliśmy prawie do Moskwy. Na ostatnim przystanku przed Moskwą wagon nasz przyczepiono do tak zwanej „kukuski“ (kukułki — malutki i bardzo dymiący parowóz), która okrężną drogą przewiozła nas dokoła miasta na Dworzec Petersburski, gdzie wagon włączono do prowadzonego przez obsługę wojskową pociągu pośpiesznego. Nazajutrz o 8 rano byłem już w Petersburgu.

Zatrzymawszy się w Grand Hotelu, natychmiast telefonicznie zawiadomiłem o swym przyjeździe komendanta głównej kwatery carskiej, generała-ad'jutanta W. A. Diediulina, prosząc go, by zameldował cesarzowi, że, wezwany telegraficznie, przybyłem do Petersburga i oczekuję dalszych rozkazów.

Telefonogram o moim przyjeździe, jak mi potem

opowiadał generał Diediulin, wywołał piorunujące wrażenie w Carskiem Siole, gdzie w willi „Aleksandrja“ mieszkał cesarz z rodziną. Cesarz kazał zawiadomić, że mię przyjmie natychmiast, Diediulin zaś uprzedził, że na dworcu Bałtyckim będzie oczekiwał specjalny pociąg dworski.

Rzeczywiście pokazało się, że strajk powszechny w niczem nie zmienił trybu życia najbliższego otoczenia dworu cesarskiego. Śpiesznie przebrawszy się w mundur galowy, pojechałem na dworzec Bałtycki, gdzie zastałem specjalny pociąg, składający się z wagonów, opatrzonych na drzwiczkach cesarskimi orłami. Zabrał on wszystkich, mających przedstawić się tego dnia cesarzowi lub pełniących służbę w pałacu. Przed dworcem w Carskiem Siole stał cały szereg dworskich karet z orłami na drzwiczkach i końskiej upręży, ze służbą w czerwonej liberji, obszytej złotymi galonami z czarnymi orłami, i w stosowanych kapeluszach. Urzędnik ministerjum dworu, według spisu, który trzymał w ręku, wyznaczał karety każdemu z zaproszonych. Pojechalśmy do Aleksandrji.

W pałacyku na ganku, w białych pończochach, białych jedwabnych krótkich spodniach, w czerwonym z orłami fraku i w czapce z długim złotem piórem strusim, oczekiwał „oberhoffurjer“; według spisu przyjmował on nadjeżdżających w karetach gości i przeprowadzał do przedpokoju. Przy drzwiach poczekalni stało dwóch czarnych mameluków w strojach egzotycznych i w białych na głowie turbanach.

W poczekalni już byli zebrani mający dyżur tego

dnia przy osobie cesarskiej: fligel-adjutant, generał świty i generał adjutant, komendant głównej kwatery cesarskiej, generał-adjutant, W. A. Diediulin, oraz hrabiowie: Lamsdorf i Hendrikow, marszałek i mistrz ceremonji dworu cesarzowej, nadto sekretarz jej osobisty, hr. Rostowcew — wszystko osoby, należące do najbliższej świty cesarzowej, która, z powodu małych rozmiarów pałacyku w Aleksandrji, nie miała własnej poczekalni i przyjmowała w saloniku z lewej strony przedpokoju.

Zobaczywszy mię, Diediulin, mój dawny przyjaciel jeszcze z Portu Artura, gdy sprawowałem tam obowiązki komisarza generalnego, pochwyił mię za rękę i pociągnął do framugi okna, ciekawie wypytyjąc o szczegóły podróży. Po chwili rozległ się dzwonek z gabinetu cesarza; fligel-adjutant wszedł sam i natychmiast wrócił, oznajmiając, że cesarz mię prosi. Jednak poczciwy Diediulin zdążył szeptem mię uprzedzić, bym całą podróż przedstawił w sposób humorystyczny i wywołał aprobatę cesarza, inaczej bowiem mogę mieć wiele nieprzyjemności.

Cesarza zastałem stojącego na środku gabinetu. Uprzejmie uścisnąwszy mi dłoń na powitanie, szybko rzucił mi pytanie:

— Powiedz pan, czy to prawda, że Rosję ogarnął strajk generalny, że stanęły koleje, poczta, telegraf? . Odpowiedziałem twierdząco.

— Jednak pan telegram mój otrzymał, i, spełniając me polecenie, w trzy doby przejechałeś pan całą Rosję od morza Kaspijskiego do morza Bałtyckiego?

Wtedy stwierdziłem, że na wezwanie cesarskie mogłem przybyć do Petersburga jedynie wskutek zarządzeń Komitetu strajkowego.

Cesarz ze zdumieniem spojrział na mnie:

— Co? Co takiego? Więc pan uznaje władzę jakiegoś Komitetu strajkowego?!

Odrzekłem, że trudno jest nie uznawać tego, co w rzeczywistości istnieje i działa w całej Rosji, następnie zaś począłem szczegółowo opowiadać o przebiegu całej podróży, zatrzymując się dłużej na komicznych drobiazgach w rodzaju spotkania i rozmowy z delegatem Komitetu strajkowego na przystani w Carycynie, dostarczenia mi jedzenia i wina na stacjach w drodze i t. p., gdyż drobiazgi te widocznie interesowały cesarza więcej. O buncie rezerwistów-kozaków dońskich w Ust'-Miedwedickiej stancyi jeszcze nie wiedział i nie pytał o jego szczegóły, z czego byłem bardzo zadowolony, gdyż to mogło postawić mnie w przykrem położeniu wobec ministra wojny, który prawdopodobnie sam jeszcze nie miał pewnych wiadomości z powodu strajku pocztowego i dlatego nie zameldował cesarzowi o buncie.

Z przebiegu rozmowy wywnioskowałem, że niezadowolenie, jakie wywołała w cesarzu wiadomość o zetknięciu się mojem z komitetem strajkowym, już zniknęło, wobec czego sam wróciłem do tej sprawy, tłumacząc, że, chcąc natychmiast spełnić rozkaz cesarza, wyjścia innego nie miałem, że zaś nie wiedziałem, w jakiej sprawie zostałem wezwany, przeto czułem się w obowiązku za wszelką cenę zdobyć prawo przejazdu. Dlatego zwró-

ciem się do komitetu i skorzystałem z udzielonego mi pozwolenia.

Cesarz w zupełności przyznał mi słusność i w uprzejmych słowach podziękował mi serdecznie.

Po otrzymaniu służbowego polecenia, z powodu którego byłem wezwany do Petersburga, poprosiłem o pozwolenie przedstawienia się następcy tronu, głównemu hetmanowi wszystkich wojsk kozackich w Rosji *), który podówczas miał coś około 1½ roku; zazaczyłem przytem, że kozacy nie wpuściliby mię na obszary ziem swoich, gdybym na własne oczy nie zobaczył głównego hetmana i nie mógł im opowiedzieć, jak Jego Wysokość rośnie i wygląda.

Cesarz, który szalenie kochał swego jedynaka, zupełnie odzyskał dobry humor, i, śmiejąc się, zawołał:

— Ależ naturalnie! Ale to nie jest mój departament. Trzeba poprosić cesarzową. Zwróć się pan do hr. Lamsdorfa. On to panu ułatwi.

Na tem zakończyła się ta wyjątkowa audjencja. Cesarz odprowadził mię na środek gabinetu i, raz jeszcze dziękując za gorliwą służbę, rzekł:

— Ale jakież z pana zawsze zuch (mołodiec)! No, któż z gubernatorów mógłby wykonać moje zlecenie z takim taktem i pośpiechem?

W tym momencie przypomniałem sobie radę generała

*) W Rosji było 11 wojsk kozackich: dońskie, astrachańskie, uralskie, orenburskie, siedmiorzeckie, syberyjskie, zabajkalskie, amurskie, usuryjskie, kubańskie i terskie. Każde z tych wojsk miało swego hetmana. Lecz hetmanem głównym wszystkich kozackich wojsk w Rosji był zawsze następca tronu.

Diediulina i zapytałem, czy dopiero co wypowiedziana ocenę mojej służby mogę powtórzyć ministrowi spraw wewnętrznych. Na to cesarz odpowiedział: „Nietylko pozwalam, ale polecam powtórzyć“.

Audjencja ta trwała prawie trzy kwadranse, co stanowiło rzadki wyjątek w trybie przyjęć u cesarza, nie lubił on bowiem długich rozmów podczas ogólnych przyjęć rocznych, w razie zaś konieczności omówienia ważnych spraw, wyznaczał specjalne audjencje po śniadaniu, które podawano punktualnie o 1-ej po południu.

W poczekalni zastałem hr. Lamsdorfa, któremu powtórzyłem polecenie cesarza. Poszedł natychmiast do cesarzowej i zaraz wrócił po mnie.

Cesarzowa przyjęła mię w niewielkim salonie, umeblowanym burżuazyjnie i mającym charakter mieszkania prywatnego; pod oknem stały krosienka z zaczętą już robótką; obok — otwarty stolik do pracy; na stoliku przed lustrem, wciśniętem między dwa okna, małeńki kapelusz damski, rękawiczki i jeszcze jakiś drobiazg.

Hr. Lamsdorf, przedstawivszy mię cesarzowej, wyszedł. Cesarzowa podała mi rękę, którą ucałowałem, i ponieważ była uprzedzona o celu mojej wizyty, pierwsza się odezwała, że jest rada, iż może spełnić moje życzenie natychmiast, gdyż wielki ksiązę właśnie wyjeżdża na codzienny spacer do parku.

Weszła ochmistrzyni, Angielka, niosąc na rękach cesarzewicza, ubranego w biały kostjum flanelowy i w takąż czapeczkę. Cesarzewicz miał wtedy mniej niż 1½ roku i jeszcze nie mówił. Gdy się zbliżyłem, wyciągnął

do mnie rączki i poszedł na ręce, bawiąc się buljonami od szlif i orderami. Potem zaczął szybko coś gaworzyć: trr, trr i wymachiwać rączkami, jakby chciał bić w bęben. Matka wytłumaczyła mi tę mowę: kiedy cesarzewicz wyjeżdża w karecie do parku, wartownik w bramie pałacu uderzeniem w dzwon wywołuje wartę, która prezentuje broń, przytem odzywają się bębny i litaury, a sztandar chyli się do ziemi. Otóż ceremonia ta zawsze wzbudza wielkie zainteresowanie w cesarzewiczu, którego trzymają w oknie karety, gdy warta oddaje honory. O tem właśnie główny hetman wszystkich wojsk kozackich w Rosji chciał mi podobno opowiedzieć.

Gdy oddałem cesarzewicza w ręce ochmistrzyni, przez chwilę jeszcze zatrzymała mię cesarzowa, wypytując o rodzinę i o życie w Astrachaniu. Poczem raz jeszcze podała mi rękę, i na tem audjencja się zakończyła.

Któż wtedy mógł przewidzieć, że ta para cesarska wraz ze swym jedynakiem zakończy życie w tak okropny sposób?!

Ober-hof-furjer posadził mię do tej samej karety, którą przyjechałem z dworca kolei, i podał piśmienne zaproszenie na śniadanie do pałacu w Carskiem Siole, dokąd się zaraz udałem. W śniadaniu wzięło udział kilkanaście osób, dam i panów, pełniących w tym dniu służbę w pałacu. Rolę gospodarza w zastępstwie cesarza pełnił oberhof-marszałek, hr. Bekendorf. Śniadanie składało się z 4 dań i deseru. Pomimo tego cała ceremonia ciągnęła się około 40 minut, i o godzinie drugiej siedziałem już w specjalnym pociągu, który zawiózł mię do Petersburga.

Opowiadając o podróży pod „czerwonemi flagami“ z Astrachania do Petersburga, nie mogę pominąć zabawnego starcia, jakie miałem z tego powodu z ministrem spraw wewnętrznych.

Był nim P. M. Durnowo, o którym już wspominałem w opowiadaniu o zabójstwie ministra Plewego. Niecierpieliśmy się wzajemnie: ja — dlatego, że Durnowo w swoim czasie ukradł kompromitujące go dokumenty, o czem wiedział cesarz i mimo to pozostawił go na najwyższem stanowisku w administracji; on zaś z tego powodu, iż wiedział, że tajemnica jego jest mi dobrze znana; korzystał też z każdej sposobności, gdy mógł wyrządzić mi jaką przykrość lub zachwiać mój autorytet służbowy.

Wracając z Carskiego Siola do Petersburga, jechałem sam jeden w przedziale i, uprzytomniając sobie dopiero co przeżyte wrażenia, przypomniałem sobie, że winienem się zameldować ministrowi spraw wewnętrznych, t. j. jednej z moich władz *), jako gubernatora astrachańskiego, generał-gubernatora hordy bukiejewskich Kirgizów i głównego opiekuna ludu kałmuckiego. To też wprost z dworca kolei pojechałem do ministerjum spraw wewnętrznych.

Pokazało się, że był to dzień przyjęć u ministra, i poczekalnia była przepelniona. Oddałem bilet wizy-

*) Poza tem moją władzą zwierzchnią byli: minister wojny — jako hetmana kozackiego; minister dóbr państwowych — jako prezesa Komitetu rybołówstwa na Woldze i Kamie; oraz minister oświecenia — jako kuratora szkół na ziemiach gubernji astrachańskiej.

towy dyżurnemu urzędnikowi z prośbą o zameldowanie mię ministrowi. Przyjął mię natychmiast i zasypał pytaniami, skąd, poco i w jaki sposób przyjechałem do Petersburga. Gdy się dowiedział, że przybyłem za glectem komitetu strajkowego, na twarzy jego odbiło się wyraźnie uczucie radości: „a, mam cię ptaszku, teraz się nie wymkniesz“. Wstał z fotelu, co mię zmusiło również do wstania, i przyjąwszy pozę uroczystą, oznajmił, że pomysł zwrócenia się do Komitetu strajkowego po glect przez przedstawiciela najwyższej władzy cesarskiej na miejscu był tak oryginalny i dotąd niepraktykowany w administracji, że on nie może podjąć się określenia, o ile pomysł ten był zgodny z prawem i etyką służbową. Wobec czego dziś jeszcze sprawę tę podda rozpatrzeniu na radzie ministrów, i zbiorowe jej postanowienie przedstawi w najbliższym czasie cesarzowi.

Odpowiedziałem mu natychmiast, że absolutnie nie mam nic przeciwko takiemu rozstrzygnięciu sprawy, prosiłbym jednak o równoczesne zawiadomienie rady, że sam cesarz nietylko pochwalił sposób, w jaki mogłem dostać się do Petersburga, lecz parokrotnie w wyrazach serdecznych dziękował mi za wierną służbę.

Durnowo się zachnął.

— Jakto? Pan się już przedstawiał cesarzowi?

— Właśnie wracam z Carskiego Siola.

— Ale przecież mówił pan, żeś dopiero dzisiaj przyjechał do Petersburga. Więc kiedy? W jaki sposób wyrobiłeś pan sobie audjencję?

— Przyjechałem dziś o 8 z rana. A że byłem we-

zwany przez cesarza depeszą osobistą, przeto o swym przyjeździe zameldowałem komendantowi głównej kwatery cesarskiej i przez niego otrzymałem rozkaz cesarza, bym przybył natychmiast do Carskiego Siola.

Zmieszanie i zakłopotanie min. Durnowo sprawiło mi dużą przyjemność. Usiadł, mówiąc:

— Naturalnie, sprawa jest załatwiona. Wola Jego Cesarskiej Mości.

Potem już rozmowa weszła na zwykłe tory: mówiliśmy o stanie zarządzanych przeze mnie prowincyj, o buncie kozackim w Ust-Miedwiedźcu i t. p. Rozeszliśmy się na stopie pokojowej.

IV

REWOLUCJA W ASTRACHANIU W R. 1905

Długoletnia służba w administracji wojskowej w rozmaitych częściach Rosji (Turkiestan, Kaukaz, Kwantung z Portem Artura), których zarząd podlegał nie min. spr. wewnętrznych, lecz ministerjum spraw wojskowych, wpoila była we mnie przekonanie, że w wielu wypadkach możnaby uniknąć krwawych starć między policją a partjami „wywrotowemi“, gdyby przewodcy tych partyj wiedzieli, na co policja może pozwolić, a czego obowiązana jest bezwarunkowo zabraniać.

To też, gdy zrządem losu, w czasie rewolucji 1905 roku, znalazłem się na stanowisku kierowniczem w Astrachaniu, postanowiłem spróbować, czy życie usprawiedliwi moje przekonanie.

Na ziemiach, należących do hordy Kirgizów bukie-

jewskich, dżuma azjatycka rozgościła się na stałe. Podobno zawleczono ją do Rosji jeszcze w roku 1877 w czasie wojny z Turcją. Grasowała ona wtedy w Armenji i w Azji Mniejszej. Kozacy astrachańscy, nie mając pojęcia o jej zaraźliwości, przywieźli ją do siebie w dywanach, które tam zdobyli.

Gdy po wojnie dżuma zjawiała się w stanicach kozackich na Wołdze, ustalonymi wówczas środkami nadzwyczajnymi udało się ją umiejscowić. Lecz część zadżumionych dywanów kupili wówczas Kirgizi, których aulów, rozrzuconych na ogromnej przestrzeni wśród piasków, porosłych trzcina na północnym brzegu morza Kaspijskiego, niepodobna było skontrolować; stały się też one rozsadnikami dżumy, która występowała w wypadkach sporadycznych corocznie w tym lub owym aule kirgiskim.

W celu walki z dżumą urządzono w Astrachaniu stację bakterjologiczną, która badała każdy objaw podejrzanej choroby, przygotowywała szczepionki i t. p. Zarządzał tą stacją specjalista-bakterjolog, dr. Konstancow.

Z poufnych raportów policji i żandarmerji wiedziałem, że dr. Konstancow jest ośrodkiem, dokoła którego grupuje się miejscowa partja socjalnych rewolucjonistów; ze stacji bakterjologicznej, otoczonej wysokim murem, gdzie wyrabiano szczepionki przeciw dżumie i dokąd wskutek tego wejście było przez prawo wzbronione, urządził on swego rodzaju fort Szabrol, gdzie zbierali się na poufne narady członkowie partji.

Skądinąd znów z powodu dżumy, która się właśnie

zjawiła w aulach kirgiskich, byłem przez dłuższy czas w ciągłej styczności z dr. Konstancowem i przekonałem się, że jest to człowiek rozumny. Postanowiłem więc otwarcie z nim pomówić i skłonić go, by podjął się nawiązania łączności między mną a partją socjalno-rewolucyjną.

Jednakże przekonać Konstancowa było trudniej, niż się tego spodziewałem. Nie chciał on zrozumieć celu, do którego dążyłem. Bał się podstępu; podejrzewał, że w ten sposób chcę się wcisnąć do organizacji, jak mu się zdawało, dobrze zakonspirowanej, aby ją rozbić.

Takie stanowisko Konstancowa zmusiło mię do przeczytania mu raportów poufnych policji, które ujawniały całą organizację: jeżeli nie kazałem zlikwidować całej „jaczejki“, — oświadczyłem — to tylko dlatego, że na miejscu zlikwidowanej zaraz utworzyłaby się inna, jeszcze czerwiejsza i energiczniejsza. Wołałem więc u steru widzieć ludzi, którzy już byli pod dozorem policji.

Rewelacje te wywarły piorunujące wrażenie na Konstancowie, który wreszcie zgodził się zetknąć mię z delegatami partyj rewolucyjnych. Spotkania miały się odbywać w obecności Konstancowa. My we dwóch gwarantowaliśmy osobiste bezpieczeństwo delegatów.

Opowiem tu o przebiegu jednej z takich konferencyj.

Pewnego dnia zjawił się Konstancow i prosił, bym wyznaczył dzień, kiedy delegaci mogliby przybyć do mnie i rozmówić się w sprawach partyjnych. Wyznaczyłem nadchodzącą sobotę, o zmroku, jedyny dzień w tygodniu, kiedy nie miałem innych przyjęć. Delega-

ci mieli przejść nie przez wejście główne, które było pilnie strzeżone, lecz od strony ogrodu, skąd zawsze zamknięta furtka prowadziła na zaciszny zaułek, położony już w innej dzielnicy miasta, w tyle domu hetmańskiego.

Z delegatami przybył Konstancow. Przyjąłem ich w gabinecie urzędowym. Konstancow siadł opodal, a delegaci przedstawili mi swe pełnomocnictwa. Wówczas w Astrachaniu istniały dwie grupy partji socjalistycznej: jedna w zakładach Nobla, w stancy naprzeciw miasta; druga — w samym mieście, oraz partja socjalistów rewolucjonistów, ześrodkowana na stacji bakteriologicznej Konstancowa. Partji komunistycznej jeszcze nie znano, przynajmniej nie było jej w Astrachaniu.

Delegatów przyszło czterech: trzech typowych robotników, czwarty zaś dziwacznie ubrany, cały na czerwono. Ten natrętnie wtrącał się do rozmowy i przytem w sposób grubiański.

Delegaci uprzedzili, że w celu obliczenia swych sił partyjnych w najbliższe święto mają zamiar urządzić pochód po ulicach miasta, pytają więc, jak na to będzie reagowała policja.

Odpowiedziałem, że, jeżeli pochód posuwać się będzie po jezdni, a nie po chodnikach; jeżeli przytem zajmie połowę jezdni, pozostawiając połowę drogi na swobodny przejazd tramwajów i dorożek; jeżeli nie będzie żądał, by zamykano sklepy, ani też nie będzie bił tych, co nie zdejmą czapek przed nim; słowem, jeżeli wogóle odbędzie się w porządku i nie pozwoli szumo-

winom, które się zwykle dołączają do manifestacyj ludzi uświadomionych, na żadne samodzielne wystąpienia, przynoszące tylko hańbę uświadomionym robotnikom, to policja zachowa się wobec pochodu zupełnie obiektywnie, nie przeszkadzając w niczem uroczystemu zjawieniu się jego na ulicach miasta.

Pochody takie widziałem w Wiedniu i w Berlinie, gdzie członkowie partji szli rzędami po 4-ch, wzięwszy się pod ręce. W ten sposób odgradzali się oni od szumowin, które policja starannie rozpędzała. Sądzę, że porządek taki należy zachować i w Astrachaniu, gdzie nie brak przecie uświadomionych robotników.

Jeżeli jednak pochód dopuści do wybryków karygodnych, to oczywiście policja tolerować ich nie będzie i pochód rozpędzi. W razie oporu względem policji konnej będą zawezwane sotnie kozaków, i wyniki starcia mogą się okazać fatalne, gdyż porządek w mieście musi być za wszelką cenę utrzymany.

Po kilku wyjaśnieniach, które, jak widziałem, Konstancow pilnie notował, przeszliśmy do dalszych punktów konferencji. Pokazało się, że delegaci chcieliby ozdobić swój pochód czerwonymi sztandarami, z odpowiednimi napisami. Na to odpowiedziałem, że na barwę sztandarów policja reagować nie będzie. Co się zaś tyczy napisów, chciałbym je naprzód zobaczyć. Wówczas wyszło najaw, że delegaci byli tak przewidujący, iż mieli z sobą wszystkie sztandary. Na napisy więc w rodzaju: „Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się“ lub „8-godzinny dzień pracy robotnika“ — pozwoliłem bez kwestji, zaznaczając, że, chociaż w Rosji

długość dnia pracy określona jest na 12 godzin, lecz jest to liczba rzeczywiście zbyt duża, nawoływanie do skrócenia dnia pracy uważam za uzasadnione.

Następny sztandar, jaki mi pokazano, nosił napis: „Precz z samowładztwem“. Wziąwszy go z rąk delegata, odłożyłem na bok, oświadczając kategorycznie, że na sztandar z takim napisem nie mogę pozwolić. Nie pomogły prośby delegatów i zapewnienia, że jest to zasadnicze hasło ich partji. Odpowiedziałem, że właśnie dlatego partja ich jest nielegalna, iż, będąc znikomą częścią narodu rosyjskiego, nawołuje do obalenia ustroju społecznego, przez nikogo do tego nie upoważniona, i że na obnoszenie podobnych sztandarów po ulicach nie pozwoliłyby władze w żadnym praworządnym państwie.

Widząc zaś, że dyskusja przechodzi na grunt haseł partyjnych, oznajmiłem krótko: że pozwalam na pochód pod warunkiem wyniesienia na ulicę tylko zatwierdzonych przez siebie sztandarów; w przeciwnym razie cofam wszelkie dane już zezwolenia, zrzucając na delegatów odpowiedzialność za skutki starcia partji z policją i z kozakami.

Konstancow, który, znając mię, nie spodziewał się poczynionych ustępstw i był z nich bardzo zadowolony, poszedł drogą kompromisu. Przejrzeliśmy szybko pozostałe sztandary, z których część odrzuciłem. Sztandary były zrobione z ogromnych kawałków czerwonego jedwabiu z wyszytymi na nich napisami.

Ostatecznie pochód odbył się w zupełnym porządku, eskortowany przez konną policję i sotnię kozaków, i dowiódł, jak mało zwolenników miały partje wywrotowe.

Gdy chodniki były zatłoczone wielotysięcznym tłumem publiczności, z ciekawością przyglądającej się pochodowi, posuwającemu się po jezdni w wielkim porządku, do udziału w pochodzie udało się zgromadzić zaledwie kilkaset osób.

Pochód szedł głównymi ulicami, zatrzymał się przed domem hetmana, gdzie odśpiewał międzynarodówkę; zbliżył się do teatru, gdzie właśnie odbywała się próba jakiejś operetki, wyciągnął z orkiestry skrzypka, umiejącego grać marsyljankę, i poniósł rzepołę na rękach pod więzienie. Ponieważ jednak tam więźniów politycznych nie było, przeto pochód się rozwiązał, i wszyscy spokojnie rozeszli się do domów.

Po tej próbie, która zadowoliła wszystkich, byłem w stałej styczności z partjami rewolucyjnymi: przez dr. Konstancowa — z temi, które działały w mieście, przez głównego zaś zarządzającego olbrzymiami składami Nobla, Finladczyka czy też Szweda (nazwiska, niestety, nie pamiętam), człowieka bardzo uprzejmego i wykształconego — z pozamiejskimi.

Styczności tej przypisuję bardzo ważne skutki: gdy w sąsiednich gubernjach ludność podatków nie płaciła, rozbijanie zaś monopoli spirytusowych stało się sportem, jak również i zabójstwa wyższych urzędników państwowych *), w Astrachaniu życie płynęło zupełnie

*) W czasie rewolucji r. 1905 zabito: w Penzie — gubernatora Aleksandrowskiego, przy wyjściu z teatru; w Tambowie — gubernatora Starynkiewicza (syna był. prezydenta m. Warszawy), który odniósł 64 rany od bomby; w Samarze gubern. Bałka, którego bomba rozerwała. W Baku — gubern. księcia

normalnie, podatki opłacano bez opóźnienia, w ciągu zaś całej rewolucji w obrębie ziem astrachańskich nie było ani jednego wypadku rozbitcia monopolu, no, i na mnie nie było żadnego zamachu ze strony terrorystów. Zabójstwo zaś polityczne zdarzyło się tylko jedno: u wrót mego domu Ormianie zabili prowokatora ormiańskiego.

Zresztą co do mnie, zdaje się, iż byłem pod szczególną opieką miejscowej gminy żydowskiej. Wynikało to stąd, że, spędziwszy 30 lat życia w Turkiestanie, na Syberji i na Dalekim Wschodzie, gdzie podówczas Żydów było bardzo mało, nie znałem antysemityzmu. To też, przybywszy do Astrachania, nie miałem nic przeciw temu, by w olbrzymim przemyśle rybackim, obok firm czysto rosyjskich, jak: Sapożnikowów, Bezzubikowów i t. d., prowadzących miljonowe interesy, stały do pracy i żydowskie firmy: br. Wiszniewskich z Polski i inne.

W związku z tą opieką gminy żydowskiej przypominam sobie takie zdarzenie:

Po długim oczekiwaniu urodził się następcę tronu, który otrzymał imię Aleksieja i w kołysce jeszcze został mianowany głównym hetmanem wszystkich wojsk kozackich w Rosji. Nadszedł dzień jego imienin. Starszyna kozacka chciała go uczyć jak najuroczyściej. Po modłach w cerkwi, w najbliższej od miasta

Nakaszdze, i wreszcie w Saratowie był zamach na P. A. Stolypina (późniejszy premier, zabity w teatrze w Kijowie), wtedy zdruzgotano mu lewą rękę.

kozacko-bugrowskiej stanicie (kozacki pagórek *), miało się zebrać „Koło Rady“ kozackiej, na które postanowiono przywieźć stare sztandary kozackie z czasów Piotra Wielkiego i Katarzyny II, reskrypty, potwierdzające swobody kozackie, oraz inne zabytki przeszłości. Pochód miał wyruszyć z przed mego domu.

Nagle zameldowano mi, że przyszedł w pilnej sprawie rabin miejscowej gminy żydowskiej, Szuchert, i prosi o natychmiastową audjencję.

Oznajmił mi on, że gmina przed chwilą dowiedziała się o zamierzonym na mnie zamachu przez dopiero wczoraj przybyłą do Astrachania lotną partję północno-wołżańskiej organizacji rewolucyjnej i na wszystko prosi, bym nie brał udziału w dzisiejszym pochodzie. O przyjeździe terrorystów partje miejscowe jeszcze nie wiedzą. Gmina zaś dowiedziała się stąd, że rewolucjoniści — Żydzi zwrócili się do zarządu synagogi po pieniądze. Nie mogąc odciągnąć fanatyków od zamachu, gmina postanowiła uprzedzić mię o grożącym mi niebezpieczeństwie, prosząc, bym w ciągu kilku rannych godzin nie wychodził z domu, zarząd zaś na pierwszym, odchodzącym w górę rzeki statku, dziś jeszcze, wyprawi terrorystów z Astrachania, i dalsze uroczystości, wyznaczone na ten dzień (urzędowe śniadanie na 250 osób u mnie, gimnastyczne popisy konne młodzieży,

*) Dotychczas stoi tam stara cerkiew z czasów Katarzyny II i widać ślady obronnych wałów, z poza których kozacy bronili się od Persów, podówczas władających Kaukazem, lub od Mongołów, napadających od strony Uralu.

bal w kasynie wojskowem, oraz wieczorynki w koszarach kozackich) odbędą się normalnie.

Oczywiście, nie mogłem się na to zgodzić. Naprzód bowiem zgóry wiedziałem, że uchylenie się od pochodu przeze mnie, Polaka i katolika, byłoby bardzo źle widziane przez kozaków; powtóre zaś nie wierzyłem, aby można było łatwo zorganizować zamach w obcym mieście, i nie chciałem stać się marjonetką w rękach pewnych osób. W przekonaniu tem podtrzymywało mię to, co z naciskiem powtarzał rabin Szuchert, że gmina liczy na mój takt i bardzo prosi, bym nieostrożnem postępowaniem nie skompromitował jej wobec rewolucjonistów.

W tonie ostrym więc zapytałem go, czy ci ludzie są na ulicy. Odpowiedział, że są: właśnie przyszedł za nimi z synagogi.

Podeszliśmy do okna, wychodzącego z mego gabinetu na ulicę i zasłoniętego grubą firanką. Wśród tłumu ludzi, zatrzymujących się przed mym domem, by przyjrzeć się przygotowaniom do pochodu, odrazu zauważyłem dwóch osobników, wyróżniających się trochę ubraniem i czapkami od mieszczan astrachańskich. Jeden stał naprzeciwko mego ganku: lewą nogę oparł na kamiennym słupku, dzielącym jezdnię od chodnika; gryzł nasiona słonecznika, wypluwając łupiny daleko od siebie i gapiąc się na zebraną przed domem publiczność. Drugi zatopiony był w oglądaniu okna wystawowego księgarni, znajdującej się akurat naprzeciw mego domu. Obaj ręce prawe trzymali w kieszeniach ku-

braków, w których, jak zapewnił rabin Szuchert, mieli bomby.

Wskazawszy mi terrorystów, rabin się oddalił, ja zaś zawezwałem policmajstra, który, jak się pokazało, już był zwrócił na nich uwagę i polecił obserwować ich policjantom, ubranym po cywilnemu. Chodziło mi o to, by wśród zebranej przed domem publiczności nie robić zamieszania; że zaś ulica przed domem była nie szersza nad 20 metrów, więc najłatwiej było wszczać z nimi burdę i spokojnie wprowadzić ich na podwórze mego domu. Policmajster wyszedł na ulicę i sprawił się błyskawicznie. Nie zdążyłem odejść od okna, by nie być pokaleczonym rozbitem szkłem w razie zatargu lub wybuchu jakiejś bomby, a obydwaj niedoszli moi zabójcy znaleźli się już na mojem podwórzu, mocno trzymanii za ręce przez policjantów. Cała operacja odbyła się w przeciągu 1½ — 2 minut, i jeżeli zauważył ją ktoś z publiczności, to najwyżej parę osób, stojących najbliżej ganku i zawsze zamkniętej bramy, prowadzącej z ulicy na podwórze.

Przy rewizji osobistej znaleziono u jednego z areztowanych bombę formy owalnej (podobno włoską), u drugiego granat ręczny, nadto dwa nabite brauningi dużego kalibru i po trzy zapasowe magazyny z ładunkami.

Ponieważ wszelkimi sposobami starałem się uniknąć rozgłoszenia tego zajścia, co było konieczne dla zachowania spokoju w mieście i ze względu na zarząd gminy, która się w tak dyskretny sposób mną zaopieko-

wała, przeto, po odebraniu broni i nałożeniu aresztowanym kajdanek na ręce, kazałem zostawić ich u siebie w domu, sam zaś, w otoczeniu 42 stanicowych atamanów z buławami, starych sztandarów i innych pamiątek — wyruszyłem konno w uroczystym pochodzie do cerkwi w Kozackich-Bugrach, gdzie zebrało się „Koło“ starszyzny kozackiej całego wojska astrachańskiego.

Po przeczytaniu reskryptów, gwarantujących wolności kozackie, t. j. potwierdzających prawa do ziemi, samorząd, zwolnienie od podatków i t. d., i po zatwierdzeniu przez „Koło“ przygotowanych zawczasu telegramów do cesarza i młodziutkiego następcy, pochód równie uroczyście wrócił do miasta.

Dom hetmański był już przepelniony gośćmi, zaproszonymi na galowe śniadanie.

Dopiero przed wieczorem znalazłem chwilę czasu, by zawezwać aresztowanych terrorystów do swego gabinetu. Nie wyglądali na bohaterów, gotowych oddać życie za ojczyznę. Weszli zdenerwowani; szczególnie jeden z nich był w nastroju krzykliwie - ordynarnym i zaraz ode drzwi począł wołać:

— „Jak pan śmie więzić nas w swoim mieszkaniu! Jesteśmy więźniowie polityczni i powinniśmy siedzieć w więzieniu. Przyznaję, że chciałem sprzątnąć jednego z ciemieńców ludu. Nie udało się. Niech mnie sędzi sąd, lecz niech mię nie trzymają w katowni“.

Drugi milczał apatycznie, patrząc na ścianę, gdyż, prócz mnie, świadkami badania byli: policmajster i dy-

rektor mojej kancelarji, pan D., Polak*), którego nazwisko niestety chwilowo wypadło mi z pamięci.

Wyznaję, że ordynarne wrzaski niedoszłego mordercy ogromnie mię wzburzyły. Pohamowałem się jednak i zapytałem spokojnie: „Czy was dziś nakarmiono?“ Pytanie to zmieszało obydwoh. Pierwszy z nich zamilkł, drugi zaś szybko odrzekł: „Owszem! Dziękujemy“.

Chcąc zbadać przyczyny zamachu na mnie, postawiłem im szereg pytań: „czy mię znają? czy ich czem nie skrzywdziłem osobiście lub ich bliskich? czy może w Astrachaniu ludność skarżyła się na mnie, i to skłoniło ich do zamachu?“ Odpowiedzieli zgodnie, że ani osobistych, ani partyjnych powodów nie mają: od zarządu swojej partji otrzymali polecenie urządzenia zamachów na urzędników w większych miastach nad Wołgą w celu zakłócenia spokojnego biegu miejscowego życia, i tylko taka była przyczyna zamachu.

Wziąwszy pod uwagę zeznania aresztowanych, to, co mi mówił rabin Szuchert, oraz wzburzenie, jakieby wywołała wiadomość o zamachu na mnie w spokojnem dotychczas życiu całego kraju astrachańskiego, przy-

*) Gdyby te parę słów wpadły w ręce pana D., uprzejmie przepraszam, że nazwiska jego chwilowo nie mogę sobie przypomnieć. Piszę z pamięci, nie mając żadnych notatek, przytem w ciężkiej chorobie. Gdy z Petersburga, z M. Sp. Wew. дано mi do zrozumienia, że jest rzeczą nieprzyjętą, by przy gubernatorze-Polaku dyrektorem kancelarji był Polak, wyrobiłem mu miejsce komisarza w jednym dużym obwodzie na lewym brzegu Wołgi. Miejsce dyrektora kancelarji mojej zajął po nim p. Fieodorow, Rosjanin.

szedłem do przekonania, że najlepiej będzie zbagatelizować zamach. Zresztą, było to jedynie możliwe wyjście, by nie skompromitować wobec rewolucjonistów działalności zarządu synagogi, która w przewodzie sądowym musiałaby wyjść najaw. To też okazałem, że sumienie moje nie pozwala mi uznać ich za ideowych wrogów obecnego ustroju państwowego; uważam ich tylko za robotników partyjnych, związanych z partją rachunkami pieniężnymi: zlakomili się na łatwy zarobek — teraz partja likwiduje ich zobowiązania... Dlatego sprawę ich uważam za skończoną: dziś jeszcze wyśle ich z Astrachania wgórę Wołgi, do miejscowości, jaką sobie sami wybiorą. I z takim poleceniem oddałem ich policmajstrowi. W trzy dni potem otrzymałem z Saratowa list dziękczynny, z którego domyśliłem się, że dostali się na swoje śmiecie.

Aby wyświecić stosunek swój do mieszkańców Astrachania, opowiem drobny wypadek, który jednak mógł mieć poważne następstwa i wykoleić wiele uczącej się młodzieży.

Nie pamiętam już z jakiego powodu, przed domem hetmańskim, który stał przy skrzyżowaniu dwóch największych ulic miasta, zebrało się mnóstwo ludności. Tłum, nie mieszcząc się na chodniku, zapełnił jezdnię tak, że przechadzając się po sali hetmańskiej, mogłem swobodnie obserwować nastrój ogólny. Wśród publiczności uwijał się policmajster, do tego stopnia lubiony przez mieszkańców, że kiedy po opuszczeniu przeze mnie Astrachania zastrzelił się z nieznanym mi bliżej przy-

czyn, to zarząd miasta wyznaczył wdowie dożywotnią pensję, a 5-gu dzieciom stypendja na wykształcenie.

Nagle postrzegam, że za policmajstrem skrada się syn bardzo zamożnego właściciela przedsiębiorstwa rybackiego, uczeń VI kl. gimnazjum realnego W., i nader zręcznie na plecach palta przymocowuje mu odezwy rewolucyjne, drukowane na czerwonym papierze, jakimi ma wypchane wszystkie kieszenie. Policmajster, nie podejrzewając podstępu, chodzi między tłumem, a gawieź zaśmiewa się, czytając odezwy, umocowane na jego plecach. Pokazawszy tę scenę dyżurnemu urzędnikowi policyjnemu, poleciłem mu nieznacznie przyprowadzić do mnie tego ucznia, oraz wezwać jego ojca i członków zarządu synagogi.

Oddawszy chłopca ojcu, który własnoręcznie wyciągnął z rozmaitych kieszeni syna paręset proklamacyj, drukowanych na cieniutkiej bibule czerwonej, stwierdziłem wobec zarządu synagogi, że sam własnymi oczyma się przekonałem, iż młody W. (iślicki) zajmuje się kolportowaniem bibuły rewolucyjnej. Powinienbym w tej chwili razem z bibułą odesłać go do dyrekcji gimnazjum realnego. Nie chciałbym jednak tego robić, gdyż dyrektor byłby zmuszony wydalić Wiślickiego. Sprawa doszłaby do miejscowej żandarmerji, która, naturalnie, aresztowałaby ucznia, opromieniając go aureolą męczeństwa... Szkoły zechcą okazać współczucie młodocianemu więźniowi i zastrejkują, udaremniając w ten sposób usiłowania komitetów rodzicielskich, które z takim natężeniem walczyły z ogólnym prądem strejkowym, jaki my tutaj obserwujemy, ciesząc się, że gdy

szkoły w całej Rosji strejkują*), u nas, w Astrachaniu, dzieci uczą się spokojnie i normalnie.

Oczywiście — mówiłem — nie stosuję tego do p. W., gdyż, jako człowiek zamożny, może on wysłać syna zagranicę, gdzie będzie kształcił się dalej. Lecz co poczną rodzice niezamożni, którym i tak bardzo jest trudno wychować swoje dzieci? Ale skądinąd nie mam prawa puścić płazem niegodnego żartu młodego W. Proponuję przeto, aby ojciec zabrał syna, odwiózł go do synagogi i tam, wobec policmajstra, wymierzył mu karę cielesną. Naturalnie, że nie chodzi o ból, lecz tylko o wstyd: chłopak źle zrobił; niech wie, że za to kara go spotkała.

Wszyscy obecni zwrócili się do ojca W., oczekując jego odpowiedzi. Tymczasem stary W. nie zgodził się na karę syna, mówiąc, że ma tylko jego jednego i nie chce go stracić; syn bowiem uprzedził go pono, że, jeżeli ojciec będzie mu przeszkadzał w urzędzeniu życia wedle jego własnych życzeń, to on porzuci dom rodzicielski i pójdzie sobie w świat.

Poczułem, że cały mój plan się załamuje, i że naprawić położenie mogę tylko jakimś wyjątkowym wystąpieniem. To też zwróciłem się do członków zarządu: byli oni świadkami — mówiłem — jak wszelkimi siłami pragnąłem zapewnić normalny bieg życia publicznego w Astrachaniu, zachować ciągłość zajęć naszych dzieci, no, i nasz dobrobyt, który, zależnie od drgnień i wybuchów rewolucji, może się zachwiać poważnie. Pan W.

*) Początek 1906 r.

zlekceważył nasz spokój, nie ceni go, bo jest nietutejszy. Ponieważ ja jestem winien, że nie przestrzegam prawa, wzbraniającego mu zamieszkiwać nad Wołgą, więc obecnie oświadczam, że daję mu tydzień czasu na zlikwidowanie swych przedsiębiorstw; jeżeli w ciągu tego czasu nie wyjedzie dobrowolnie, będzie wysłany przez policję do miejsca, skąd pochodzi.

Wyjście się znalazło, i w ciągu godziny sprawa była załatwiona.

Czy młody W. dostał w skórę? Nie wiem. Poleciłem policmajstrowi, by do tego nie dopuścił. Lecz zajęcie było zlikwidowane, i zajęcia w szkołach odbywały się dalej zwykłym trybem. A o to mi jedynie chodziło.

Bardzo często powodem ostrych starć ludności z władzami były niefortunne zarządzenia wyższej administracji, nieraz wprost prowokujące obywateli. Szczególną skłonność do podobnych zarządzeń miał sąsiad mój z południa, główny kierownik administracji Kaukazu, generał-adjutant księżę Golicyn. W salonach petersburskich znany był pod imieniem księcia Gri-gri, i mianowanie go na to ważne stanowisko na Kaukazie, gdzie właśnie począł dojrzewać antagonizm między Tatarami a Ormianami, wywołało wielkie zdziwienie. Na Kaukazie z powodu swej gwałtowności otrzymał on przezwisko „Samowar-Pasza“ (kipiał jak samowar). Gwałtowność ta była powodem niedostatecznie obmyślonych zarządzeń, częstych ich zmian i chaosu w zarządzie kraju. Sam on uważał się za nacjonalistę, z woli Bożej postawionego na czele administracji Kaukazu specjalnie w celu rusyfikacji tego kraju. Tymczasem Kaukaz,

zamieszkania przez dwadzieścia wzajemnie zwalczających się narodów, był może najtrudniejszym posterunkiem administracyjnym w Rosji. W Ormianach, którzy, wraz z Gruzinami i Tatarami, stanowią najliczniejszą część mieszkańców Kaukazu, zbudziło się było poczucie narodowe; na czele ruchu narodowego stanął ówczesny katolikos (metropolita) ormiański, zamieszkały w Enczymiadzynie. Za nim poszło duchowieństwo i nauczycielstwo. Zaczęto uczyć w języku ormiańskim, szczególnie religji, historii i geografji. W kościołach i szkołach zjawily się portrety królów i bohaterów ormiańskich i t. p.

Z początku na ruch ten nie zwracano uwagi. Dopiero kiedy najważniejsze stanowiska w otoczeniu księcia zajęli Gruzini, odwieczni wrogowie Ormian, zaczęły się represje. Wśród Ormian powstało wówczas stronnictwo rewolucyjne „dasznakcutiun“, które się szybko zorganizowało i zdobyło wpływ nietylko na Ormian, mieszkających w obrębie państwa rosyjskiego, lecz i w Armenji tureckiej. Był to właściwie rząd tajny, którego rozkazom nikt nie śmiał się sprzeciwić, gdyż za najmniejszy opór groził wyrok śmierci, wykonywany ze zdumiewającą punktualnością nietylko w Rosji, ale i zagranicą, dokąd uciekali bogaci Ormianie, chcąc uniknąć daniny majątkowej. W taki sam sposób partja „sprzątała“ niedogodnych dla siebie urzędników rosyjskich. Teror i zabójstwa polityczne zdarzały się codziennie nietylko na Kaukazie, lecz nawet poza jego granicami. Jedyne go morderstwa politycznego, jakie przytrafiło się w Astrachaniu, dokonano z rozkazu tego stronnictwa: prawie

przed samą bramą domu hetmańskiego zasztyletowano nieznanego w mieście Ormianina, na trupie którego znaleziono kartę z napisem „śmierć zdrajcy“. Musiał to być szpieg, któremu się udało wsiąść na statek w Baku, Derbencie lub Pietrowsku i wylądować w Astrachaniu. Podobno z przystani biegł on w stronę mego domu, w nadziei, że tam się ukryje i że ja go wyślę dalej do Rosji. Lecz telegraficznie uprzedzeni o tem członkowie bojówki partyjnej, spotkali go na przystani i zamordowali, dopędziwszy na ulicy. Odwiedziłem go w szpitalu w kilka minut po zamachu, sądząc, że uda mi się otrzy- mać jakie wyjaśnienia, które naprowadziłyby na ślad zbrodniarzy. Miał 5 ran. Na pytania nie odpowiadał: nie chciał, czy też nie mógł mówić. Lekarze stwierdzili, że rany były zadane zatrutym sztyletem. Śmierć nastąpiła w godzinę po zamachu.

Te ciągle zamachy terrorystyczne zniechęciły ostatecznie księcia Golicyna do Ormian. Począł faworyzować Tatarów, uważając ich, zarówno jak i Gruzinów, za ostoję ładu i caryzmu na Kaukazie. Wzbudzony przez taką politykę antagonizm spowodował straszną rzeź między Ormianami a Tatarami, która ogarnęła cały Kaukaz. Baku i słynne źródła nafty paliły się, i miljo- nowe fortuny ginęły w ciągu kilku godzin.

Ponieważ sympatje sfer rządowych podobno stale były po stronie Tatarów, przeto działalność „dasznaku- tiunów“, jedyńych obrońców Ormian, spotęgowała się do niebywałych rozmiarów. Jakiś zły duch podszeptał księciu Golicynowi, że stronnictwo to, mając za sobą katolikosa i kler, otrzymuje pieniądze z kapitałów ko-

ścielnych, któremi rzekomo rozporządza się bez kontroli. Wobec tego niezwłocznie przygotowano nowelę, na mocy której w najszybszym czasie miano zabrać duchowieństwu kapituły, majątki i ziemie, z jakich się ono utrzymywało; kapitały postanowiono przelać do Banku Państwa, nad majątkami zaś ustanowić zarząd skarbowy, aby w ten sposób uniemożliwić klerowi rozporządzanie sumami kościelnymi. Nowela ta w niezwykle szybkim tempie została zatwierdzona w Petersburgu i stała się prawem, obowiązującym na obszarze całej Rosji, gdzie tylko istniały kościoły ormiańskie.

Żeby zrozumieć, jak boleśnie dotknęło Ormian nowe prawo, trzeba sobie uprzytomnić, iż rząd rosyjski nie dostarczał żadnych środków na utrzymanie kleru, kościołów i szkół ormiańskich, wszystkie bowiem wydatki ponosiły gminy. Dzięki ofiarności bogatszych członków gmin zebrano pewne sumy, od których odsetki szły na pokrycie bieżących rozchodów. Tymczasem nadszedł termin przelania prawa rozrządzania majątkiem kościelnym z kleru ormiańskiego na urzędników państwowych. Duchowieństwo, powołując się na rozporządzenie katolikosa, kategorycznie odmówiło wydania czegokolwiek władzom państwowym. Zaczęły się gorszące rewizje w kościołach ormiańskich i aresztowania wśród kleru. Ludność, podburzana przez „daszkanciutunów“, broniła dostępu do kościołów. Starcia często kończyły się strzelaniem. Byli ranni i zabici; kościoły ormiańskie, sprofanowane krwią, zamykano, co naturalnie jeszcze bardziej rozgoryczało ludność. Niezadowolenie rosło, przekroczyło granice Kaukazu i dało się odczuć w

Astrachaniu, którego stali mieszkańcy składają się z trzech prawie równych części: z Rosjan, Tatarów i Ormian, po trzydzieści kilka tysięcy każdej z tych narodowości. W Astrachaniu również stale mieszkał arcybiskup ormiański, najwyższa po katolikosie osoba w hierarchji kościelnej. Władza jego obejmowała kościoły ormiańskie w całej Rosji (z wyjątkiem Kaukazu), a więc i na Syberji, i na Dalekim Wschodzie.

Gdy echa rzezi ormiańsko-tatarskiej doszły do Astrachania, zgromadziłem u siebie po 300 przedstawicieli każdej z narodowości i po stosownej przemowie, w której uprzedziłem, że w celu utrzymania w kraju ładu i porządku wszelkie wybryki z czyjejkolwiek strony będą karał z bezwzględną surowością, uprzytomniłem zbranym konieczność, aby samo społeczeństwo przyszło mi z pomocą w chwilach tak poważnych i wybrało komisję rozjemczą, któraby rozstrzygała wszelkie możliwe zażargi, raz na tydzień przedstawiając mi swe wyroki do zatwierdzenia.

Na szczęście, do komisji weszli ludzie, cieszący się ogólnem zaufaniem. Komisja działała z taką sprawnością, że nawet potem, kiedy w Rosji nastąpiło pewne uspokojenie, przeciw postanowieniom jej nikt nie wniósł skarg lub protestów.

Tymczasem zbliżał się termin przejęcia przez rząd dóbr i kapitałów kościelnych. Od przychylnych mi Ormian wiedziałem, że „dasznakcutiuny“ postanowili wystąpić zbrojnie i że na żadne kompromisy nie pójdą. Zachodziłem w głowę, jak postąpić w tej sprawie, na której mogła się załamać cała polityka moja w

Astrachaniu. Wreszcie postanowiłem rozmówić się otwarcie z arcybiskupem ormiańskim, który słynął między swoimi rodakami, jako asceta i nacjonalista. Żył tylko chlebem i herbatą, wszelkie zaś dochody swoje oddawał na szkoły ormiańskie i na cele narodowe.

Umówiwszy się poprzednio co do godziny, kiedy mię przyjmie, pojechałem do niego. Arcybiskup mieszkał w swym pałacu, tuż obok katedry. Ogromny ten budynek był bardzo zaniedbany. Na olbrzymiem pustem podwórku spotkałem jakiegoś mnicha, który wprowadził mię po szerokich schodach na piętro. Przeszliśmy kilka dużych, lecz pustych pokoi, gdzie tylko ściany ozdobione były jakimiś portretami bohaterów w żelaznych zbrojach, ze sztandarami. W pokojach było zimno, bo w nich nie palono.

Dopiero przed drzwiami zamieszkanego pokoju zobaczyłem arcybiskupa. Był to wysoki starzec, wyschnięty, jak mumja, tylko twarz jego ożywiało przenikliwe spojrzenie ogromnych czarnych oczu. Ubrany był w czarną szeroką sutannę. Na głowie miał czarny kołpak mniszy z białym krzyżem na czole. Przeżegnał mię zdaleka, a następnie zbliżywszy się, wyciągnął obie ręce na powitanie i pocałował mię w twarz trzykrotnie, rzekł: „W imię Boga Jedyne go witam“.

Weszliśmy do pokoju. Na środku stało stare, rozklekotane biurko, przy niem także dwa krzeselka; pod ścianą żelazne wąziutkie łóżko. Jeden róg pokoju zajmowały obrazy świętych; przed niektórymi z nich paliły się lampki. Tuż obok klęcznik i kilka modlitewników. Słowem — uboga cela klasztorna.

Usadziwszy mię i odprawiwszy służącego, rozpoczął rozmowę oświadczeniem, iż od swych wiernych słyszał wiele dobrego o mojej sprawiedliwości, poczem wprost zaznaczył, że zapewne odwiedziłem go w kwestji odbioru majątków kościelnych. Odpowiedziałem, że tak jest w istocie: w sprawie tej ukazał się specjalny rozkaz cesarski, który w oznaczonym terminie musi być wykonany, przyjechałem więc, by wspólnie rzecz całą omówić i wynaleźć sposoby w celu złagodzenia tak bolesnego dla Ormian ciosu.

Arcybiskup zamyślił się przez chwilę i odrzekł, że, niestety, nie widzi wyjścia; rozumie dobrze, że ja rozkaz cesarski muszę wykonać, lecz jego w sprawach kościelnych obowiązuje jedynie rozporządzenie katolikosy. Ten zaś kategorycznie zabrania oddania rządowi kapitałów i dóbr kościelnych.

W gorącej dyspacie starałem się przekonać arcybiskupa, że cała ta sprawa jest dla mnie niejasna. Otrzymałem rozporządzenie, abym przejął kapitały i złożył je w banku, nad administracją zaś dóbr mam ustanowić kontrolę. Rozporządzenie to jest ogólnikowe i bardziej niż niejasne, lecz rozmyślnie nie żądałem żadnych wyjaśnień, żeby całą sprawę załatwić wedle własnej najlepszej woli i rozumienia. Pojmuję aż nadto dobrze, że kler i nauczycielstwo bez uposażenia istnieć nie mogą, a więc sumy, objęte budżetem do końca bieżącego roku, jestem gotów zaraz kazać wypłacić. Następnie mam ustanowić kontrolę nad dochodami z domów i majątków. Lecz do tego trzebaby zasadzić całe biuro fachowych urzędników, których nie posiadam. Chcąc nie

chcąc przeto, muszę pozostawić na stanowiskach obecnych zarządców i ograniczyć się jedynie do pilnowania, by wszelkie dochody wpływały nie bezpośrednio do zarządu gminy kościelnej, lecz przez bank. Jestem pewien, że katolikos zakazał arcybiskupowi oddania majątków kościelnych osobiście albo przez zarząd, lecz nie mógł włożyć obowiązku bronienia tych dóbr z orężem w rękę ani na arcybiskupa, ani na zarząd. Tymczasem, jeżeli nie otrzymam ksiąg, które prowadzi zarząd dóbr kościelnych, będę zmuszony ich szukać, może nawet użyć siły. Wy wtedy — mówiłem — będziecie się bronili, jak to było w Tyflisie i w innych miastach Kaukazu. Oczywiście, będą ranni i zabici, kościół ulegnie profanacji, a rząd wnet odpowie na ten opór masowymi aresztowaniami, deportacją na Sybir, karami, które zrujnują niewinnych i spowodują straszne rozgoryczenie wśród ogółu Ormian. Zresztą, Ormianie mają w Petersburgu własną silną i wpływową partję, i jestem głęboko przekonany, że w najkrótszym czasie rząd sam cofnie to niesprawiedliwe zarządzenie. Osobiście zgodziłbym się na to, żeby na dzień 1-y następnego miesiąca zarząd zakończył księgi i wykazał sumę kapitałów w banku, oraz dochodów z dóbr kościelnych. Księgi niech zostaną w zakrystji. Przyjadę do kościoła z dyrektorem banku i izby skarbowej, księgi podpiszemy i zostawimy kościelnemu, a wykazy prześlę do Petersburga.

Po długich pertraktacjach arcybiskup posłał po członków zarządu, sam zaś w oczekiwaniu na nich padł na klęcznik i począł gorąco się modlić.

Po przybyciu członków zarządu dyskusję prowadzono

w języku ormiańskim i tylko w wyjątkowych razach zwracano się do mnie. Wreszcie wypracowaliśmy coś w rodzaju umowy, którą podpisaliśmy. Do domu wróciłem późnym wieczorem, wyczerpany, lecz zupełnie zadowolony.

W dniu, wyznaczonym w umowie, przyjechałem do katedry w towarzystwie dyrektora Izby Skarbowej i banku, spotkał nas tylko kościelny, który przedstawił nam księgi i wykazy. W księgach położyliśmy swe podpisy, wykazy zaś wysłałem do Petersburga, donosząc, że dobra kościelne przejąłem bez przeszkody.

W parę miesięcy potem i Petersburg przyszedł do przekonania, że „Samowar-Pasza“, zamiast zrusyfikować Kaukaz, rozniecił tam zarzewie ogólnej rewolucji. Księcia Golicyna wezwano do Petersburga, uprzejmie mianowano go członkiem Rady Państwa, a na jego miejsce posłano na Kaukaz, jako namiestnika cesarskiego, hr. Woroncowa-Daszkowa.

Był to okres czasu, kiedy Niemcy, którzy zwykle kierowali polityką rosyjską w Petersburgu z punktu widzenia interesów niemieckich, z niewiadomych mi przyczyn nieco pofolgowali, i z Petersburga powiał wiatr nacjonalistyczny. Przyszła moda na „zbawców ojczyzny“ w rodzaju „Samowara-Paszy“, i każdy z potentatów, zarządzających poszczególnymi wydziałami administracji w Rosji, starał się prześcignąć swych kolegów w pomysłach nacjonalistycznych.

Jednym z takich potentatów był hr. Protasow-Bachmietjew, w ciągu ćwierci stulecia zarządzający dobrami i wszystkimi żeńskimi zakładami wychowawczemi,

na utrzymanie którychłożył t. zw. Zarząd Cesarzowej Marji (Wiedomstwo Impieratrycy Maryji). Jurysdykcji jego podlegał zarówno Aleksandryjsko-Maryjski Instytut w Warszawie (w gmachu tym obecnie mieści się Sejm), jak gimnazjum żeńskie w Astrachaniu lub Władystoku.

Był to starzec wysoki, chudy, ubrany w mundur kozaków astrachańskich, gdyż niegdyś był ich hetmanem polnym. Miljarder, bezdietny, siedział mocno na swem stanowisku, gdyż zapewniał, że cały swój majątek zapisze Zarządowi. Mieszkał w pałacyku na Newskim Prospekcie, gdzie w prywatnej swej cerkwi miał obrazy wartości miljonowej*). Hr. Protasow-Bachmietjew trzymał się klamki dworskiej, bo przyzwyczał się co wtorek i piątek jeździć do cesarzowej Marji z raportem i zostawać tam na śniadaniu. Przy wyjściu z apartamentów cesarzowej obok czapki swej znajdował zawsze 4 funty karmelków, które wsypywał do wielkich kieszeni munduru kozackiego; wróciwszy do Petersburga, jechał do jednego z podwładnych mu instytutów i dopóty chodził po sypialniach, rozdając dzieciom karmelki, wyciągnięte z kieszeni surduta, póki wszystkich nie rozdał.

Otóż ten magnat, nie chcąc dać się wyprzedzić księciu Gri-gri w gorliwości rusyfikacyjnej, wystarał się o rozkaz cesarski, opiewający, aby we wszystkich szkołach, instytutach i gimnazjach, utrzymywanych kosztem Zarządu cesarzowej Marji, religję wykładano Ormian-

*) Bolszewicy urządzili tam kinematograf.

kom nie, jak dotychczas, w języku ormiańskim, lecz po rosyjsku. Ponieważ zaś cesarzowa Marja (matka Mikołaja II) mianowała mię kuratorem wszystkich takich szkół na południu Rosji, więc włożono na mnie obowiązek wprowadzenia w życie tego rozporządzenia.

Spadło ono, jak piorun z jasnego nieba. Ormianie ani na chwilę nie przypuszczali, by mógł być taki rozkaz wydany bez porozumienia się ze mną, nie przeto dziwnego, że w głębi duszy zarzucali mi dwulicowość; czułem, że tracę zaufanie społeczeństwa. Aby uspokoić opinię publiczną, zawezwałem prezesa ormiańskiego Komitetu rodzicielskiego, oraz inspektora szkół ormiańskich i wspólnie z nimi wypracowałem umotywowaną prośbę o czasowe choćby wstrzymanie zastosowania nowego prawa. Lecz odpowiedź była odmowna. Natenczas pojechałem osobiście do Petersburga. Tam, w rozmowach, jakie prowadziłem w tej sprawie z ministrem oświaty i z hr. Protasowem-Bachmietjewem, po raz pierwszy od czasu objęcia swego stanowiska w Astrachaniu odczułem, jeżeli nie pewien „chłód“, to bądź jak bądź mniejsze zainteresowanie mojami troskami.

Wyczuwszy to natychmiast, zrozumiałem, że jakąś plotkę przyczepiono w Petersburgu do mego nazwiska, lecz nie wiedziałem, o co chodzi. Przekonawszy się jednak, że nic nie wskóram ani u ministra oświaty, ani tem bardziej u hr. Protasowa, który był dumny z wydanego prawa, zwróciłem się do hr. Woroncowa-Daszkowa. Ten oddał już był zarząd ministerjum dworu i oczekiwał reskryptu nominacyjnego na namiestnika cesarskiego na Kaukazie.

Przyjął mię w swym prywatnym pałacyku przy ulicy Nadbrzeżnej obok Senatu *).

Hrabia Woroncow był chory na podagrę i siedział przed kominem, mając kołdrę wojłokową na nodze, wyciągniętej na 2-ch krzesłach. Wysłuchał mię z największem zainteresowaniem, poczem rzekł: „Protasow— to stary osioł! Trzyma się na tem stanowisku tylko dlatego, że obiecuje całą swą olbrzymią fortunę zapisać na rzecz instytucyj cesarzowej Marji, ale mam głębokie

*) W westybulu tego pałacyku stała osobliwość jedyna w swoim rodzaju, mianowicie wieszadła, umocowane na takich olbrzymich niedźwiedziach, czarnych i ciemno burych, jakich ani przedtem, ani potem nigdy nie zdarzyło mi się widzieć. Były to trofea własnych polowań hrabiego. Hr. Woroncow-Daszkow był niezmiernie bogaty i miał tylko syna i córkę, zamężną za hr. Szuwałowem, którego zamordowano w Moskwie, jako „gra-donaczalnika“. O bogactwie hr. Woroncowa-Daszkowa świadczyć może choćby następujący fakt. W czasach, gdy dowodził on pułkiem lejbkkozaków, jeden z jego oficerów zadłużył się u niego na 700.000 rubli. Oficera tego awansowano potem na generała i mianowano pomocnikiem gubernatora Fergany, gdzie otrzymywał on pensję 4500 rs. rocznie, oraz mieszkanie skarbowe. Przyjechawszy kiedyś z Turkiestanu, odwiedziłem hrabiego. W rozmowie zapytał on, jak się powodzi generałowi Jafimowiczowi. Wiedząc o owym olbrzymim długi, odpowiedziałem, że generał jest człowiekiem samotnym i żyje skromnie, więc pensja 4500 rs. rocznie wystarczy mu na utrzymanie, lecz o spłacie tak ogromnego długi, oczywiście, nawet marzyć nie może. Woroncow-Daszkow przerwał mi, oświadczając, że zapytał bynajmniej nie dlatego, by miał chęć lub nadzieję otrzymania należnej mu sumy, lecz po to, by z czystem sumieniem mógł gen. Jafimowiczowi odmówić, gdyby ten znowu zwrócił się do niego o pożyczkę.

przekonanie, że ją okpi, gdyż obawia się napisać testament*). Teraz wyrabia głupstwa, nie rozumiejąc, iż bynajmniej nie różami ściele mi drogę, przygotowaną na Kaukazie przez księcia Golicyna. Proszę, niech pan pójdzie do mojej żony na górę i poprosi ją, żeby pomówiła otwarcie w tej sprawie z cesarzową Marją“.

Poszedłem. Hrabina miała także już dosyć hr. Protasowa i o rozumie jego wyrażała się z jeszcze większą otwartością, niż hrabia. To też niezwłocznie połączyła się telefonem osobistym z cesarzową-matką, która mieszkała w Gatchynie, i wypowiedziała jej wszystko, co jej leżało na sercu. W kwadrans potem otrzymałem polecenie, bym osobiście udał się do hr. Protasowa-Bachmietjewa i piśmiennie go zawiadomił, żeby nazajutrz stawił się u cesarzowej-matki. Spełniłem polecenie, będąc zaś pewny, że po audjencji natychmiast zajędzie do mnie, czekałem go w hotelu.

Rzeczywiście, przyjechał wprost z dworca kolei, lecz w stanie takiego przygnębienia, że pomimo niechęci, jaką żywiłem do niego za nieprzyjemności, których był przyczyną, żal mi się go zrobiło.

Pierwszy raz podówczas patrzyłem na prawdziwego dworaka carskiego, srodze zmartwionego spodziewaną niełaską. Hrabia Protasow**) starzec przeszło

*) Hr. Woroncow miał słuszną. W rok potem hr. Protasow umarł nagle w jakimś pensjonacie w Berlinie. Fortuna rozplynęła się między dalekimi krewnymi.

**) Pochodził on podobno w prostej linii od hrabiny Protasowej, która przy Katarzynie II pełniła obowiązki „Probir-damy“; przez ręce jej naprzód przechodzili kochankowie, wy-

70-letni, magnat, niewiele ustępujący w bogactwie hr. Szeremietjewowi, którego dochody obliczano na 50 milionów rubli rocznie; człowiek, co miał już wszystkie odznaki i ordery, jakie istniały w Rosji, zalewając się łzami, opowiadał mi o nieszczęściu, jakie go spotkało, szukając winy, naturalnie, nie w sobie, lecz w intrygach zastępcy swego, ochmistrza Kaufmana, który bądź co bądź stara się zająć jego miejsce.

Poprosiłem go, by własnoręcznie podpisał odwołanie poczynionych już zarządzeń w sprawie szkół ormiańskich. Sam odwiozłem go do biura Zarządu, w celu przeprowadzenia przez księgi odwołań, i dopiero mając w ręku wszystkie dokumenty, pożegnałem hr. Protasowa, by go więcej w życiu nie spotkać. Był to bądź co bądź ciekawy okaz „żubra“ w poczynającym się wówczas okresie zamierania imperjum rosyjskiego.

Pozostawało mi jeszcze uzyskanie audjencji pożegnalnej u cesarza. Właściwie nie było to rzeczą trudną, gdyż każdy z wielkorządców, gdy przyjeżdżał do Petersburga, nietylko miał prawo, lecz obowiązek meldowania się cesarzowi. Niezawsze korzystałem z tego prawa, ponieważ, gdy cesarz wzywał mię osobiście, meldowałem się po przyjeździe komendantowi głównej kwatery cesarskiej i najczęściej otrzymywałem audjencję niezwłocznie. Przy zapisywaniu się zaś na posłuchanie przez ministra dworu trzeba było czekać swej kolei czasami po kilka dni.

brani przez Katarzynę. Portret Protasowej. ślicznej roboty, widziałem na widocznem miejscu w galerji obrazów w pałacyku Protasowa.

Teraz postanowiłem skorzystać z przysługującego mi prawa, wiedząc, że w Carskiem Siole spotkam wielu dygnitarzy i będę mógł sprawdzić owo wrażenie „chłodu“, o którym wspominałem. Nadto nazwiska wszystkich przedstawiających się cesarzowi drukowały wszystkie poczytne pisma, prowincjonalni zaś politycy audjencje takie uważali za znak nieomylny, iż się nie jest w niełasce.

Przybywszy w naznaczonym dniu do willi „Aleksandra“, zastałem małą poczekalnię już szczelnie zapełnioną. We framudze okna stał komendant kwatery głównej, generał Diediulin, pilnie obserwując zebranych. Skorzystałem z tego, iż był sam, i sprowadziłem rozmowę na interesujący mię temat: o „chłodzie“. Pomyślał chwilę i kategorycznie zaprzeczył: „Nie! Dotychczas tego nie zauważyłem. Ale że zazdroszczą panu, i, sami nie nie umiając zrobić, plotkują na pańskie conto — to fakt! Kilka dni temu tu, w poczekalni, ktoś z przyjaciół hr. Protasowa, opowiadając o nieprzyjemnościach, jakie miał on z powodu Ormian astrachańskich, nazwał pana „ojczulkiem ormiańskim“ („armianskij batiuszka“), ale został tak skarcony przez obecnego tu księcia Mieszczerskiego, że języka w gębie zapomniał“.

W tej chwili wezwano mię do gabinetu cesarskiego, i rozmowa się przerwała. Cesarza zastałem w szczególnie pogodnym nastroju ducha. Podszedł na moje spotkanie, mówiąc: „Słyszałem, że od kilku dni bawisz w Petersburgu! Co słyhać w Astrachaniu?“

Odpowiedziałem, że, chwała Bogu, w całym kraju

panuje zupełny spokój, nigdzie niema żadnych wykroczeń, wszyscy pracują normalnie.

Cesarz wesoło się uśmiechnął:

— Generale — zawołał — jakim to czarodziejskim zaklęciem się posługujesz? Udziel go nam! Toć wszyscy przyjeżdżający tu gubernatorzy okropności opowiadają o postępach rewolucji. Tylko pan jeden zawsze i niezmiennie melduje, że w tym ogromnym i z natury rzeczy burzliwym kraju życie płynie spokojnie i normalnie! Nie ukrywaj pan! Bo i Mieszczerskij*), który wszystkich gryzie i ma tam w kraju astrachańskim swych bliskich, poprostu słów nie ma na pochwałę pana!

— Niestety — odpowiedziałem — żadnego zaklęcia nie znam, lecz ponieważ długie lata zkolei trzeciemu monarsze służyć i mam stałą bliską styczność z ludnością, wyrobiło się we mnie przekonanie i wiara głęboka w następujące prawdy: po pierwsze, Bóg stworzył ludzi, ludzie zaś dopiero ustanowili rozmaite prawa, by im łatwiej było żyć na świecie. Obowiązkiem więc rządzącego jest nie naginać ludzi do prawa często bar-

*) Książę Mieszczerskij, znany wydawca i redaktor nacjonalistycznej i bardzo wpływowej gazety p. n. „Grażdanin“, wychowywał się z Aleksandrem III i, znając Mikołaja II od dziecka, wyrobił sobie prawo zjawiania się od czasu do czasu u cesarza na szczerą rozmowę o sprawach państwowych. Osobiście Mieszczerskiego nie znałem. Wśród Kałmuków, którymi rządziłem, był książę Tundutow, który kiedyś kolegował z Mieszczerskim na wydziale prawnym uniwersytetu moskiewskiego. Jeżeli więc Mieszczerskij miał jakie wiadomości o mnie z Astrachania, to tylko od Tundutowa.

dzo surowego, lecz odwrotnie prawo tak przystosowywać do ludzi, by mogli oddychać i żyć; powtóre: rząd powinien podług mnie uprzedzać żądania i potrzeby narodu, a nie czynić ustępstwa dopiero wówczas, kiedy już z żądaniami sama ludność występuje.

Mówilem to powoli, jako rzeczy głęboko przemyślane, akcentując każdą zgłoskę. O ile jednak pierwszą część mego przemówienia cesarz przyjął życzliwie, o tyle druga go zdenerwowała. Mikołaj począł gryźć paznogcie, stracił humor, wreszcie rzekł: „W mojem położeniu niezawsze jest to możliwe“. Trzeba przytem nadmienić, że akurat w owym czasie wrzała walka między stronnictwami o konstytucję. Opracowywał ją zastępca ministra spraw wewnętrznych, Sergjusz Krzyżanowski.

Po powrocie do Astrachania zdawało mi się, że życie popłynie dawnym trybem; tymczasem okazało się, że kierować zdarzeniami z dnia na dzień było rzeczą trudną.

Zjawiali się prowokatorzy, którym tylko ślepy przypadek przeszkadzał w wywołaniu pogromów; odpowiedzialność za ich skutki spadłaby była, oczywiście, na mnie, choć robiłem wszystko, co było w mojej mocy, by ich uniknąć. Dla przykładu opowiem następujące zdarzenie. Zamożni Żydzi w Astrachaniu, jako element bardziej nerwowy, czy lepiej świadomy nastroju mętów społecznych w mieście, wynajęli duży parostatek, na który przed wieczorem przewozili swe rodziny oraz gotówkę, poczem statek podnosił kotwicę i płynął powoli wgórę rzeki.

W oznaczonem miejscu statek zawracał z drogi i rankiem następnego dnia dostawiał tych podróżników do miasta. Przeciw wycieczkom takim, oczywiście, nie bym nie miał, gdyby nie kursujące po mieście plotki: opowiadano, że Żydzi na statek wieczorami zwożą sumy miljonowe, co samo przez się mogło wywołać chęć ograbienia statku; nadto wyprawy te wprawiały w podniecenie nerwowe inne gminy miasta, które, podejrzewając, że bez uzasadnionych przyczyn Żydzi nie wywoziliby co noc swych pieniędzy, zasypywały mnie prośbami o podjęcie środków, któreby uchroniły mieszkańców od mających nastąpić grabieży i pogromów ze strony bezrobotnego tłumu.

Wobec tego zwołałem gminę żydowską i zabroniłem podobnych wycieczek, wzamian gwarantując jej ochronę od wszelkich prób pogromu, z czyjejkolwiek bądź strony. Powołałem się przytem na wojsko, które miałem w swem rozporządzeniu. Gmina, naturalnie, zgodziła się, wierząc mojemu słowu. W rzeczywistości zaś wojska tak jakbym nie miał wcale, gdyż w 300.000 bardzo handlowem mieście, dokąd w ciągu lata na statkach, tratwach i „sielanach“ nadpływały tłumy tych wszystkich, co nad całą Wołgą i Kamą nie znajdowali pracy, lub zbroiwszy coś, uciekali od kary, stał rozkwaterowany jeden jedyny bataljon rezerwy piechoty, przytem tak przesiąknięty agitacją rewolucyjną, iż wolałbym był go nie mieć w mieście. Porządek zaś utrzymywała zapasowa sotnia kozaków, składająca się ze starców przeszło 60-letnich oraz z dzieciaków 17—14 letnich, którzy często byli mniejsi, niż karabin, jaki

dźwigali. Rozmieściłem ich w Kremlu (środek miasta), połączyłem się z nimi oddzielnym telefonem i, ustanowiwszy stały dyżur (czwarta część sotni miała osiodłane konie, a kozacy byli w pełnym rynsztunku bojowym, gdy $\frac{3}{4}$ sotni odpoczywało), miałem zawsze pod ręką garść zupełnie oddanych sobie ludzi, o dobrobyt których, naturalnie, dbałem bardziej, niż o swój własny.

Jak jednak wtedy wszystko wisiało na włosku, dowodzi następujące zdarzenie. W jedno ze świąt, gdy po skończonem nabożeństwie tłumy wypełniły ulice, jakiś przechodzień trącił pijanego rezerwistę tak silnie, że ten przewrócił się do rynsztoku. Podniósłszy się, żołnierz dogonił swego krzywdziciela i, zobaczywszy, że to jest Żyd, rzucił się na niego z krzykiem: „Bracia, bijcie Żydów“. Przechodzień wydobył rewolwer, wystrzelił do tłumu, na szczęście, nikogo nie raniąc, potem rzucił rewolwer w tłum i, skorzystawszy z chwili, kiedy napastnicy, szukając rewolweru, odstępili od niego, skoczył do najbliższego sklepu i zatrzaskał drzwi za sobą. Traf zdarzył, że był to skład herbaty jednego z najbardziej szanowanych kupców, Kozłowa, którego znało całe miasto, gdyż był on również zastępcą burmistrza w Astrachaniu.

Tłum począł dobijać się do drzwi. Kozłow zdjął obraz Matki Boskiej, otworzył drzwi od sklepu i, błogosławiąc dobijających się, przysięgał, że winowajcę wyda w ręce policji, lecz nie odda go na samosąd tłumu. Żona Kozłowa zatelefonowała natychmiast do mnie, ja zaś w tej chwili specjalnym telefonem wezwałem dyżurną

część sotni, pozostałym zaś kozakom kazałem siodłać konie i w pogotowiu czekać rozkazu.

Tymczasem ci, co się dobijali do sklepu, zobaczywszy Kozłowa, zatrzymali się, kilku zaś z tłumu ulicznego, wołając: „Bij Żydów, dalejże (ojda) na Katolicką ulicę“ *), pobiegło w stronę tej ulicy, pociągając za sobą po drodze wszystkie męty. Tymczasem kozacy, wpadłszy przed sklep Kozłowa, rozpędzili resztkę ciekawych i pędem pomknęli na ulicę Katolicką, gdzie właśnie zwarty tłum hołoty począł rozbijać okna i dobijać się do drzwi bogatych domów żydowskich. Nastąpiło starcie, i w parę chwil nietylko na pustej ulicy Katolickiej, lecz i na sąsiednich uwijały się patrole, wypędzając nahajkami z rozmaitych zakamarków hołotę, która się tam pochowala **).

*) Dziwnym zbiegiem okoliczności synagoga żydowska i zarząd gminy mieścił się na ul. Katolickiej; tam również mieszkało wielu zamożnych Żydów.

***) O wypadkach tych w parę dni potem opowiadała mi p. d-rzowa Diec, gdy przyszła z dziećmi podziękować za wybawienie od kalectwa, a może i od śmierci. Wedle jej słów, w mieście panował zupełny spokój, i nic nie zapowiadało możliwości jakichś rozruchów; korzystając przeto z pięknej pogody, poszła z dziećmi na przechadzkę. W mieszkaniu jej drzwi wchodowe od ulicy zamykały się bez klamki, automatycznie, tak, że można je było otworzyć tylko z zewnątrz.

W krytycznym dniu pani Diec, wychodząc na ulicę jak zwykle, zatrzasnęła drzwi za sobą. Nagle usłyszała krzyki. „Bij Żydów“, brzęk rozbijanego szkła i zobaczyła tłum ludzi, pędzący w jej stronę. Instynktownie zawróciła do mieszkania, lecz drzwi były zamknięte; zadzwoniła, lecz nikt nie przy-

I znowu udało się uratować spokój jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, kategorycznej instrukcji piśmiennej, zdejmującej z dowódcy plutonu wszelką odpowiedzialność za zastosowanie w razie potrzeby najsurowszych środków do użycia broni włącznie, no, i dzięki wzorowej sprawności sotni kozackiej.

Podobnych zdarzeń było wiele i zawsze zachodziły one tam, gdzie się ich najmniej spodziewano. Żył się ciągle, jak na ostrzu noża, w oczekiwaniu czegoś, co mogło zasadniczo zmienić stan rzeczy. Wiedziałem, że mnie śledzą partje wywrotowe, że u siebie w domu, czy też w swej kancelarji mam kogoś, co duszą całą oddany jest rewolucjonistom i donosi im o każdym kroku, o każdym zarządzeniu. Lecz nie wiedziałem, że równocześnie

największą zaciekłością śledzi mnie naczelnik gubernjalnego zarządu żandarmskiego, pułkownik von Szejman, który, rozporządzając kredytami na utrzymanie 5 szpiegów, dwóch z nich, najzdolniejszych, „przydzielili“ do

chodził, a niebezpieczeństwo roztratowania przez biegnący tłum zwiększało się z każdą sekundą. Widząc nieuniknioną katastrofę, doktorowa umieściła dzieci przed drzwiami mieszkania i zasłoniła je sobą. Raptem z drugiej strony wylotu ulicy Katolickiej pędem wpadł oddział kozaków, krzycząc „bij rabusiów“ („huliganów“).

Momentalnie nastąpiło starcie prawie przed jej domem. Rabusie rzucili się do ucieczki, smagani nahażami przez kozaków, i w parę minut potem na jezdni ulicy pozostały tylko dwa ciała opryszków, stratowanych przez kozaków, które następnie zabrała policja, i powszedy zapanował spokój. Pani Diec zemdliała i przysła do siebie dopiero w swem mieszkaniu, gdzie nic nie wiedziano o całym zajściu.

mojej osoby; nie podejrzewałem, że jeden z delegatów*) partji socjalnych rewolucjonistów, których przyprowadził był do mnie dr. Konstancow, był głównym konfidentem Szejmana. Ów delegat w odpowiednim oświeceniu donosił każde moje słowo, wypowiedziane na naradach. Szejman zaś w raportach urzędowych przesyłał te wiadomości głównemu szefowi żandarmów w Rosji, generałowi von Wahlowi.

O tem wszyskciem dowiedziałem się dopiero w kilka miesięcy potem, kiedy plotki rozeszły się nietylko po Petersburgu, lecz stały się tajemnicą poliszynela nawet w Astrachaniu. Wszystko to jest tak ciekawe dla charakterystyki ówczesnych stosunków, panujących w rządzie rosyjskim, gdzie nikt nikomu nie ufał, że nie omieszkałam opowiedzieć o tem na innem miejscu, teraz zaś wracam do przerwane go wątku.

Miałem w ręku niezbite dowody, że nietylko ja, w Astrachaniu, byłem przedmiotem ścisłego dozoru, lecz i w Petersburgu najwyżsi dygnitarze nie umieli, czy nie mogli się uchronić od szpiegów domowych, którzy zawiadamiali swe organizacje o każdym ich kroku, sami pozostając nieuchwytni, często dlatego, że najbliżsi członkowie tej samej rodziny należeli do zasadniczo różnych partyj politycznych. Tak np. generał Trepow, były generał gubernator Petersburga i faworyt cesarza**), który umiał przez jakiś czas całą władzę w Ro-

*) Właśnie ten sam, co ubierał się w tak jaskrawo czerwoną koszulę, o czem mówiłem na początku tego rozdziału.

**) Umarł nagle na aneuryzm serca.

sji utrzymać w swem ręku, opowiadał mi, że na czele spisku na jego życie stała własna jego siostrzenica, Leontjewa, mieszkająca u niego i przez niego wychowana. Sprawa ta wyszła najaw w następujący sposób: Trepow mieszkał na ulicy Morskiej, w żółtym domu, naprzeciwko kościoła protestanckiego. Dom ten, naturalnie, był pilnie przez policję strzeżony. Pewnego razu policjant zauważył, że od kilku dni na ulicy, o kilkadziesiąt kroków od domu Trepowa, zatrzymuje się dorożka, zaprzężona w bardzo dobrego konia, którym powoził rudy chłop brodaty, ubrany w zbyt wytarty kubrak w stosunku do wartości konia. Podszedł więc do dorożkarza i, pogadawszy z nim, kazał mu odjechać. Woźnica oświadczył, że nie może odjechać, gdyż jest zamówiony przez panią, mieszkającą w tym oto pałacu; dał policjantowi 30 kop. i prosił, aby go zostawił w spokoju. Rzeczywiście, wkrótce z domu ministra wyszła panna Leontjewa, którą policjant znał, przeto zasalutował i podsadził ją do dorożki, jaką szybko odjechała. Policjant wziął łapówkę, lecz obserwacje swe zakomunikował ochronie cywilnej, która urządziła zasadzkę i schwytała dorożkarza w parę chwil potem, gdy przywiózł on zpowrotem pannę Leontjew. Śledztwo od razu wyjaśniło, że policja wpadła na trop jakiegoś spisku, gdyż ów rzekomy dorożkarz nie był dorożkarzem, nie miał nic wspólnego z tym zawodem. Lecz najszczególowsza rewizja osobista przyniosła, jako wynik, tylko kawałek papieru, którego zwykle lud prosty używa do zawinięcia szczypty tytoniu. Papier był umieszczony pod pod-

szewką czapki i zawierał parę jakichś znaków niezrozumiałych.

Ponieważ dorożkarz woził pannę Leontjew, przeto papier ów pokazano Trepowowi, który natychmiast poznał w nim swój własny papier, przywieziony z Paryża, na jakim zwykle pisał listy; świeże pismo dowodziło, że hieroglify skreślono przed paru godzinami, a śledztwo domowe wykazało, że nikt, oprócz panny Leontjew, nie wchodził do gabinetu, gdzie był ten papier. Aresztowano Leontjewą, do której Trepow miał takie zaufanie, że, cierpiąc na atretyzm w palcach i niezawsze mogąc pisać, najpoufniejsze rozporządzenia jej dyktował i pismo stwierdzał tylko swoją pieczętą. Leontjewa naturalnie wyparła się wszystkiego, i rewizja nie dała żadnych wyników. Ponieważ jednak Leontjewa była młodziutką pannienką i przytem histerycznie bała się myszy, więc odwieziono ją do twierdzy Piotro-Pawłowskiej, której kazamaty sływały z ogromnych szczurów *). Szum płynącej za mokrą ścianą Newy oraz ogromne szczury zrobiły takie wrażenie na młodej Leontjewą, że wydała swych kolegów partyjnych, których zapomocą owych znaków na papierku zawiadamała o mających nastąpić wyjazdach Trepowa. Przyjaciół politycznych wyłowiono i zamknięto pod klucz jeszcze w ciągu tej samej nocy, Leontjewą zaś Trepow kazał wywieźć do Szwajcaryi

*) Wedle podania, szczury owe zjadły księżniczkę Tarakanową, jedyną prawowitą pretendentkę do tronu rosyjskiego, którą Orłow podstępem zwabił do Neapolu na swój statek i przewiózł do Petersburga za panowania Katarzyny II.

i zapewnił jej skromny byt, nie chcąc swej krewnej ciągać po sądach *). W ten sposób rewolucyjne partje ówczesne umiały się wdzierać do rodzin ludzi wpływowych i uwikłać niedoświadczonych ich członków.

Za przykład charakterystyczny, jak szeroko zarzucała była sieć szpiegowska dokoła możnych rodzin w Petersburgu, może służyć następujący epizod. Powyżej nadmieniałem, że po odwołaniu księcia Golicyna (Samowara-Paszy) z Kaukazu miano ustanowić tam namiestnictwo, i namiestnikiem miał zostać hr. Woroncowa-Daszkow. Sam hrabia nominacji tej nie chciał, lecz pragnęła jej ambitna jego żona. Chciała tego również żona cesarza Mikołaja II, Aleksandra Teodorówna, która obawiała się wpływu hr. Woroncowa na cesarza i hrabiny Woroncovej na cesarzową matkę. Ta bowiem, chociaż mieszkała w odosobnieniu w Gatchynie, mając oparcie i gorliwą pomoc w rodzinie Woronców, mieszała się do polityki i, pomimo zabiegów cesarzowej Aleksandry, zmierzających do przeciwdziałania temu, wywierała ogromny wpływ na syna. Trzeba było usunąć Woronców z Petersburga.

*) Kiedyś, jeszcze przed wojną światową, widziałem ją w Interlaken, gdzie wiodła smutne życie, gdyż wszyscy, prawi i lewi, unikali jej, jako zdrajczyni. Potem, chcąc się zrehabilitować wobec partji, w czasie obiadu w hotelu Victoria w Interlaken, zastrzeliła Bogu ducha winnego mieszczucha Müllera, wzięwszy go za rosyjskiego ministra spraw wewnętrznych, Piotra Durnowo. Sąd szwajcarski skazał ją na dożywotnie więzienie. Parę zaś lat temu wyczytałem w pismach, że Leontjewa umarła.

Ciągle tarcia między cesarzową a cesarzową-matką obrzydziły hrabiemu jego stanowisko, jako ministra dworu: zrzekł go się, i miejsce hrabiego zajął faworyt cesarzowej Aleksandry, zakamieniały Niemiec, baron Fryderyks, któremu wkrótce nadano tytuł hrabiowski*), Hr. Woroncow zaś usunął się od dworu i w największej tajemnicy zajął się wyborem współpracowników, z którymi miał zamiar pracować na Kaukazie.

Właśnie w owym czasie, siedząc w Astrachaniu, otrzymałem od niego własnoręczny list, w którym, wyrażając się nadzwyczaj pochlebnie o mojej działalności w Astrachaniu, proponuje mi, bym został jego zastępcą, jako cesarskiego namiestnika na Kaukazie. Poza tem hrabia zaznaczył, iż pojmuje on aż nadto dobrze, że, pracując samodzielnie z takim powodzeniem w Astrachaniu, pracuję dla siebie, gdy tymczasem owoce mojej działalności na Kaukazie będą szły na jego rachunek: wobec tego gwarantuje mi, że równocześnie z nominacją na zastępcę namiestnika otrzymam awans na generała dywizji i będę mianowany generałem-adjutantem świty cesarskiej.

Propozycja była pod każdym względem olśniewająca. Byłem młodym generałem brygady i, chociaż piastowałem godność hetmana, jednak w warunkach zwykłych musiałbym dobrych 6—8 lat czekać na rangę generała dywizji. Na mianowanie mię generałem-adjutantem

*) Niedawno czytałem w pismach, że bolszewicy skorzystali z jakiegoś procesu i, między innymi, rozstrzelali Fryderyksa, 90-letniego starca.

nie miałem absolutnie żadnych danych, ale nominacja taka wyprowadzała mię odrazu na drogę otwartą i pozwalała ubiegać się o wszelkie stanowiska lub nawet o dymisję z 700 rub. miesięcznej pensji emerytalnej. Z drugiej strony jednak bałem się intryg i absolutnego charakteru hrabiny, tem bardziej że Woronców-Daszkow był już zmęczony życiem, znękany podagrą i często ustępował dla „świętego spokoju“.

Gdy tak rozmyślałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć hrabiemu, który prosił o pośpiech i dyskrecję, przyniesiono mi ostatnią pocztę. Jeden z listów zwrócił moją uwagę, gdyż nosił osobliwą pieczęć z trupią głową i emblematami śmierci. List ten pochodził od zarządu zrzeszeń rewolucyjnych w Rosji (Sowiet-Sowietów), który, dowiedziawszy się, iż hr. Woronców-Daszkow proponuje mi miejsce swego zastępcy, uprzedzał, bym pod żadnym pozorem tego stanowiska nie przyjmował, na Kaukaz bowiem dopuszczony nie będę. Przytem zarząd przypominał, że podczas pobytu mego w Astrachaniu sąsiedzi moi, gubernatorowie: Penzy, Tambowa, Samary i Baku, zostali zabici, gubernator zaś saratowski ciężko raniony: oczywiście więc nietrudnoby było i mnie sprzątnąć. Jeżeli zaś dotychczas tego nie zrobiono, to jedynie przez wzgląd, że na moje miejsce może przyjść ktoś gorszy. Na stanowisko zaś zastępcy namiestnika Kaukazu zarząd przeznaczył już kogoś innego, i osoba ta musi być mianowana.

Oczywiście, poczułem się do obowiązku pojechania niezwłocznie do Petersburga i pokazania tego listu hr.

Woroncowowi. Lecz zdumienie moje nie miało granic, kiedy, przeczytawszy list, hrabia rzekł:

— Ach, tak! oni chcą na tem miejscu widzieć urzędnika cywilnego, nie wojskowego, a tem bardziej nie kozaka.

O kandydaturze mojej więcej nie mówiliśmy. Ale jakim sposobem jego poufny list do mnie tego samego dnia był znany zarządowi zrzeszeń rewolucyjnych, hrabia zupełnie nie mógł sobie wytłumaczyć. Wynika z tego, że szpiegostwo w jego domu prowadzone było z talentem.

Z całego okresu rewolucyjnego najcięższe były dni: 19, 20, 21 i 22 października 1905 roku (star. stylu), t. j. dzień ogłoszenia konstytucji i następujące po nim. Osobiście nie otrzymałem absolutnie żadnych wskazówek i nie wiedziałem, co robić, jak reagować na manifestacje ludności. Jeżeli bowiem konstytucja była istotnie zatwierdzona, ja pierwszy powinienem był o tem wiedzieć i uroczystie ją ogłosić; jeżeli zaś nie, to obowiązkiem moim było nie dopuścić do ogłaszania jej przez przygodnych mówców na rogach ulic i placów. Tymczasem na wszystkie terminowe telegramy w ciągu 5 dni nie otrzymałem odpowiedzi, tekst zaś konstytucji poznałem z depeszy agencji, tak jak i redakcje wszystkich gazet.

W Astrachaniu ten dzień uroczysty miał następujący przebieg:

Okolo 7 wieczorem miałem posiedzenie Towarzystwa opieki nad ślepych. Do sali posiedzeń wszedł policmajster i znacząco na mnie popatrzył. Nie przerywając po-

siedzenia, podszedłem do framugi okna, gdzie policmajster zameldował mi, że socjalni rewolucjoniści otrzymali telegram z tekstem konstytucji, zbierają się na skwerze naprzeciwko domu hetmańskiego, potem ma się odbyć pochód po mieście i po ogrodach publicznych, na placach zaś będzie odczytywany tekst otrzymanej konstytucji. Nadto rewolucjoniści, wiedząc od swych telegrafistów, że ja nie otrzymałem żadnej depeszy w tej sprawie, proszą, bym wyszedł na balkon, a oni przeczytają mi tekst telegramu.

Ponieważ Astrachań, z wyjątkiem 2—3 ulic około mego domu, był wówczas bardzo źle oświetlony, i trudno było liczyć, by w parkach w jesienny wieczór zebrała się większa ilość publiczności, kazałem więc nie stawiać żadnych przeszkód pochodowi, natomiast uprzedzić tylko urządzających zebranie, by pilnowali porządku, gdyż będę patrzył na pochód z okien mieszkania. Rzeczywiście, skoro tylko pochód ruszył, otworzyłem okna sali, zalanej światłem elektrycznym, i stanąłem we framudze.

W innych oknach umieścili się członkowie komitetu pomocy ślepym, przeważnie ze sfery miejscowego kupiectwa tak, że okna domu hetmańskiego, wychodzące na skwer, były stosunkowo gęsto zatłoczone. Na skwerze zebrało się paręset osób, a między nimi niemało sztabaków, przeważnie Żydów, w mundurkach gimnazjum realnego. Na czele pochodu czterech Rosjan niosło na ramionach dentystę Gołandskiego, Żyda, z dużym papierem w rękę. Zamykali pochód uczniaki.

Zrównawszy się z oknem, w którym stałem, pochód się zatrzymał, i ludzie, niosący Gołandskiego (między ni-

mi poznałem jaskrawego delegata, który był konfidentem miejscowego żandarma), podnieśli go wysoko ponad głowy tłumu, a Gollandskij powoli, trzęsąc się i łykając słowa, odczytał tekst otrzymanego telegramu. Czy przeczytany mi manifest odpowiadał rzeczywistości, nie wiem. Naprzód bowiem źle słyszałem Gollandskiego wśród gwaru tłumu, który nie zachował skupienia w tej chwili historycznej, gdy przedstawiciele narodu, publicznie, z ulicy zawiadamiali głównego przedstawiciela władzy miejscowej o mającej nastąpić erze oczekiwanej swobody; powtóre, słuchając, mimowoli wpatrywałem się w tłum uliczny, szukając oczyma inteligencji, któraby mogła i umiała kierować tłumem i ponosić odpowiedzialność za ewentualne jego wybryki. Lecz takich ludzi nie dostrzegłem: poza setką robotników z zakładów Nobla, młodzieżą żydowską oraz kilkunastoma sztubakami, uzbrojonymi w brauningi i stanowiącymi bojówkę partji, był to tłum szary, nieodpowiedzialny, jednakowo zdolny do czynów najszlachetniejszych, jak i do pogromów.

Patrząc, zauważyłem, że jeden z uczniów drżącemi rękoma majstruje coś koło brauninga, i ledwie zdążyłem pomyśleć: „Smarkacz! Jeszcze gotów wystrzelić, zrani kogo“, gdy rozległ się wystrzał, i sypnęły się trzaski z drewnianych żaluzyj, jakimi zaopatrzone są okna większości domów w Astrachaniu.

Okoliczność, iż przewidziałem możliwość wystrzału, pozwoliła mi opanować mimowolną nerwowość, i nie tylko nie cofnąłem się z framugi po wystrzale, lecz wychyliłem się bardziej jeszcze na ulicę, by zobaczyć szko-

dy, jakie uczynił strzał, przytem pokręciłem głową na ten naganny wypadek.

Organizatorzy pochodu rzucili się ku końcowym grupom i poczęli odbierać uczniakom rewolwery, do mnie zaś zgłosiła się deputacja z przeproszeniem i zapewnieniem, że strzał był przypadkowy i nie miał charakteru jakiegokolwiek osobistej demonstracji, skierowanej przeciwko mnie.

Odpowiedziałem, że widziałem dobrze, iż strzał był przypadkowy, i nie mam pretensji, lecz właśnie dlatego zwracam uwagę na konieczność odebrania broni uczniakom, którzy nie umieją się z nią obchodzić.

Pochód ruszył dalej w stronę więzienia, obsadzonego już przez mojego pomocnika, pułkownika Birjukowa, z oddziałem kozaków. Więźniowie, zobaczywszy pochód, wszczęli krzyki i poczęli dobijać się do drzwi, sądząc, że pochód ich uwolni. Lecz pułkownik Birjukow, którego cały Astrachań znał, gdyż tam się on urodził, wychował i całe życie spędził, wyjechał naprzeciw pochodu i oświadczył, że w więzieniu dotychczas ani jednego politycznego więźnia nie było i obecnie niema. Przystępców zaś kryminalnych nie pozwoli oswobodzić.

Dentysta Gollandskij niezwłocznie potwierdził słowa pułkownika Birjukowa i, oświadczywszy, że dziś jeszcze nie czas jest zajmować się więźniami kryminalnymi, zaintonował międzynarodówkę i poprowadził pochód z przed astrachańskiej „Bastylji“ ku śródmieściu, do Resursy Obywatelskiej, którą zarekwirowano na wiec.

W ten sposób dzień ów zakończył się bez zaburzeń, wieczór zaś obfitował nawet w zdarzenia humorystycz-

ne. Tak w zarekwirowanej na wiec resursie zebrało się już było, jak zwykle, kilkunastu obywateli miasta na partyjkę. Był między nimi i zamożny kupiec, Żyżyn, znany dobrze i w Warszawie, gdyż miał tu przed wojną dwa sklepy z rybami, kawiozem i rozmaitemi innymi delikatesami. Żyżyn, jak każdy zamożny obywatel, nie miał w rzeczywistości nic wspólnego z partją dentysty Gołłandskiego i zapewne nie dałby był grosza na cele partyjne. Lecz, że mówił potoczyscie, przeto lubił występować z liberalnymi mowami, które go nic nie kosztowały. To też znalazłszy się wśród tłumu wiecującego, skorzystał ze sposobności, wgramolił się na stół i palnął bardzo ostrą mowę przeciw „burzujom“, wyzyskującym robotników, chociaż subjecki jego pracowali po 14 godzin dziennie.

Tymczasem przed resursą poczęli się zbierać przechodnie, zainteresowani bojówką, składającą się ze sztabaków, przeważnie Żydów, którzy, potrząsając brauningami, nie wpuszczali do wnętrza nieznanomych.

Ciekawsi przedostali się na podwórze, skąd zobaczywszy przez okno Żyżyna, przemawiającego ze stołu, dali znać na ulicę, że Żyżyn zmawia się z Żydami na szkodę pracujących. Wnet z tłumu poczęto krzyczeć, żeby Żydzi wydali Żyżyna, bo inaczej resursę czeka pogrom. Żyżyn zląkł się i skoczył do portjera, by go wypuścił tylną bramą, wychodzącą na odludną uliczkę; że zaś brama była zamknięta, gdyż nikt tamtędy nie chodził, więc biedak musiał przesunąć się pod wrotami. Udało mu się to, lecz z wielkim trudem, gdyż miał okazały brzuch, który nie chciał się zmieścić pod wrota.

Wyciągnęła go służba resursy, lecz bardzo pogniecionego i w poszarpanem ubraniu. W takim oplakanyim stanie uciekł do mego domu, prosząc służbę o schronienie, gdyż zdawało mu się, iż motłoch urządzi pogrom jego mieszkania i zamorduje go. Tymczasem wszystko ograniczyło się na tem, że ktoś z tłumu, nie mogąc doczekać się wyjścia Żyżyna, rzucił kamieniem w okno resursy. Brzęk rozbitego szkła zaniepokoił wiecujących. Poczęli telefonować do mnie, że „czarna secina“ otoczyła resursę, i poczyna się pogrom, więc proszą, bym ich ochronił przed tłumem. Obiecałem, pod warunkiem, że natychmiast się rozejdą. I rzeczywiście, poleciłem policji odsunąć gapiącą się publiczność od resursy, i wiecownicy rozeszli się do domów bez przeszkody.*

Nazajutrz przed domem moim zjawił się naprzód pochód „październikowców“ z obrazami i sztandarami o barwach narodowych, śpiewając: „Boże! zbaw ludzi swoich“; na czele pochodu kroczył niefortunny mówca z resursy, Żyżyn, niosąc ogromny portret cesarski. Był tak zmieniony, że go nie poznałem, i wtedy dopiero dowiedziałem się o wieczornych jego przygodach: nocował on u stangreta w stajni, przebrany w kozuch jego pomocnika, przyczem pod wpływem depresji nerwowej kazał sobie dla niepoznaki obciąć wypielegnowaną brodę, którą się zawsze chlubił*).

*) O ucieczce Żyżyna popod wrotami resursy i o dalszych jego przygodach opowiedziałem potem kiedyś cesarzowi, który tak się ubawił tem zdarzeniem, że zapamiętał nazwisko Żyżyna i przy sposobności, śmiejąc się, pytał o jego zdrowie.

Następne trzy dni przebywałem ciągle na ulicy, wśród tłumu. W galowym mundurze, obwieszonym wszystkimi orderami, których miałem mnóstwo, objeżdżałem miasto i, gdzie tylko zobaczyłem grupę wiecujących, wchodziłem w sam jej środek i starałem się w dosadnych, lecz przystępnych dla tłumu słowach, wyjaśniać podstawy nowego porządku rzeczy, oraz prawa i obowiązki obywateli. Zjawienie się moje bez świty w tłumie ulicznym wywoływało zawsze pewien zapal, lecz jednocześnie powodowało takie zbiegowisko, iż często wydostać się z tłumu było mi więcej, niż trudno. Otóż wtedy już z wdzięcznością stwierdziłem, że istniała w mieście jakaś organizacja, która dbała o moje bezpieczeństwo i starała się odgrodzić mnie od nieobliczalnego nigdy motłochu. Potem dowiedziałem się, że było to zrzeszenie pracowników handlowych, które liczyło około 4.000 członków *).

Dopiero 24 października ludność powróciła do pracy, ulice opustoszały, a ja wreszcie telegramem agencji, potwierdzonym następnie przez depezę ministra, dostałem

*) Przyjechawszy do Astrachania, zastałem tę warstwę ludzi, pracujących w okropnych warunkach: zajęci byli do 14 godzin dziennie. Wywierając nacisk na kupiectwo, zdołałem doprowadzić do pewnej ugody, a mianowicie do 10 godzinnej pracy z 2-godzinną przerwą obiadową. W tym duchu wydałem rozporządzenie, obowiązujące pod rygorem grzywny lub aresztu. Było to pierwsze rozporządzenie w tym rodzaju w Rosji. Dlatego zrzeszenie pracowników handlowych mianowało mnie swym członkiem honorowym i dlatego pewnie uważało za obowiązek czuwać nade mną przy zetknięciu się mojem z tłumem.

urzędowy tekst reskryptu o konstytucji i mogłem uroczyście ogłosić go po nabożeństwie, odprawionem przez arcybiskupa na placu przed katedrą *) w astrachańskim Kremlu.

Po tym akcie nastąpiło pewne odprężenie. Ludność poczęła krzątać się dokoła wyborów do pierwszej dumy. Partje lewicowe, które przez lata całe się ukrywały, wystąpiły jawnie, zupełnie zorganizowane, i prowadziły agitację energicznie i umiejętnie; partje zaś prawicowe, przyzwyczajone do opieki policji, zorganizować się nie umiały i skarżyły się na policję, że ta niedostatecznie broni ich praw i interesów. Zresztą wszystkie stany wyrażały mi swą sympatję, przypisując spokój, w jakim odbyło się w Astrachaniu ogłoszenie konstytucji (w całej Rosji nigdzie nie obyło się bez pogromów żydowskich lub zabójstw politycznych) tylko temu, że trzy dni, nie dbając ani o zachowanie autorytetu, ani o własne bezpieczeństwo, spędziłem całkowicie wśród ulicznego tłumu często pijanego, lecz zawsze dla mnie grzecznego. Przez te trzy dni nie spotkała mię żadna obelga, żadna zbytńia poufałość. Coprawda, we wszelkich nieoczekiwanych, najkomicniejszych okolicznościach starałem się zachować spokój i zimną krew. Tak np. z tłumu, któremu objaśniam znaczenie konstytucji i prawa obywateli, wysuwa się nagle jakiś pijanica, długo ogląda mię

*) Przy katedrze mieścił się skarbiec, w którym było dużo szczerozłotych naczyń kościelnych i wota bogaczy astrachańskich. Z wieży katedry był zrzucony na plac Kremlu arcybiskup Józef przez Stieńkę Razina za to, że nie chciał w nim uznać Piotra III, męża Katarzyny II.

ze wszystkich stron, potem, widząc na mnie dużo gwiazd i orderów, woła:

— Wasza ekscelencjo, pozwólcie mi przeżegnać się (Dozwolcie perekrestit'sia).

— Żegnaj się — odpowiadam, nie przestając rozmawiać z innymi.

Pijak odsuwa się o parę kroków i żegna się, patrząc na moje ordery i bijąc pokłony do samej ziemi. Po chwili znowu prośba:

— Ekscelencjo! Pozwólcie pocałować ordery (Dozwolcie priłożyt'sia).

— Całuj — odpowiadam.

I pijaczyna zbliża się ostrożnie na palcach, żegna się, z namaszczeniem całuje ordery i odchodzi, żegnany okrzykami z tłumu: „Wynoś się! POCO tu włazisz i przeszkadzasz?! Tutaj mówią o ważnych rzeczach, a ty...“ i t. d.

Wdzięczność swą społeczeństwo astrachańskie wyrażało mi w rozmaity sposób. Pierwszy odezwał się magistrat, który postanowił zebrać się w ratuszu i potem in gremio, z burmistrzem na czele, udać się w pochodzie uroczystym po ulicach miasta do mego domu, by złożyć mi podziękowanie za umiejętny zarząd krajem. Gminy ormiańska i tatarska złożyły mi przez swe deputacje dziękczynne adresy, pokryte tysiącami podpisów. Gmina żydowska ofiarowała mi oprawny w srebro Pięcioksiąg Mojżesza z dziękczynnym adresem *). Przedsta-

*) Księgę tę miałem przed wojną w Warszawie. Widziało ją wiele osób, w tej liczbie p. Wilder, właściciel domu Nr. 12,

wiciele wolnych zawodów w Astrachaniu, jak adwokaci, lekarze, inżynierowie i t. d. przysłali delegację dziękczynną, prosząc, bym wziął udział w bankiecie, wydanym przez nich na moją cześć. Podziękowałem serdecznie, lecz udziału w bankiecie odmówiłem, uważając za rzecz niestosowną ucztować, gdy Rosja obficie broczyła krwią w wojnie z Japonją. Deputacja podzieliła mój pogląd i zebrane na ucztę pieniądze wniosła do kasy Czerwonego Krzyża, który użył ich na zapomogi dla rannych.

O tych objawach sympatji donosiłem za każdym razem swoim władzom w Petersburgu, które, jak się potem pokazało, patrzyły na te manifestacje może z odmiennego niż ja punktu widzenia, w obawie, czy popularności nie zdobywam kosztem autorytetu władzy. Chociaż więc zapraszano mię do Petersburga na wszelkie uroczystości i sadzano na honorowych miejscach (np. w czasie otwarcia I Dumy, kiedy cesarz w koronie i w płaszczu gronostajowym, siedząc na tronie, przeczytał re-skrypt swój o otwarciu Dumy, z wyraźnego rozkazu Mikołaja II kazano mi zająć trzecie miejsce z lewej strony tronu), zdarzały się i innego rodzaju fakty, na które nie zwracałem uwagi.

Mówiłem już przedtem, że dom hetmański stał na

przy ul. Bagateli, gdzie mieszkałem przed wojną, oraz jubiler p. Jakób Sztern, Chmielna 17. Pamiątka ta razem z innymi dokumentami, stanowiącemi dorobek całego mego życia, zginęła mi u konsula polskiego w Noworosyjsku, p. Pstrokońskiego, któremu oddałem pakę na przechowanie, wyjeżdżając do Władywostoku.

skrzyżowaniu dwóch głównych ulic Astrachania. Otóż na przeciwległym rogu wznosił się hotel, z okien którego widać było główne wejście do mnie, oraz bramę, prowadzącą na moje podwórze. Pewnego razu policmajster zameldował mi, że od 10 dni w hotelu tym zamieszkał niejaki Sznajder, który podaje się za Niemca z Sarepty (kolonji niemieckiej pod Carycynem) i zapewnia, że przyjechał do Astrachania w celu zakupu kiszek baranich; towar ten miał wysyłać do Berlina do przeróbki na struny. W rzeczywistości jednak zaprzyjaźnił się z markierem od bilardów, całe dnie pije z nim i trzyma go w swoim pokoju, sam zaś na chwilę nie odchodzi od okna, notując, według wskazówek markiera, kto do mnie przychodzi albo przyjeżdża. Markier z początku był zachwycony gościem, który od samego rana kazał przynosić do numeru wódkę i zimne przekąski; ugaszczał go, potem nawet płacił mu jeszcze rubla dziennie. Obecnie jednak, widząc, że gość handlem się nie interesuje, lecz zapisuje tylko ludzi bywających u mnie, zląkł się, by nie zamieszać się w jakąś niebezpieczną sprawę, i opowiedział o wszystkim właścicielowi hotelu, ten zaś policmajstrowi.

Nie przypuszczając ani na chwilę, by ów Sznajder mógł być przysłany z Petersburga w specjalnym celu, poleciłem policmajstrowi wezwać świadków i zrobić u niego rewizję w mieszkaniu, jeżeli zaś okaże się to potrzebne, to i osobistą.

W godzinę potem wrócił policmajster, zachwycony wynikami spełnionego przez się polecenia. Sznajder, zobaczywszy u siebie policmajstra i świadków, tak się

zmieszał, że odrazu się przyznał, iż jest oficerem żandarmerji i służy przy sztabie żandarmów w Petersburgu; nie nazywa się Sznajder, lecz jakoś inaczej (nazwiska zapomniałem w tej chwili), fałszywy paszport otrzymał w sztabie i przyjechał do Astrachania ze specjalną misją, o czem opowie mnie osobiście.

Policmajster znalazł się sprytnie: odpowiedział, że widzieć się ze mną obecnie niepodobna, ponieważ zaś p. Sznajder żadnych innych dowodów na swą obronę nie może przedstawić, więc będzie musiał go aresztować i zawiadomić o tem prokuratora, tak, że cała historia jutro już będzie w gazetach. Jedyne dla niego wyjściem jest napisanie do mnie listu ze szczegółowem i otwartem wyznaniem całej prawdy. Mniemany Sznajder tak czuł się zgnębiony obrotem sprawy, że natychmiast napisał żądany list, w którym otwarciem się przyznał, że delegowano go w celu sprawdzenia denuncjacji, jakie na mnie posyłał naczelnik żandarmerji, pułkownik von Szejman.

Byłem oburzony, że mój podwładny, którego obowiązkiem służbowym było bronić mię od zamachów ze strony partyj wywrotowych, śledził mnie, a nie rewolucjonistów, i że jego denuncjacje nietylko znajdowały chętny posłuch w Petersburgu, lecz nawet wywoływały delegowanie specjalnych agentów (na szczęście, bardzo niewykwalifikowanych) do sprawdzenia słuszności ich na miejscu. Postanowiłem skorzystać z pierwszej podróży swej do Petersburga i kwestję zaufania do siebie postawić na ostrzu noża. Mogłem już sobie na to pozwolić, bo 35 lat służby (licząc w czasie wojny jeden

dzień za dwa) miałem już za sobą, że zaś zajmowałem stanowisko III kategorii w hierarchji urzędowej, więc i emerytury powinienem był pobierać około 6.000 rb. rocznie, nadto dodatki za podróże i za prace naukowe.

Zatrzymawszy list mniemanego Sznajdra, jako dowód niewłaściwego stosunku do mnie głównego zarządu żandarmerji, poleciłem powiedzieć mu, by się natychmiast stąd wynosił i bronił się, jak będzie umiał, gdyż oszczędzać go nie mogę i nie będę. Rzeczywiście, w parę godzin potem Sznajdra już nie było w Astrachaniu.

Na stosunek władz petersburskich do mnie ujemny wpływ miały następujące okoliczności:

Wszelkie sprawy o przestępstwa polityczne, a szczególnie o zabójstwa lub zamachy, władze miejscowe kierowały do sądów doraźnych, te zaś wyroki swe przedstawiały do zatwierdzenia głównemu dowódcy kazańskiego okręgu wojskowego, którym był generał broni Karaś, staruszek, stale mieszkający w Kazaniu i święcie przekonany, że skoro instytucja sądów doraźnych istnieje, przeto wyroki jej, chociaż czasami bardzo surowe, winny być wykonane. Inaczej samo istnienie sądów doraźnych nie miałoby racji bytu. To też orzeczenie sądów doraźnych zatwierdzał bez żadnych zmian.

Na nieszczęście dla mnie, generał Karaś często chorował i jeszcze częściej, bo dwa razy do roku, w lecie i w zimie, korzystał z urlopów wypoczynkowych zagranicą. Wówczas wyroki sądów doraźnych przesyłano do zatwierdzenia mnie, jako najstarszemu po gen.

Karasiu naczelnikowi wojskowemu w okręgu kazańskim.

O sądach doraźnych miałem własne zdanie, wyrobione na podstawie praktyki, gdyż za młodych lat, w początkowej mej służbie, sam nieraz bywałem członkiem takich sądów *).

*) Z czasów mej służby, jeszcze za czasów warszawskich, pamiętam takie zdarzenie: Jeden z żołnierzy gwardyjskiego pułku piechoty, w czasie inspekcji, dokonywanej przez najwyższe władze wojskowe, zgłosił pretensję, że dowódca kompanji, Niemiec, nie tylko znęcał się nad żołnierzami, lecz i okradał kompanję, zmniejszając porcje chleba, źle karmił i zupełnie nie opalał koszar, pieniądze zaś, przeznaczone na opał, kładł do swej kieszeni. Żołnierz był dość inteligentny; skargę zanościł nie tylko od siebie, lecz w imieniu całej kompanji, co w owych czasach było jak najsurowiej wzbronione; że zaś przy tem wyrażał się jasno i dosadnie, nazywając złodziejstwo — złodziejstwem, przeto oskarżono go o szerzenie buntu w kompanji i oddano pod sąd doraźny. Były to czasy, gdy wojskiem rosyjskiem rządili Niemcy: namiestnikiem Królestwa Polskiego był hr. Berg, pomocnikiem jego — von Minkwitz, dowódcą dywizji gwardji — baron Meller, dowódcą brygady i pułku — von Bremsen. Ponieważ zaś skargę wniesiono od kompanji, którą dowodził również Niemiec, więc i przewodniczącym sądu doraźnego mianowano Niemca. Ja przypadkowo byłem mianowany jednym z członków tego sądu. Było to w 10 lat po powstaniu styczniowym; koszar jeszcze nie zbudowano i niektóre z kompanij pułków gwardji tymczasowo rozmieszczono w kazamatach cytadeli warszawskiej. Sąd zjechał do kazamaty, gdzie mieszkała kompanja, w której służył oskarżyciel. Kompanję ustawiono w szeregi, bez broni. Przyprawdzono oskarżyciela, który twardym, stanowczym głosem powtórzył wszystkie zarzuty, zwracając się od czasu do czasu do kolegów z za-

Co się tyczy postanowień sądów doraźnych w sprawach teroru politycznego, oraz napadów zbójceckich, gdy włożono na mnie obowiązek podpisywania tych wyroków, wyrobiłem sobie prawo, nadane mi przez specjalny reskrypt cesarski, zmniejszania o dwa stopnie kary, zasądzonej przez sąd doraźny. Otóż przez cały czas trwania tych pełnomocnictw, pamiętam, nie zdarzyło się ani razu, bym w sprawach zbójceckich zmniejszył komukolwiek karę, wyznaczoną przez sąd. Zasadę

pytaniem: „Czy dobrze mówię, bracia?“ Na to „bracia“ odpowiadali głębokiem milczeniem. Prezes usiłował przerywać żołnierzowi, lecz bezskutecznie, — wreszcie pozbawił go głosu i sam zaczął zadawać pytania do stojącej w szeregu kompanji, ale w takiej formie, że mógł otrzymywać tylko odpowiedzi, rehabilitujące dowódcę.

Posypały się więc pytania:

„Karmili was, moje dzieci?“

„Karmili“ — odpowiada chórem kompanja.

„Chleba wam dawali?“

„Dawali, Wasza Ekscelencjo“.

„W piecach palili w kazamatach?“

„Palili, Wasza Ekscelencjo“.

„Więc ten łotr wszystko zełgał?“

„Zełgał, Wasza Ekscelencjo“.

Wtedy żołnierz, który stał zwrócony twarzą do kolegów, i na okrzyki ich smutnie kiwał głową, na zwrócił się do sądu i zawołał: „Boże miłosierny! Powiadacie, że nas karmili, chleba dawali. Dobrze! Ale jakże mogli w piecach palić, kiedy w całym kazamatach ani jednego pieca niema?“ I rzeczywiście, rozejrzawszy się po kazamacie, przekonaliśmy się, że w niej ani śladu pieca niema. Nie przeszkodziło to jednak sądowi uznać żołnierza za winnego buntu i skazać go na przepędzenie przez front („skwoż stroj“) i wymierzenie mu 3.000 kijów.

Mojżesza „oko za oko, ząb za ząb“ przeprowadzałem w życiu zupełnie konsekwentnie, w tem przekonaniu, że człowiek, odbierający życie bliźniemu z powodów materialnych, nigdy nie będzie pożytecznym członkiem społeczeństwa; przeciwnie nawet, bezkarność będzie go pobudzała do nowych zbrodni.

Natomiast inne wrażenie odnosiłem przy rozpatrywaniu spraw o zbrodnie, popełnione na tle politycznym, gdzie przestępca, nie szukając dla siebie żadnych korzyści materialnych, dla idei jedynie gotów był poświęcić własne życie. Oburzało mię jednak wciąganie nieletnich do spełniania zamachów politycznych, gdyż z praktyki wiedziałem, jak często z biegiem życia zmieniały się poglądy polityczne. To też korzystając ze specjalnego pełnomocnictwa, nadanego mi imiennym re-skryptem cesarza w procesach politycznych, kary, wymierzone przez sądy doraźne, zwykle zmniejszałem o dwa stopnie, t. j. wyroki śmierci zmieniałem na 20-letnią katorgę.

Z biegiem czasu weszło to w zwyczaj i, jak mi potem mówiono, o ile obrońcy starali się przeciągnąć procesy, by wyroki w czasie wyjazdu generała Karasia szły do mnie na zatwierdzenie, o tyle znowu żandarmerja i administracja przyspieszały procedurę, by prędzej skończyć z przestępcami.

Oczywiście, że o wszystkich swych postanowieniach z obowiązku pisałem do Petersburga. Lecz, prócz mnie, zawiadamiał o nich władze i von Szejman, oświetlając je stronniczo i zupełnie dowolnie. Nie z mniejszą pilnością obgadywał mię gdzie mógł mój poprzednik,

generał von Hazenkampf, który 8 lat był gubernatorem w Astrachaniu i zwolna wszystkie wyższe urzędy obsadził Niemcami, krewnymi swoimi albo swojej żony. Cała ta kompanja zajęta była robieniem majątków i oczywiście nie żywiła do mnie sympatji, gdy ich ostrożnie, lecz systematycznie wyrzucałem z zajmowanych posiad. Insynuacje, iż jako „inorodziec“, skrycie współczuję rewolucjonistom, zamiast stosować politykę twardej ręki, toleruję ich i zachęcam, Hazenkampf puszczał po Petersburgu, że zaś był naczelnikiem sztabu wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, więc w pewnych kółkach miał posłuch.

Trzebaż zdarzenia, iż akurat w tym czasie w gubernjach Penzeńskiej i Tambowskiej poczęli się buntować chłopci, którzy na skutek prowadzonej między nimi agitacji nabrali przekonania, że cesarz podarował im ziemie i ruchomości obszarników, lecz duchowieństwo w zмовie z obszarnikami zataiło przed włóściaństwem reskrypt cesarski. Więc chłopci poczęli gromadzić się w partje, liczące po 100 i więcej furmanek; przyjeżdżali oni do upatrzonej zgóry rezydencji wiejskiej i kazali bić w dzwony w cerkwi. Po przyłączeniu się do nich miejscowych chłopów, sadzali oni obszarników na wóz i odsyłali do najbliższego miasteczka, wszelkie zaś ruchomości, inwentarz, maszyny, nawet drzwi i okna z mieszkań dzielili między siebie, pakowali na fury i wieźli do domów. Z powodu wojny gubernje środkowe Rosji były ogołoczone z siły zbrojnej, i władze miejscowe nie mogły utrzymać ładu. Wreszcie nadeszły oddziały karne. Naczelnik ich ukarał zbuntowanych chłopów

chłostą i na rozkaz miejscowej organizacji rewolucyjnej został zabity. Zabójstwa dokonała, o ile pamiętam, nieletnia uczenica gimnazjum i sama oddała się w ręce władz. Sąd doraźny skazał ją na śmierć. Wyrok przypadkowo mnie przysłano do zatwierdzenia, i chociaż widziałem wzburzenie pewnej części społeczeństwa, lecz, kierując się sumieniem, zmniejszyłem karę do 15 lat katorgi.

Jak przewidywałem, zaatakowała mnie prasa pravicowa na czele z Mieńszykowem, który poświęcił mi w „Nowem Wremi“ obszerny artykuł, dowodząc, że jestem typowym naśladowcą Konrada Wallenroda i na zajmowanym stanowisku bezwarunkowo szkodliwy dla Rosji.

Chciałem odpowiedzieć Mieńszykowowi, lecz się rozmyśliłem: nie warto było wywnętrzać się w takim piśmie, jak „Nowoje Wremia“, a przytem z doświadczenia wiedziałem, że nawet najzjadliwsze artykuły, umieszczone w piśmie codziennem, po przeczytaniu, ulegają zapomnieniu. Polemika zaś zawsze zwraca na siebie uwagę. Zresztą wiedziałem, że z artykułami „Nowego Wremi“ rząd się liczy. Przeczuwałem więc, co będzie dalej, tem bardziej, iż prowincjonalne gazety były dla mnie tak życzliwie usposobione, iż żadna, nad całym biegiem Wołgi, nie przedrukowała sensacyjnego artykułu z „Now. Wremi“.

Wkrótce minister spraw wewnętrznych, ksiązę Światopełk - Mirski zawezwwał mię do Petersburga. W Astrachaniu wrzało od najrozmaitszych plotek i ploteczek „z najautentyczniejszego źródła“. Postanowiłem

jechać nie własnym statkiem hetmańskim, lecz ogólnopasażerskim Tow. „Kaukaz i Merkury“, które właśnie spuściło było parę pośpiesznych statków luksusowych.

Wyjazd mój dał mi możność poznania sympatji, jaką zyskałem sobie wśród mieszkańców Astrachania. Byłem urzędowo wezwany do Petersburga, jak to się wielokrotnie zdarzało i przedtem, nie mogło więc być mowy o jakimkolwiek „urzędowym“ pożegnaniu. Mimo to mieszkańcy zrobili wszystko, by mi dowieść swej sympatji. Ulice, któremi jechałem na przystań, były tak zatłoczone publicznością, iż powóz mój, zarzucony kwiatami, mógł się z trudnością i bardzo powoli posuwać; wszyscy stali z odkrytymi głowami, co i mnie zmusiło do jechania bez czapki; zewsząd rozbrzmiewały okrzyki: „Prosimy, wracaj do nas“, „do widzenia“, „czekamy“ i t. p. Na przystani czekali przedstawiciele wszystkich urzędów; nawet sąd, który chętnie manifestował swą niezależność od administracji i z lekceważeniem traktował rozmaite uroczystości (za co mu zawsze byłem wdzięczny, bo z natury rzeczy sam ich nie lubiłem), wystąpił in gremio z prezesami sądu i izby oraz z prokuratorami na czele. Dokoła przystani tłum mieszkańców; przy wejściu na statek — magistrat, ławnicy i prezydent miasta z bukietem.

Zaledwo zdążyłem obejść całą przystań, by pożegnać wszystkich, gdy policmajster szepnął mi, że arcybiskup Jerzy jedzie z Kremla na przystań. Rzeczywiście, zobaczyłem pędzącą z góry (z Kremla) karetę arcybiskupią, zaprzężoną w 6 czarnych koni z forejterem. Skądś wysunęło się duchowieństwo w ornatach, i w

chwili, gdy arcybiskup wysiadł z karety, w białym kołpaku, ozdobionym ogromnym krzyżem brylantowym, już rozpoczęła się krótka modlitwa na intencję mojej szczęśliwej podróży.

W chwili, gdy arcybiskup błogosławił mię krzyżem, ja zaś schyliłem głowę, arcybiskup szepnął:

— Patrz pan, wszyscy są tutaj. Zebrali się samorzutnie, tylko tego łotra niema.

— Kogo? — pytam.

— A Szejmana *).

*) Arcybiskup Jerzy był człowiekiem szerokiej wiedzy i tolerancji, że zaś trzymał się zasady, wskazanej w Piśmie św: „oddaj, co jest boskiego, Bogu, a co jest cesarskiego — cesarzowi“, którą i ja się rządziłem, przeto w ciągu 5-letniego urzędowania mego w Astrachaniu nietylko nie mieliśmy z sobą żadnego zatargu, lecz nawet uniknęliśmy małych starć, których można było uniknąć tylko przy zobopólnej dobrej woli, gdy się zważy, iż byłem katolikiem. Widywaliśmy się bardzo rzadko, tylko w największe święta, lecz już po roku zyskałem jego pełne zaufanie. Pamiętam np. takie zdarzenie: Arcybiskup ciężko zachorował i w nocy przysłał po mnie. Pojechałem natychmiast i zastałem go w stanie groźnym. Wysławszy z pokoju obecnych tam mnichów, a nawet „kelejnika“ (posługacza celowego), poprosił, bym sprawdził, czy nie podsłuchują pod drzwiami. Potem dał mi klucze od biurka i polecił mi ze skrytki wyjąć 80.000 rubli, jedyny majątek, jaki zebrał w ciągu długich lat oszczędności, żądając, bym pieniądze te doręczył jego córce, mieszkającej w Jałcie, na Krymie.

Upewniał, że swojemu otoczeniu nie może ufać, gdyż okradliby go do nitki, nie czekając nawet, aż ostygnie. Nie chciał pieniędzy tych przesyłać przez bank, gdyż, jako mnich, ślubował ubóstwo, i gdyby otoczenie jego odszukało ślad tego majątku, pieniądze wyegzekwowałoby od jego córki. Najprzy-

A więc i on wiedział o denuncjacjach Szejmana; tylko ja jeden nic nie podejrzewałem. Ubodło mię to mocno, i postanowiłem bądź co bądź sprawę wyjaśnić.

W Petersburgu przedstawiłem się nowemu ministrowi. Począł od tego, że jest tak zajęty, iż nie ma czasu na omówienie spraw miejscowych, więc prosi mię na śniadanie, w czasie którego pomówimy.

Ponieważ w telegramie, wzywającym mię do Petersburga, minister zaznaczył, iż wzywa mię z polecenia cesarza, więc natychmiast zapisałem się na audjencję u cesarza, lecz trybem zwykłym, gdyż przyjaciel mój, komendant główny kwatery cesarskiej, generał adjutant Diediulin, już był umarł *). Miejsce jego zajmowali

krzejsze w tej sprawie było to, że, ze wskazanych wyżej powodów, nie wziął żadnego kwitu ode mnie, choć żyłem wtedy na wulkanie i mogłem być w każdej chwili sprzątnięty. Pieniądze te przeleżały u mnie parę miesięcy, póki córka arcybiskupa po przebytej operacji, o tyle się nie poprawia, że mogła przyjechać do Astrachania i zabrać pieniądze, które mię paliły.

*) O śmierci Diediulina najbliżsi krewni jego opowiadali mi następujące okoliczności: Był to człowiek duszą i ciałem oddany osobiście cesarzowi, dla siebie nie żądał absolutnie niczego. Rodzina cesarska mieszkała w Liwadji (Jałta, na Krymie), i cesarz zauważył, że, pomimo zakazu, cesarzowa z córkami odwiedza Rasputina. Wezwał więc Diediulina i dał mu kategoryczny rozkaz, by żaden szofer nie ośmielił się zajeżdżać po cesarzową, nie zameldowawszy o tem uprzednio Diediulinowi. Rodzina cesarska mieszkała w pałacu w Jałcie. Diediulin zaś miał w „kawalerstwiej oficynie“ mieszkanie, tak urządzone, że z okien swoich widział cały pałacyk. W parę dni po rozkazie cesarza, o którym były zawiadomione wszystkie urzędy cesarskiej stajni, Diediulin z okna swego mieszkania dostrzegł, że przed boczne drzwi apartamentu cesa-

tymczasem dwaj bliźniacy, książęta Tumanowie, tak podobni do siebie, że rozróżnić ich pono nie mogły nawet ich żony. Oczywiście, iż takie niebywałe podobieństwo wywoływało nieskończone nieporozumienia. Ja przynajmniej nie mogłem ich rozróżnić.

Otrzymawszy zawiadomienie o dniu, kiedy będę przyjęty przez cesarza, w oznaczonym terminie stawilem się w Aleksandrji. Cesarz przyjął mię, jak zwykle, uprzejmie, lecz po pierwszych pytaniach o to, co słychać na kresach, przeszedł do interesującego go tematu i rzekł: „Dochodzą do mnie skargi, że w sprawach zabójstw politycznych, które powinny być karane ze szczególną surowością, wyroki sądów doraźnych, w pew-

rzowej podjechał jej samochód. Oczywiście, cesarzowa miała gdzieś jechać. Diediulin wyszedł i rzekł do szofera:

— Czy otrzymałeś rozkaz, że jedynie za mojem zezwoleniem możesz zajeżdzać?

— Otrzymałem — odpowiedział szofer.

— Jakże więc śmiałeś zajechać bez mego glejtu?

— Bo otrzymałem własnoręczny rozkaz cesarzowej, który obowiązywał mię do słuchania jej, a nie pana!

— Zawróć natychmiast! Pan już nie służysz w garażu cesarskim!

Samochód odjechał do garażu. Prawie w tej samej chwili wyszła cesarzowa z córką Olgą. Służba uprzedziła cesarzową, że samochód był, lecz Diediulin go cofnął. Cesarzowa, wysłuchawszy relacji, zemdlała na ganku, i na rękach wniesiono ją do palacu. Cesarz, który wszystko widział z okna swego gabinetu, wezwał Diediulina i, ucałowawszy go, powiedział, że nie może go pozostawić na stanowisku Komendanta Głównej Kwatery. Diediulin wrócił do siebie i w godzinę umarł na aneurizm serca.

nych wypadkach przesyłane panu do zatwierdzenia, są zawsze złagodzone o dwa stopnie. Wezwałem pana, by wyjaśnić, o ile skargi te są słuszne i jakie są tego powody?“

W odpowiedzi na te pytania naprzód przypomniałem, że kiedy cesarz udzielał mi owych pełnomocnictw, usilnie go prosiłem, by mię zwolnił od podobnego zlecenia, tłumacząc się tem, że od natury mam usposobienie łagodne, i trudno mi będzie skazywać ludzi na śmierć na podstawie wyroków sądów doraźnych, które same przez się nie dają gwarancji zupełnej bezstronności; nadto przypomniałem, że wówczas cesarz rzekł: „Może to i lepiej, że władza taka będzie spoczywała w ręku człowieka ludzkiego“. I właśnie wtedy nadane mi było prawo łagodzenia wyroków sądu doraźnego o 2 stopnie kary. Tego prawa, prawa sumienia mojego, nie nadużyłem; jeżeli zmieniałem wyroki, to tylko w granicach pełnomocnictwa. Dalej zaznaczyłem, iż nie pamiętam, bym kiedykolwiek skorzystał z danego mi przez cesarza prawa łaski wobec wyroków, jakie zapadły z powodu zabójstw w celach rabunkowych. Sądzę bowiem, że tacy przestępcy to szumowiny, od których lepiej jest uwolnić społeczeństwo.

Inaczej przedstawia się sprawa zabójstw politycznych, gdy pożyteczny członek społeczeństwa popełnia najcięższe przestępstwo, zabija skądinąd również pożytecznego członka, nietylko nie szukając w tem żadnej korzyści dla siebie, lecz przeciwnie często dla idei oddając w ofierze własne życie. W takich wypadkach sumienie każe mi być bardzo ostrożnym w zastosowaniu

kary śmierci. Naprzód dlatego, że w dalszem życiu człowiek często zmienia przekonania polityczne, i dzisiejszy przestępca, po kilku lub kilkunastu latach ciężkiej walki z życiem, wraca do społeczeństwa, jako pożądany jego członek*); powtóre, kara śmierci, podług mnie,

*) Przykładów mógłbym przytoczyć mnóstwo. Naprzykład Stanisław Glinka-Janczewski, jeszcze jako kadet Szkoły Inżynierów wojskowych, zamieszany był w sprawę Pietraszewskiego i natychmiast po awansie na oficera saperów był zasądzony na śmierć. Z powodu niepełnoletności, zamiast rozstrzelać, zdegradowano go na żołnierza i zesłano do Orenburskich bataljonów linjowych, z którymi dotarł aż do Taszkientu (gdzie go dobrze poznałem), za męstwo osobiste nie tylko odzyskawszy awans oficerski, lecz otrzymawszy i rangę kapitana saperów. Zajmował się on specjalnie inżynierją i pierwszy przybył do wniosku, że przy wznoszeniu twierdz należy wszystkie betonowe budowy przykrywać nasypami z ziemi. Myśl swoją zakomunikował światowej sławy inżynierowi belgijskiemu (nazwiska chwilowo nie mogę sobie przypomnieć), który właśnie wtedy budował twierdze na granicach Belgji. Inżynier ów wezwał Janczewskiego (który był już dymisjonowany) do siebie, wspólnie z nim opracował ten pomysł i zastosował go do nowych fortyfikacyj.

Z biegiem czasu Janczewski zmienił przekonania polityczne, i w okresie, kiedy rozmawiałem o nim z cesarzem (wiosną 1906 roku) był on najostrzejszym piórem pravicowców i redagował oraz wydawał główny ich organ „Ziemszczyne“, łatwo wytrzymując konkurencję z filarem gazety „Nowoje Wremja“, Mieńszykowem, którego pobudki zawsze wynikały ze źródeł brudnych, gdy Janczewski patrzył na wszystko czystymi, jak kryształ, oczyma. Zresztą i sam Mieńszykow w młodości swej był „czerwony“, gdy pracował w „Niedieli“ (pod redakcją Hajdeburowa), która, jako „czerwona“, została zamknięta.

nie odpowiada ciężkiemu przestępstwu, jakim jest bezwarunkowo zabójstwo polityczne osoby, której cała wi-
na wobec zabójcy polega na tem, że zabity sumiennie
spełniał przyjęte na siebie obowiązki. Bo cóż ma do znie-
sienia zabójca polityczny? W czasie przewodu sądowe-
go ciągle krzepi go na duchu adwokat, który podtrzy-
muje w nim nadzieję, że sprawa jego nie może się źle
skończyć. Ale oto przewód sądowy skończony. Wyrok
skazuje oskarżonego na śmierć: następuje pierwszy
atak szalonej depresji. Lecz atak ten bywa bardzo krót-
ki, gdyż znowu adwokat zapewnia go, że będzie nie-
zawodnie ulaskawiony. Oskarżony czuje się bohaterem,
stara się o miejscowe pisma ze sprawozdaniami o prze-
biegu procesu, interesuje się głosami opinii publicznej
o sobie, słowem, myśl o możliwości śmierci jest od nie-
go daleka, a jeżeli nawet przychodzi, to rzadko, niby
przelotne ułknięcie w serce. Wreszcie moment ostatni.
Prośba o ulaskawienie odrzucona. Z wiadomością tą
przychodzą do celi więźnia zwykle o 5 rano. Zjawia się
ksiądz, aby mu dać pociechę i pojednać z Bogiem. I tu
dopiero następuje prawdziwa męka i strach przed nie-
uchronną śmiercią. Lecz jakże długo ona trwa? Najwy-
żej godzinę, bo o 6 rano zwykle wszystko jest skończo-
ne. Czyż więc godzina męki zabójcy może być równo-
ważnikiem przestępstwa, które spowodowało śmierć
człowieka, będącego czasami chlubą swego narodu?!

Zupełnie inną karę ponosi człowiek, osądzony na
20 lat katorgi, 20 lat życia w okropnych warunkach,
między ludźmi, którzy w ogromnej większości wyzuli się
ze wszystkiego ludzkiego, co ich dawniej wiązało z ży-

ciem i światem; dwadzieścia lat myśli nieustannej, o każdej porze dnia i nocy, iż nędza*), jaką skazany cierpi obecnie, jest tylko odwetem za popełnione zabójstwo.

Strach przed podobną karą był tak wielki, że znam wypadki, gdy ludzie, skazani na katorgę bezterminową, tracili nadzieję dożycia lat szczęśliwych i kończyli samobójstwem. Dlatego też zawsze dążyłem do obniżenia kary o dwa stopnie (kara śmierci i bezterminowa katorga). Trzecim stopniem jest katorga na lat 20.

Jeszcze ostrożniejszym przy wyznaczaniu kary trzeba być wtedy, gdy przestępczynią jest nieletnia, przeważnie uczenica gimnazjum, te bowiem łatwo dają się wciągnąć w spisek, czując się zaś związane słowem i nie ceniąc młodego życia, marzą o bohaterskiej śmierci na szubienicy lub przy słupie. Pocóż główki takie koronować wieńcem męczeństwa, tem bardziej, że przykład podobny wywoływał zwykle naśladownictwo?

Mówiłem długo i w wielkiem podnieceniu, że zaś przedtem w ciągu 5 lat byłem pogranicznym komisarzem nad rzeką Amurem w Syberji i katorgę znałem dokładnie, więc musiałem ją wyraziście i mocno odmalować, gdyż cesarz słuchał mię z wielkiem skupieniem. Pomyślawszy potem chwilę, powiedział:

— Zrozumiałem pobudki, które panem kierowały, i dziękuję za szczere ich wyznanie.

*) Kto nie zna rosyjskiej katorgi, niech przeczyta „Zapiski iz Miortwawo Doma“ Dostojewskiego, który 6 lat spędził w katordze. Jest w polskim przekładzie.

Następnie przeżegnawszy mię zdaleka, dodał:

— Jedź pan zpowrotem i rządz dalej krajem, który dotychczas udało się panu uchronić od zgubnej rewolucji. Niech Bóg pana strzeże. (Da sochranit Was Gospod').

Wracałem do Petersburga zupełnie zadowolony z wyjątkowo miłego przyjęcia przez cesarza, który szukał prawdy i serdecznie za nią dziękował, jeżeli ktoś zaryzykował mu ją powiedzieć, lecz sam nie umiał rozbić otaczającego go niemieckiego muru, złożonego z żony i podtrzymywanych przez nią: hr. Fryderyksów, hr. Lamsdorfów, baronów Budbergów i tutti quanti. Niemcy ci nie znali Rosji, patrzyli na nią przez okulary niemieckie i tak też informowali parę cesarską o wypadkach, rozdzierających Rosję. Prócz tego cesarz nie umiał wybierać ludzi. Obserwując latami najbliższe jego otoczenie, widziałem przy nim tylko jednego Diediulina, który, prześladowany przez partję niemiecką, utrzymał się jednak przez czas dłuższy, gdyż był zupełnie czysty i osobiście dla siebie niczego nie żądał. Niłow i Wojejkow, chociaż czystej krwi Rosjanie, trzymali z Niemcami i sami byli przez nich podtrzymywani.

O słabej orientacji pary cesarskiej w nastrojach mas ludowych w Rosji świadczy następujące zdarzenie. Przed otwarciem pierwszej Dumy byłem kiedyś, w sprawach hetmańskich cesarzewicza, w apartamentach cesarzowej, która, mówiąc o Dumie, wypowiadała przekonanie, że, ponieważ Duma miała być przeważnie chłopska, przeto będzie prawicowa. Będąc w styczności z wyborcami i wyborami, wiedziałem, że tak nie jest i że

hasło: „Car i prawosławie“ nie popłaca. Zauważyłem więc ostrożnie, że lud rosyjski — to sfinks, i nigdy nie można zgóry przewidzieć, jak się on wypowie. Cesarzowa wlot zrozumiała, dokąd zmierzam, i z oburzeniem zawołała: „Ach! nie! Pan nie zna ludu rosyjskiego! Ja mam niezbite dowody, że on nas ubóstwia!“ I zaprowadziła mnie do oddzielnego pokoju, gdzie stały kosze, wypełnione jakimiś listami. Z polecenia cesarzowej wziąłem z koszów kilka z nich do przeczytania. Były to listy od żołnierzy, ranionych w czasie wojny i leczonych w szpitalach w Carskiem Siole, gdzie pracowała cesarzowa z córkami. Ludzi tych, po wyleczeniu, obsypanych podarunkami, wysyłano na miejsca urodzenia, skąd pisali oni listy, przepelnione takimi zwrotami: „Ty, matuszko, caryco“, „Ślemy Ci pokłony do samej chłodnej ziemi“. „Przyślij nam fotografię swoją i córek Twoich, a naszych siostrzyczek“ i t. p. Listy te kończyły się zawsze prośbą: „Przyślij mi 3 albo 5 rubli, bo jeszcze jestem chory i nic zarobić nie mogę, a ostatnią krowę mi zajęli, gdyż nie mam czem zapłacić podatków“.

Widząc, że każdy list kończy się słowem: „przyślij“, nie mogłem się powstrzymać od pytania, jaką odpowiedź otrzymują petenci. Pokazało się, że przy każdym szpitalu utworzona jest kancelarja, która otrzymane listy segreguje, wysyłając wsparcia i fotografie „matuszki“ i „siostrzyczek“. Kancelarje te rozporządzają ogromnemi sumami, składanemi na ten cel na ręce cesarzowej przez bogate kupiectwo moskiewskie i petersburskie.

Nie chcę przez to twierdzić, że wszystkie bez wy-

jątku listy żołnierskie były pisane w celu wyłudzenia datku, lecz nie ulega wątpliwości, że ogromną większość z nich pisali żołnierze, gdyż mieli papier, znaczki pocztowe i ołówki w darowanych im tobołkach, i że spodziewali się oni, iż „Matuszka caryca“ i „siostrzyczki“ nie odmówią im kilku rubli, nie ze swojej zresztą szkatuły.

Że moje poglądy były słuszne, dowiodły tego zresztą i wybory do pierwszej Dumy, i dalsze wypadki w życiu Rosji i jej monarchów.

Wróciwszy do Petersburga, zatelefonowałem do szefa żandarmów, von Waala, pytając, kiedybym się mógł z nim rozmówić w sprawie osobistej. Von Waala blisko znałem jeszcze z lat młodości, gdyżśmy obaj służyli w Warszawie. Poprosił mię, bym nazajutrz przyjechał do niego na śniadanie, gdyż właśnie popołudnie miał wolne, będziemy więc mogli pomówić swobodnie. Zgodziłem się, uprzedziwszy go, by zażądał moich akt osobistych z archiwów, gdyż właśnie tę sprawę mam z nim do omówienia.

Pamiętam to śniadanie u von Waala. Pomnę, iż siedziałem obok córki gospodarza, która odznaczała się niezwykłą urodą (była żoną członka ambasady rosyjskiej w Paryżu); wszczałem opowiadanie o swej audjencji w Carskiem Siole, o zainteresowaniu się cesarza kwestją mych sympatyj do skazańców politycznych oraz o ostatecznym rozkazie cesarskim, bym wracał do Astrachania i rządził nadal podług tych samych zasad. Postrzegłem przytem, że v. Waal jest stropiony: zapewne wyrobił sobie jakąś metodę postępowania w sto-

sunku do mnie i, dowiedziawszy się o poglądzie cesarza na tę sprawę, poczuł, że mu się grunt z pod nóg usuwa. Że sam czuł się niezbyt mocno na swem stanowisku (nowy, liberalny minister, oczywiście, mógł mieć swojego kandydata na miejsce szefa żandarmów, Waal zaś należał do klikki min. Durnowo), więc obawiał się niezręcznego kroku i wypytywał mię o najdrobniejsze szczegóły audjencji.

Po śniadaniu przeszliśmy do urzędowego gabinetu. Tam bez wstępów i bez ogródek oświadczyłem, iż, dowiedziawszy się poufnie, że jestem pod ścisłym dozorem gubernjalnego zarządu żandarmerji, którego naczelnik, pułkownik von Szejman, perjodycznie pisze na mnie denuncjacje, przyjechałem specjalnie do Petersburga, by je przeczytać i złożyć odpowiednie wyjaśnienia.

Zauważyłem odrazu, że von Waal zaniepokoił się takim obrotem rozmowy. Wzywając mię, miał zamiar może nawet w formie przyjacielskiej zwrócić mi uwagę na niewłaściwość mego postępowania na prowincji, jako przedstawiciela władzy cesarskiej. Tymczasem to, co jemu i wielu, wielu innym wydawało się „niewłaściwe“, było już uznane za słuszne i dobre przez cesarza! Pozostała więc do wyjaśnienia bardzo niemiła pretensja moja o to, że właśnie ja, przedstawiciel najwyższej władzy miejscowej, a nie „wywrotowcy“, byłem przedmiotem ścisłej obserwacji i denuncjacyj ze strony podwładnego mi na miejscu zarządu gubernjalnego żandarmów.

Waal poruszył się niespokojnie w fotelu i rzekł prędko:

— Ależ nie! Skądże znowu! O żadnym dozorze nad tobą, generale, mowy być nie mogło! Były tylko zwyczajne perjodyczne relacje miejscowego zarządu żandarmerji o tamtejszych zdarzeniach, raporty tego rodzaju, jakie nadchodzą do nas z całej Rosji! Bo przecież pan wie, że ministrowie spraw wewnętrznych, w razie potrzeby, zwracają się do mnie o wyjaśnienie tych lub innych wypadków na prowincji; obowiązany więc jestem, jako szef żadarmów w Rosji, przedstawić je niezwłocznie! A skądżebym ja wiedział o tem, co się dzieje w najrozmaitszych zakątkach monarchji, gdybym nie otrzymywał zewsząd perjodycznych raportów!

— Podług prawa — odpowiedziałem — wszystkie zarządy poszczególnych władz w kraju, którym z woli cesarza rządę, zupełnie i bezwzględnie podlegają tylko mnie samemu i powinny były mnie pomagać, ze mną współpracować. Tymczasem w czasie pięcioletniego okresu zarządzania przeze mnie ogromnym krajem astrachańskim, nie zdarzyło się nigdy, by miejscowy zarząd żandarmerji podzielił się ze mną wiadomościami, które do niego dochodziły. Niemal zapomniałem o tem, że zarząd taki istnieje w Astrachaniu. Pokazuje się jednak, że podległy mi oficer co tydzień przesyła panu sprawozdania o mojej, że się tak wyrażę, prawomyślności politycznej, i że sprawozdania te stały się podstawą pańskiego sądu o mojej działalności w Astrachaniu; sąd ten, jak pan sam przed chwilą wyznał, wypowiedziałby pan o mnie ministrowi, któryby z własnej inicyjatywy czy z polecenia cesarza zażądał o mnie wiadomości prawdziwych, obiektywnych. Gdyby oficer, wy-

znaczony przez pana na taką wyjątkowo drażliwą placówkę, umiał postępować poprawnie, raporty swoje przeznaczone dla pana, posyłałby w porozumieniu ze mną, i tylko w takim razie byłyby one prawdziwe i bezstronne. Obecne relacje swe pisał on na podstawie denuncjacji swoich agentów, ludzi nieinteligentnych, wybieranych z pośród szumowin miejscowych za opłatą 75 rub. miesięcznie. W każą wartość polityczną mogły mieć takie raporty, redagowane nawet przez pułkownika żandarmerji pod kątem widzenia osobistych jego sympatyj lub antypatyj?! Dlatego kategorycznie powtarzam swe żądanie: domagam się tych raportów von Szejmana do przejrzenia, tem bardziej, iż podług brzmienia prawa, powinny one były pomagać mi w zarządzie krajem. Ze swej strony obiecuję otwarcie i szczerze wyjaśnić to, co z natury rzeczy w relacjach von Szejmana i w źródłach, skąd czerpał on do nich materiały, musiało być niejasne lub błędne. Co do tego chyba żadnych wątpliwości pan mieć nie może!

Von Waal odsunął się ode mnie w głąb fotelu.

— Żądanie pańskie jest niemożliwe do spełnienia — odrzekł. — Przez całe swe życie służę w centrali ministerjum spraw wewnętrznych, lecz nie pamiętam wypadku, by raporty naczelników poszczególnych urzędów żandarmskich, nadsyłane szefowi, były wydawane osobom trzecim.

Byłem wzburzony całym tym targiem; starałem się jednak panować nad sobą, ze spokojem uprzytomnić von Waalowi, że obecnie jestem w wyjątkowem położeniu: mam za sobą lat 30 czynnej służby, że zaś brałem

udział we wszystkich wojnach, jakie Rosja prowadziła w ciągu tego czasu, więc wysłużyłem sobie sumiennie emeryturę; obecnie zajmuję od 5 lat posadę III kategorii, co mi również zapewnia dostateczną emeryturę. Tak odpowiedzialnej pracy mam jednak już dosyć i przyjechałem do Petersburga z zamiarem złożenia prośby o przeniesienie mię w stan spoczynku; jedynie kategorycznie wyrażone życzenie cesarza mogło znievolić mię do powrotu na me stanowisko do Astrachania. Fortuny na służbie nie zrobiłem, i jedynym moim dobrom jest uczciwe imię, jakie zdobyłem sobie i prywatnem swem życiem, i jako urzędnik państwowy. Nie mogę pozwolić na to, by czynnik, według prawa mnie podwładny, jakim w danym wypadku jest zarząd gubernjalny żandarmerji, wydawał opinie o mojem urzędowem postępowaniu. Dlatego jeszcze raz stanowczo powtarzam: albo dostanę do przejrzania wszystkie bez wyjątku raporty von Szejmana, albo natychmiast, nie wychodząc z tego gabinetu, składam podanie o przeniesienie mię w stan spoczynku, przytem, naturalnie, będę zmuszony wyjaśnić przyczyny, dla których nie mogłem pełnić dalej służby w Astrachaniu.

Von Waal był zaskoczony tem oświadczeniem. Po wykrętnych zapewnieniach, że o żadnem szpiegostwie i denuncjacjach w stosunku do mnie mowy być nie może; że już od 5 lat otrzymuje z Astrachania i z innych miejsc Rosji rozmaite raporty, dotyczące stosunków miejscowych; że raportom tym ani wiary, ani żadnego znaczenia nie nadawał: oznajmił wreszcie, że, jeżeli one są przyczyną mego rozgoryczenia, to da mi je do prze-

rzenia z największą chęcią. Gdy zaś zauważyłem, że aczkolwiek wiary denuncjacjom Szejmana nie dawał, jednak „na wszelki wypadek“ segregował je skrzętnie, Waal roześmiał się serdecznie i rzekł: „Na dowód, że tak nie jest, daję je panu na pamiątkę. Niech pan je przejrzy i zwróci mi tylko te, które są zgodne z prawdą, gdyż mogą być potrzebne do akt. Z kłamliwymi niech pan zrobi, co się panu podoba. Od tylu lat znam pana z najlepszej strony, i chyba nie Szejman nas poróżni“.

Zabrawszy z sobą cały foljał raportów, pojechałem do hotelu i tam dopiero uprzytomniłem sobie, jak wiele nieprzyjemności w innych warunkach służbowych, niż te, w których się znajdowałem, mogły mi sprowadzić denuncjacje Szejmana. Znać było, że Szejman pisał te raporty na podstawie relacyj kogoś, kto był u mnie, rozmawiał ze mną, jednak każde moje słowo, każdy krok objaśniony został fałszywie i wykrętnie. Naprzykład, w sprawie bytności u mnie delegatów partji socjalnych rewolucjonistów w celu omówienia pierwszego pochodu po ulicach miasta (o czem pisałem wyżej) Szejman donosił: „Tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie generał-gubernator za pośrednictwem d-ra Konstancewa wezwał do swego mieszkania delegatów partji socjalnych rewolucjonistów w celu omówienia, w jaki sposób możnaby najbezpieczniej urządzić pochód po ulicach miasta. Dr. Konstancew udał się do mieszkania generała głównem wejściem, strzeżonem przez wartę kozacką i policję. Delegaci zaś, między którymi był i mój agent, zostali wpuszczeni pojedynczo do ogrodu, z pustego zaułka, leżącego w tyle pałacu hetmańskiego. Po

omówieniu szczegółów pochodu, generał własnoręcznie rozdawał czerwone flagi z rewolucyjnymi napisami, gwarantując, że policja nie będzie ich odbierała i niszczyła“.

Jak się rzeczy miały w istocie, czytelnik wie, gdyż pertraktacje z owymi delegatami odtworzyłem dokładnie powyżej w niniejszem opowiadaniu. Raporty przeto Szejmana były najpodlejszego rodzaju denuncjacjami, w które autor ich wkładał wiele złej woli i kłamstwa. Notując odpowiednie poprawki na marginesach raportów, przejrzałem ich dziesiątki, odkładając osobno jedne do archiwum szefa żandarmów, inne dla siebie. Nazajutrz odwiozłem osobiście wszystkie do von Waala, który przywitał mię słowami:

— Zapewne byłoby panu nieprzyjemnie spotkać się z Szejmanem? Wydałem już rozporządzenie o odwołaniu go do centrali w Petersburgu bez określonego zajęcia! Za nietakt niech popości tutaj na skromnem uposażeniu, bez dodatków i diet. Na miejsce Szejmana posyłam do Astrachania młodego oficera, z dobrej rodziny, z piśmienną instrukcją, aby słuchał pana i we wszystkim mu pomagał. Mam słabość do tego chłopca i uprzejmie proszę, niech pan nauczy go taktu służbowego. Społeczeństwo nas, żandarmów, nie lubi, i brak taktu jest największem przestępstwem w naszej służbie. Czem mógłbym jeszcze panu służyć? Chciałbym zatrzeć w pamięci pańskiej nieprzyjemne wspomnienie wczorajszej naszej dysputy, chociaż miał pan możliwość przekonać się, że byłem szczery, mówiąc, iż w ciągu 5 lat nie nadawałem znaczenia owym raportom!

Przyznawszy w zupełności słuszność co do jego szeze-

rości, podałem mu oddzielnie tekę z raportami, zakwalifikowanymi przeze mnie do archiwum sztabu, oddzielnie zaś drugą z denuncjacjami, które odłożyłem dla siebie, i poprosiłem przytem, by papiery z drugiej teki włożył do koperty ze stemplami szefa żandarmerji i zaadresował własnoręcznie do Szejmana. Otrzymawszy kopertę, podziękowałem von Waalowi za kulturalne załatwienie nieprzyjemnego zajścia, i powracałem spokojny do Astrachania, mimowoli przypominając sobie słowa arcybiskupa Jerzego, jakie szeptał mi do ucha, żegnając mię na przystani: „Nie smuć się, przyjacielu! Bóg jest miłosierny! Wrócisz do nas silniejszy, niż wyjeżdżasz“. (Nie tuży družok! Gospod' miłostiw! Wier-niosz sia k nam silnieje, czem jediesz).

Chcąc uniknąć uroczystych spotkań, choćby cienia manifestacyj, wróciłem do Astrachania w nocy. Nazajutrz, w godzinach urzędowych poleciłem policmajstrowi wezwać do mnie pułkownika v. Szejmana. Wkrótce przybiegł, przeprasząc, że jest w surducie, a nie w mundurze, jak być powinien, i tłumacząc się, iż nie wiedział, że już wróciłem. Podałem mu ogromną kopertę z insygnjami szefa żandarmów, zaznaczając, iż v. Waal prosił mię, bym mu ją oddał. Poprosił o pozwolenie przejrzenia jej u mnie. Wskazałem mu krzesło pod oknem, sam zaś zająłem się przeglądaniem papierów, któremi założone było moje biurko. Szejman rozerwał kopertę i, znalazłszy w niej rozkaz doręczenia swych denuncjacyj mnie, a obok rozkazu swoje własne raporty z mojemi wyjaśnieniami na marginesach, z początku zerwał się z krzesła, jakby chcąc podejść do

mnie, i znowu usiadł, potem wstał, podszedł do biurka i, skłoniwszy się, rzekł:

— Z rozkazu szefa żandarmów mam honor doręczyć waszej ekscelencji te dokumenty.

Szczerze wyznaję, że go nie żałowałem, chociaż ręce i usta drgały mu ze zdenerwowania, zasłużył bowiem na karę, która go spotkała za szpiegostwo i denuncjacje.

Po chwili milczenia zapytał:

— Czy ekscelencja każe mi się podać natychmiast do dymisji?

Odpowiedziałem mu: Ja — nie! Jeżeli sumienie pańskie pozwala panu nadal służyć w korpusie żandarmów, to dalsza służba pańska będzie zależna od poglądu na tę sprawę pańskiego szefa. Ja tylko uprzedzam pana, że pan nie jesteś już naczelnikiem zarządu żandarmskiego w Astrachaniu, jak również zdemoralizowany przez pana pomocnik pański. Proszę więc dziś jeszcze opuścić Astrachań. Rodzina pańska może tu zostać dopóty, póki nie zapakuje rzeczy i nie wyśle ich do Petersburga, gdyż jest pan zaliczony do centrali bez żadnego przydziału!

— Nie otrzymałem co do tego żadnego rozporządzenia!

— Otrzymaś je pan ode mnie na piśmie. Więcej żadnych zmian nie będzie. Żegnam pana!

I, nie podając mu ręki, odwróciłem się do stojącego obok dyrektora mojej kancelarji.

Po południu policmajster zameldował mi, że Szejman zjawił się na dwie godziny przed odejściem pierwszego

statku, idącego do Niżniego Nowgorodu, kiedy ani na statku, ani na przystani nie było jeszcze nikogo. Zaszył się w kabinie 2 klasy, zamknął drzwi na klucz i leżał tam sam jeden, nie pokazując się na pokładzie do chwili odejścia statku. Po pięciu latach pobytu w Astrachaniu nikt go nawet na statek nie odprowadził.

Nadmienię, że pomyślna gwiazda raz jeszcze mu zaświeciła, jednak na wołżańskim horyzoncie. W 1910 roku jechałem Wołgą i Kamą do Permu, a właściwie mówiąc, nawet nieco dalej, gdyż do słupa granicznego, postawionego na szczycie gór Uralskich z napisem: „Europa“ i „Azja“. Słup ten dzieli dwie części świata; postawiono go tam, gdzie się poczyna olbrzymi trakt syberyjski, stanowiący do czasu wybudowania syberyjskiej kolei jedyny środek komunikacji między Rosją a Syberją. Szlak ten po tysiąckroć zmierzyły stopy naszych zesłańców. Na „barżach“ spławiano ich Wołgą i Kamą do Permu, a dalej zimą i latem pędzono pieszo, w kajdanach, do czeluści strasznych kopalń katorgi nerczyńskiej, lub jeszcze dalej na osiedlenie wśród wilujskich Jakutów. Zmierzył ten trakt i ojciec mój własnymi nogami, pędzony w 1863 roku do Nerczyńska, gdzie dostał suchot, które go wcześniej wpędziły do grobu.

Siadłem na statek w Rybińsku i po drodze zatrzymałem się w Kazaniu, gdzie, jak mi mówiono, naczelnikiem zarządu żandarmskiego był ten sam von Szejman.

Zniknął stosunkowo przyzwoity szef żandarmów, von Waal (nie pamiętam w tej chwili, jaki go los spotkał), a wraz z nim ulotniło się wspomnienie o „braku żan-

darmskiego taktu“, i von Szejman, przy pomocy swoich Niemców, grasował nadal wśród studentów uniwersytetu kazańskiego.

V

ŁZY CESARZA I EKSPEDYCJA KARNA

Wczesną wiosną 1905 roku byłem wezwany do Petersburga depeszą komendanta kwatery głównej, t. j. z polecenia cesarza. Południowa część Wołgi, od morza Kaspjskiego do Astrachania, była już zupełnie wolna od lodów, i ryby żywiłowo parły z morza do rzeki, by w cieplejszej wodzie miotać ikrę.

Bardziej na północ, aż do Carycyna, najbliższej od Astrachania stacji kolejowej, rzeka także się już pozbyła stałego lodu, lecz w odstępach co kilka lub kilkanaście kilometrów płynęły z góry rzeki całe pola lodowe, które na zakrętach, opierając się o łąchy piaszczyste, tworzyły zatory nieprzebyte dla zwykłych parostatków.

Ponieważ i trakt pocztowy wskutek roztopów wiosennych był również nie do przebycia, jechać zaś trzeba było natychmiast, poleciłem przeto, by rządowy statek, łamacz lodów, stale stojący w Astrachaniu, odwiózł mię do Carycyna lub Sarepty, skąd już mogłem dalej ruszyć koleją.

Podróż na łamaczu lodów była bardzo nieprzyjemna z powodu wstrząśnień, których statek doznawał przy każdym uderzeniu o lód zatorów. Wstrząśnienia były tak silne, że człowiek z trudnością trzymał się na

nogach. Statek, idąc całą siłą pary, z rozpędem uderzał w zator, druzgocąc stalowym dziobem najbliższe zwały lodu, często aż do połowy wsuwając się na sam zator i łamiąc lód swym ciężarem. Potem dając kontrparę, cofał się na wodę, powtarzając takie uderzenie po kilka lub kilkanaście razy, dopóki nie udało mu się przebić zatoru i przedostać się na drugą jego stronę. W razie, gdy statek nie mógł przebić zatoru, załoga wysiadała na lód, w odpowiednich miejscach zakładała niewielkie ładunki dynamitu i wybuchami rozsadzała słaby lód wiosenny.

Naturalnie, przy takim sposobie podróżowania żółtym krokiem posuwaliśmy się naprzód, mając możliwość obserwowania nader ożywionego ruchu miejscowych rybaków między rozrzuconymi po brzegu stanicami kozackimi.

Aby zrozumieć dokładnie zdarzenia, które opowiem, należy sobie uprzytomnić, że stаницe astrachańskiego wojska kozackiego rozrzucone są nad brzegami Wołgi na przestrzeni trzech gubernij: astrachańskiej, saratowskiej i samarskiej. Miasta, ogromne teraz, jak handlowy Carycyn lub uniwersytecki Saratow, dotychczas są stanicami kozaków astrachańskich, którzy mają w nich swoje oddzielne zarządy i zależni są nie od gubernatorów i innych władz miejscowych, lecz od hetmana, rezydującego w dalekim Astrachaniu. Jest to anomalja, sięgająca jeszcze czasów panowania Katarzyny II-giej.

Dawniej wzdłuż brzegów Wołgi osiedleni byli tak zwani wołżańscy kozacy, na których leżał obowiązek

utrzymywania porządku na rzece i ochrona karawan, prowadzących cały olbrzymi handel Rosji z Persją. Tymczasem rozmiłowane w wolności kozactwo wołżańskie nie tylko okazało wydatną pomoc Pugaczewowi, który, podając się za cesarza Piotra III (męża Katarzyny II, zamordowanego przez nią), owiładnął południowo-wschodnią częścią Rosji, lecz wydało ze swego łona słynnego watażkę, Stieńkę Razina, co to ograbiał wszystkich na rzece i z bezprzykładną śmiałością napadał na miasta perskie, leżące na południowym wybrzeżu morza Kaspijskiego.

Katarzyna II, pokonawszy Pugaczewa, który wpadł w jej ręce i został skazany na śmierć, zemściła się i na kozakach wołżańskich: wiele stanic przesiedlono do innych miejscowości olbrzymiej Rosji, pozostali zaś kozacy otrzymali miano astrachańskiego wojska kozackiego.

Podanie o Stieńce Razinie, jako o bohaterze narodowym, który bił się o wolność kozacką, krąży dotychczas wśród miejscowych kozaków; o bohaterstwie jego śpiewają pieśni, a każdy dzieciak nad Wołgą zna i wskaże „skałę Stieńki“ (Stieńkin utios), skąd roztacza się przepiękny widok na tę ogromną rzekę. Skała ta podobno była ulubionym miejscem zamieszkania Stieńki, chociaż żadnych śladów ruin tam nie znalazłem.

Obecnie kozacy astrachańscy są obdzieleni ziemią, po 30 dziesięcin (1 dziesięcina = 2 morgi) na każdego mężczyznę. Nadto zarząd wojska rozporządza w gubernji samarskiej ogromnemi obszarami, służącemi jako rezerwa nadawania ziemi nowonarodzonym. Pomi-

mo tego kozacy uprawiają ziemię niechętnie, głównem zaś źródłem ich dobrobytu jest rybołówstwo.

To też na wiosnę, kiedy śledzie, „wobla“, sandacze masami napływają z morza do Wolgi, by miotać ikrę; kiedy w tym samym celu wyrusza z głębi morza tak zwana „czerwona ryba“ (t. j. olbrzymich rozmiarów bieluga, wydająca często do 40—50 kilogramów ikry) oraz jesiotry i bialo-rybica: w stanicach, kto żyw, idzie na połów. Spółki rybackie przegradzają rzekę ogromnemi sieciami; jedna ich strona przymocowana jest do windy, na brzegu, dokąd wyciąga się sieć, drugą zaś ciągną rybacy, brnąc po szyję w wodzie, szlejami, założonemi przez piersi i plecy. Rybacy ci wdziewiają na ubranie szerokie opony skórzane, jakby drugą odzież, uszytą w ten sposób, że buty, spodnie i kurtki z rękawami i rękawicami stanowią całość. Taki skórzany worek teoretycznie powinien chronić rybaka od przemoknięcia, woda bowiem wczesną wiosną jest w rzece jeszcze bardzo zimna. Jednakże ochraniać dobrze mogą tylko worki nowe, mocne i zszyte tak hermetycznie, aby nigdzie nie przepuszczały wody, t. zn. opony dostępne jedynie dla ludzi zamożnych. Biedacy zaś choć wdziewiają opony skórzane, lecz mokną w nich i marzną. Nie więc dziwnego, że tego rodzaju pracy, jako bardzo ciężkiej i niebezpiecznej, oddają się wyłącznie mężczyźni, kozaczki zaś złowione ryby oprawiają, czyszcza, bardzo mocno solą i albo rozwieszają w specjalnych szopach, gdzie suszą je na wietrze, albo wręczają specjalistom ekspedytorom, którzy np. śledzie pakują w beczki, rozsyłane potem po całej Rosji i Pol-

see. Ciekawą jest rzeczą, że Żydzi, którzy przeważnie są kupcami i konsumentami śledzi, kupują tylko beczki, przygotowane przez ekspedytorów-Żydów. Wynika to stąd, że Żyd-ekspedytor, w porozumieniu z kupcami, stara się upakować w beczce ile można najwięcej śledzi i ugniata je nogami, nie bacząc, że w ten sposób odpływa z nich sok i tłuszcz, t. j. najpożywniejsze części ryb. Zato w beczce, upakowanej przez uprzętaacza-Żyda, jest o kilkaset śledzi więcej, niż w beczkach, przygotowanych przez Rosjan. Różnica stanowi czysty dochód kupca, który sprzedaje śledzie na sztuki, a nie na wagę.

Nieprzeparty ciąg każdego gatunku ryb z morza w górę rzeki trwa po parę tygodni. Jest to okres gorączkowej pracy wszystkich mieszkańców stanic kozackich. Jeżeli uda się połów, stаница przez cały rok żyje dostatnio; gdy się nie uda, co się zdarza w razie silnych wiatrów północno-wschodnich, odpędzających ryby od ujścia Wołgi w głąb morza, wtedy stаницы głodują lub żyją na kredyt, sprzedając „kułakom“ za bezcen połów następnego roku.

Jak mówiłem wyżej, zwykle w wodzie, ciągnąc sieci, pracowali wyłącznie mężczyźni, kobiety zaś na brzegu. Tymczasem na wiosnę w latach 1905 i 1906 sieci ciągnęły wyłącznie kobiety. Wynikało to stąd, że w stanicach mężczyzn nie było zupełnie: z powodu wojny z Japonją poszły na front do Mandżurji pułki czynne i rezerwowe I i II kategorii, t. j. poszli wszyscy kozacy od 20 do 50 roku życia. Poza tem w rozmaitych gubernjach Rosji europejskiej poczęły się ruchawki

rewolucyjne. Władze miejscowe alarmowały Petersburg, prosząc o przysyłanie oddziałów wojskowych, niezbędnych do utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego.

Najbliżej Rosji Środkowej było wojsko astrachańskie. To też do mnie, jak do rogu obfitości, sypały się rozkazy z Petersburga: posłać tam a tam pół sotni kozaków; tam znowu choć jeden pluton z oficerem. Jako hetman polowy, powołałem na służbę młodzież od 17 do 20 roku życia i rezerwistów od 50—60 roku. Rozesłałem wszystkich do ostatniego żołnierza, a do utrzymywania wart i porządku w miastach sformowałem komendy z małoletnich kozaków od 15 do 17 roku oraz ze starców, mających więcej, niż 60 lat.

Ponieważ prawo nie pozwalało mi na takie zarządzenia, więc uprzednio objechałem wszystkie stаницe i osiągnąłem ze strony kozaków ofiarną propozycję dobrowolną, że gotowi są oddać się do rozporządzenia władzy, o czym, naturalnie, zostały sporządzone odpowiednie akta, opatrzone podpisami wszystkich pozostałych w stanicach kozaków.

Oczywiście, rozporządzenia te pozbawiły stаницe resztki męczyzn, i gdy nadeszła wiosna, a z nią gorący okres rybołówstwa, do sieci musiały wziąć się kobiety, aby uchronić od głodu i siebie, i dziatwę.

Jadąc więc do Petersburga, postanowiłem wyyskać nadarzącą się sposobność zapoznania cesarza z rzeczywistym stanem rzeczy i z ofiarną służbą kozaków astrachańskich: w tym celu zabrałem z sobą wszystkie zestawienia, kartogramy i protokoły, nadto

w celu zilustrowania tego wszystkiego, i fotografie, zdjęte z natury i świadczące o niezwykle tragicznych chwilach, jakie przeżywa wojsko.

Istotnie, fotografie przedstawiały plastycznie, jak kilka kobiet, wprzężonych w szleje, ciągnie sieci, brnąc po szyję w zimnej wiosennej wodzie rzeki. O rysach twarzy, skureczonych od wysiłku, zsiniałe, przemarznięte, pracowały one za mężów i ojców, którzy pełnili służbę w innych gubernjach.

W ten sam sposób kobiety wprzęgały się do pługów, by uprawiać ogrody, kosily łąki i spełniały za mężczyzn inne prace w polu.

Dobrnąwszy wreszcie do Petersburga, wszystkie zdjęcia oddałem do wywołania i odbicia fotografowi Akademji Sztuk Pięknych tak, że w dniu audjencji u cesarza miałem z sobą cały komplet przepięknie wykonanych fotografii.

Zdawszy relację w sprawie, w jakiej byłem wezwany, sprowadziłem rozmowę na podwójną służbę kozaków, mianowicie na froncie wojennym, dokąd, jak wszystkie inne stany w Rosji, posłali oni kwiat swej młodzieży, oraz na służbę wewnątrz Rosji, której inne stany nie pełniły, a na którą kozacy oddali absolutnie wszystkich mężczyzn. Każde swoje słowo potwierdzałem odnośnemi wykazami oraz kartogramami.

Cesarz słuchał mię z największem zdumieniem, przerywając tylko od czasu do czasu moje zwięzłe opowiadanie okrzykami: „Pojęcia o tem nie miałem“, „nikt i nigdy nie mówił mi o tem“. Gdy zaś pokazywałem mu fotografie, plastycznie uwydatniające katastrofalne

chwile, jakie przeżywało wojsko; gdy cesarz zobaczył nadludzkie wysiłki kobiet, w celu uratowania siebie i dzieci od głodu i nędzy, w oczach Mikołaja II dostrzegłem łzy.

Podał mi rękę i, potrząsając nią, rzekł: „Dopiero teraz sobie uprzytomniłem, co ojczyzna i ja zawdzięczamy kozakom. Radź pan, czem mógłbym choć w części się im odwdzińczyć“.

Odpowiedziałem, iż sędzę, że wojsko byłoby zadowolone, gdyby otrzymało reskrypt, w dosadnych słowach stwierdzający ofiarną służbę kozaków astrachańskich. Reskrypt taki byłby bardzo cenną pamiątką dla następnych pokoleń, dowodzącą patryjotyzmu ich ojców i dziadów. Poza tem w reskrypcie należałoby słowem cesarskiem potwierdzić prawa i wolności kozackie oraz, w charakterze daru cesarskiego dla wojska, przyłączyć do obszarów kozackich niektóre dobra skarbowe w gubernji samarskiej, przylegające bezpośrednio do rezerwowych przestrzeni wojska astrachańskiego.

Cesarz w zupełności podzielił mój pogląd i polecił mi osobiście zgłosić się do głównego zarządu wojsk kozackich w Rosji i dać wskazówki co do ustalenia tekstu reskryptu, który w imieniu cesarza miał przywieźć do Astrachania generał-adjutant Maksimowicz (były generał-gubernator w Warszawie).

Wychodząc z gabinetu cesarskiego, miałem zabawne zdarzenie, które przysporzyło mi nieprzejednanego wroga. W poczekalni przy drzwiach gabinetu cesar-

skiego sterczał, jak zwykle, admirał Niłow, osobistość dla mnie mało sympatyczna.

Cesarz, żegnając mię, odprowadził do drzwi i ukazał się w nich na chwilę. Niłow zdążył nie tylko złożyć głęboki ukłon, lecz i zauważyć, że cesarz miał wygląd zdenerwowany. Podbiegł więc do mnie i zapytał:

— Co się stało? Dlaczego Najjaśniejszy Pan jest tak zdenerwowany i ma łzy w oczach?

Byłem zdumiony natarczywą brutalnością Niłowa i ledwo się powstrzymałem od aroganckiej odpowiedzi. Zmierzyłem go przelotnym spojrzeniem i, spokojnie odpowiedziałwszy: — Zechce pan zapytać o to bezpośrednio Jego Cesarską Mość — udałem się dalej ku wyjściu, nie zatrzymując się w poczekalni. Niłow odskoczył ode mnie, jak oparzony, i potem stałe korzystał ze sposobności, by mię obgadywać.

W parę miesięcy potem, jakoś już w lecie, otrzymałem zawiadomienie, że specjalnym rozkazem cesarskim polecono generał - adjutantowi Maksimowiczowi doręczyć wojsku astrachańskiemu najwyższy reskrypt z wyrażeniem podziękowania za ofiarną służbę; przytem reskrypt obwieszczał, że cesarz w trosce monarszej o materialny byt kozactwa zwiększa rezerwę ziem wojskowych przez dołączenie do niej tych a tych dóbr państwowych. Maksimowiczowi towarzyszył jeden z fliigel-adjutantów świty cesarskiej.

W dzień oznaczony pojechałem na przystań w stroju galowym, by powitać posła cesarskiego w chwili przybicia statku do brzegu. Z Maksimowiczem przedtem się nie spotykałem. Słyszałem, że po zamachu w

Warszawie, gdzie w czasie przejazdu do cerkwi, na ulicy Miodowej, rzucono w niego bombę, zamknął się w obozie wojskowym i zrezygnował nadal ze służby w administracji. Miano mu to za złe i, jako generała-adjutanta, przydzielono do głównej kwatery cesarskiej, lecz bez określonej czynności.

Po przywitaniu wyszliśmy na brzeg. Zajechał mój powóz. Siadając, generał Maksimowicz zauważył, że przy powozie niema żadnej ochrony, i zdziwiony zapytał:

— Jakto? Jeździ pan bez ochrony i w otwartym powozie?

— Ależ owszem — odpowiedziałem, śmiejąc się i wskazując wygalowanego lokaja, który właśnie siadał na kozioł — to moja najlepsza ochrona, bo wszyscy, widząc go, wiedzą, że to jadę ja, a nie kto inny.

Piękny dzień słoneczny i ciekawość zobaczenia posła cesarskiego wywabily tłumy na ulice, przez które mieliśmy przejeżdżać do mego mieszkania. Zapełnione były szczerlnie nietylko chodniki, lecz i jezdnie, tak że mogliśmy się posuwać powoli, stępa, witani owacyjnie przez wszystkich: mężczyźni bez wyjątku zdejmowali czapki i kapelusze, kobiety powiewały chustkami i parasolkami lub rzucały kwiaty do powozu.

Nie mogąc nadążyć w oddawaniu wojskowych ukłonów, zdjąłem czapkę i jechałem z odkrytą głową, kłaniając się na prawo i na lewo. Przed domem i ganikiem stały zwarte tłumy, przez które z trudnością przecisnął się nasz powóz.

Maksimowicz mileczał przez całą drogę i dopiero

w domu, wchodząc na schody, oświadczył mi, że teraz rozumie, dlaczego jeżdżę bez ochrony; nie uwierzyłyby takim objawom sympatji w czasie ogólnych w kraju rozruchów, gdyby nie widział ich na własne oczy, o tem zaś, co widział, czuje się w obowiązku po powrocie do Petersburga zameldować cesarzowi.

Uroczystości, związane z wręczeniem reskryptów cesarskich starszyźnie kozackiej, trwały cztery dni. Widziałem, że Maksimowicz wynosi z bytności w Astrachaniu wrażenie jak najlepsze. Ponieważ pragnąłem, by sprawozdanie jego o pobycie wśród kozaków astrachańskich nie dotyczyło jedynie: fet, parad, obiadów i innych objawów gościnności kozackiej, lecz aby miało podstawy realne gospodarcze, zaproponowałem, że go odwożę swoim statkiem do Saratowa, i po drodze zwiedzimy możliwie jak najwięcej stanic kozackich, rozrzuconych wzdłuż brzegów Wołgi.

Propozycję moją Maksimowicz przyjął z wdzięcznością. Wyruszyliśmy z Astrachania, zatrzymując się w stanicach, wskazanych przez niego, a nie przeze mnie. Rozmyślnie tak uczyniłem, żeby mu dać możność zwiedzenia stanic wśród zajęć codziennych, nie zaś w przybraniu odświętnem, coby się naturalnie stało w tym razie, gdyby stаницe były uprzedzone o wizycie wysokiego gościa.

Generał Maksimowicz był przedtem hetmanem polnym dońskiego wojska kozackiego i znał dobrze życie wewnętrzne kozaków. Parad wojskowych i ćwiczeń nie mogliśmy odbywać, gdyż, jak nadmieniałem, prócz dzieci i starców, mężczyzn w stanicach nie było. Zato

inspekcje gospodarcze, rewizje kas, zapasowych magazynów i księgowości wypadają świetnie, wymownie świadcząc o wzorowym prowadzeniu gospodarki w stanicach.

Płynęliśmy do Saratowa 10 dni, zatrzymując się wszędzie, gdzie chciał Maksimowicz. Właściwie była to nie podróż inspekeyjna, lecz pochód triumfalny: parostatek wypełniali kozacy i kozaczki, odprowadzając gości od stancy do stancy i wracając potem do domu wdół rzeki na łodziach. Kozaczki śpiewały swe melancholijne pieśni chóralne, których słuchaliśmy z wielkiem zajęciem. Czasami, gdy się znalazł na statku bandurzysta z bałalajką, kobiety puszczały się w szalony taniec jedne z drugimi, wskutek zupełnego braku mężczyzn. Naturalnie, goście na statku otrzymywali ode mnie obfity posiłek, lecz ani kropli żadnego alkoholu.

W największe jednak zdumienie wprawiała Maksimowicza szczerłość i prostota, z jaką kozaczki i kozacy zwracali się bezpośrednio do mnie we wszystkich swych sprawach, które nam wydawały się drobiazgami, lecz dla nich stanowiły podstawę życia.

Rozstaliśmy się w Saratowie: oddałem Maksimowicza w ręce P. A. Stołypina (późniejszego prezesa rady ministrów, zabitego w teatrze, w Kijowie), który był wtedy jeszcze gubernatorem w Saratowie, sam zaś wróciłem do Astrachania. Bywając potem w Petersburgu, słyszałem od komendanta głównej kwatery cesarskiej, Diediulina, i od paru innych osób z najbliższego otoczenia cesarza, że Maksimowicz był niewyczerpany

w opowiadaniu o swych wrażeniach z podróży do Astrachania i zawsze wysławiał mię, jako wzorowego hetmana.

* * *

W rok potem spotkałem się jeszcze raz z generałem Maksimowiczem, lecz w zupełnie innych warunkach. W jednym z poprzednich opowiadań nadmieniłem, że, jadąc do Petersburga, przypadkowo w Ust' Miedwiedickiej trafiłem na bunt kozaków dońskich, którzy zamordowali kilku ze zniechęconej starszyny swojej. Ponieważ Maksimowicz przez jakiś czas był hetmanem polowym kozaków dońskich i między generałami - adjutantami służył jako znawca spraw kozackich, więc z rozkazu cesarza polecono mu delikatnie zlikwidować całą sprawę tak, by, nie drażniąc kozaków, których kilkadziesiąt pułków walczyło na froncie, jednocześnie bezkarnością nie ośmielać do nowych wybryków.

Siedząc w Astrachaniu, naturalnie, nic nie wiedziałem o całej tej sprawie. Nagle otrzymuję list od Maksimowicza, w którym zawiadamia mię, że właśnie otrzymał zlecenie zlikwidowania wiadomego mi rokoszu w Ust' Miedwiedickiej, i powołując się na wspomnienia z bytności swej w Astrachaniu oraz na zaufanie, jakim darzy mię całe wojsko, prosi, bym przyjechał do Ust' Miedwiedickiej i pomógł mu załatwić sprawę.

Pojechałem. Maksimowicza jeszcze nie było w Ust' Miedwiedickiej; miał przybyć dopiero nazajutrz. Nie

wiedząc, jakiej właściwie pomocy oczekuje on ode mnie, uważałem za niewskazane zjawiać się w Ust' Miedwiedickiej przed jego przybyciem. Polecilem więc wagon swój przesunąć na tor zapasowy i postanowiłem zanocować w wagonie na stacji.

Wieczorem, nie wiem w jaki sposób, wiadomość o moim przyjeździe doszła do zarządu stanic, który wydelegował dwóch swych członków, starców siwo-brodych, z prośbą, bym nie robił im wstydu, nocując na stacji, kiedy każdy z zamożnych obywateli stanic z radością przyjmie u siebie sąsiada- *) hetmana. Od noclegu w stanic wymówiłem się, lecz starców zaprosiłem do wagonu, ugościłem i starałem się wybadać nastrój opinii miejscowej. Pokazało się, iż kozacy są przygnębieni; przyznają, że postąpili źle, gotowi są wynagrodzić poczynione szkody, proszą tylko o zbadanie przyczyn, które ich doprowadziły do ostateczności. Wyśłańcy, nie wiedząc, że przybyłem do Ust'-Miedwiedickiej na zaproszenie Maksimowicza, mniemali, że znalazłem się tu przypadkowo, i w imieniu zarządu usilnie prosili, bym się podjął pośrednictwa między nimi a Maksimowiczem. Rozstaliśmy się pełni nadziei, że cała sprawa da się załatwić pomyślnie.

Nazajutrz przybył Maksimowicz specjalnym pociągiem, w którym były tylko dwa wagony osobowe. Resztę wozów zajmował szwadron kozaków uralskich

*) W niektórych miejscach koło Carycyna granice ziem kozaków dońskich zbliżają się na 40 klm. do ziemi kozaków astrachańskich.

gwardyjskiego pułku, w amarantowych mundurach, konie, kuchnie, a na otwartych platformach stało 6 kulomiotów. Słowem — karna ekspedycja kozaków przeciwko kozakom!

Nadto Maksimowicz nie chciał jechać do stancy, gdzie na majdanie, przed domem zarządu, zebrało się „koło“, złożone z przedstawicieli wszystkich stancii okręgu Ust'-Miedwedickiego, lecz zażądał, by „koło“ przyszło na stację i ustawiło się na obrady przed pociągiem w polu, gdzie w każdej chwili można było użyć przeciw niemu kulomiotów.

Kozacy oburzeni, że Maksimowicz przybył do nich w podobnej asyście, nie chcieli przyjść na stację. Z tego powodu wynikł zatarg, który jedynie z trudnością udało mi się załagodzić. Zapewniłem Maksimowicza, że go błędnie i jednostronnie poinformowano, nie grozi mu bowiem żaden wybryk ze strony kozaków; lepiejby też był zrobił, przybywając tutaj sam jeden, bez ochrony i kulomiotów.

Na majdanie stancy poczęło się zwolna zbierać „koło“. Między delegatami znalazło się sporo podchmielonych, których repliki odtwarzały nastrój zebranych i były dla Maksimowicza nieprzychylne.

Maksimowicz zaś wystąpił do „koła“ z długą przemową, w której zaznaczył, że przybył z polecenia cesarza, by się na miejscu przekonać o tradycyjnej wierności kozaków dońskich cesarzowi i dynastji. Gdy tak mówił, nagle z pośród „koła“ zabrzmiał pijany głos: „Więc w nagrodę za tę tradycyjną wierność otoczyłeś się kulomiotami i przywozłeś z sobą uralskich koza-

ków, gotowych wystrzelać nas, bezbronnych!“ Maksimowicz, udając, iż tego nie słyszy, mówił dalej z patosem, że przybył do Ust'-Miedwedickiej ze specjalną misją, bo mu drogi jest mundur kozacki, który sam miał zaszczyt przez jakiś czas nosić. Na to z „koła“ posypały się znowu okrzyki: „A po czemu płaciłeś za sukno, kiedy ci mundur kozacki wydaje się taki drogi?“ Z drugiej znów strony „koła“ padają zapewnienia: „Słuchaliśmy cię, boś był naszym hetmanem, teraz jesteś dla nas niczem; wracaj skądś przyjechał, a nie zapomnij zabrać z sobą kulomiotów, bo źle skończysz“. Zmieszany i zbity z tropu, Maksimowicz przerwał swą mowę. Wtedy wystąpił z „koła“ jeden z moich gości-starców i w słowach zwięzłych uprzytomnił krzywdy, jakie cierpieli kozacy od swoich władz, krzywdy, które zmusiły ich do samoobrony i doprowadziły do wybryków; mimo wszystko kozacy czują się winni, gotowi są częściowo wynagrodzić zrobione straty i apelują do łaski cesarskiej.

Mowę tę „koło“ przerywało ciągle okrzykami: „Tak! Święta prawda! Prosimy“ i t. d. Słowem, położenie zaczęło się wyjaśniać, umożliwiając porozumienie.

Lecz Maksimowicz raz jeszcze omal nie zepsuł wszystkiego, zażądawszy wydania prowodyrów. Kozacy odrazu się nasrożyli, mówiąc: „Grabiliśmy wszyscy“.

Wtedy już ja się wtrąciłem, zapewniając, że nie chodzi tu o wydanie kogokolwiek na karę, lecz o wymienienie w manifeście nazwisk tych, którym się winę

przebacza. Wtedy „koło“ zgodziło się i nazwiska pro wodyrów wymieniło.

Nadszedł wieczór, a wraz z nim uspokojenie. Maksimowicz przebieg sprawy zaprotokółował. „Kolo“ protokoły podpisało. Jeszcze tej samej nocy Maksimowicz pojechał do Petersburga, ja zaś wróciłem do Astrachania.

Więcej Maksimowicza nie spotkałem.

W opowiadaniu tem chodziło mi o dwa momenty, stwierdzone przeze mnie własnymi oczyma i charakteryzujące Mikołaja II: lzy w jego oczach na widok cierpień kozaczek i — wysłanie przeciw kozakom ekspedycji karnej z groźnemi pełnomocnictwami, udzielonemi osobie nieodpowiedniej.

DLACZEGO PRZESTAŁEM PODRÓŻOWAĆ?

Gdy z ostatniej swej podróży na pustynię Raske-
mu i do Tybetu po dwóch zgórá latách wróciłem do
Margelanu, gdzie stale mieszkałem, dowiedziałem się
od miejscowego gubernatora, przy którym pełniłem
obowiązki urzędnika do szczególnych poruceń, że
otrzymał on poufne rozporządzenie, zabraniające mi
przyjeżdżać do stolicy; wszystkie zaś dzienniki podró-
ży, mapy i kolekcje, po prowizorycznem ich opraco-
waniu rozkazano mi wysłać pocztą do Petersburga.

Byłem jak piorunem rażony. Przyczyny takiego
rozporządzenia nie były znane władzom Turkiestanu,
które przypuszczały, że zaplątałem się w jakąś sprawę
polityczną i oczekiwały wyjaśnienia ode mnie. Ja zaś,
w ciągu 2 lat tułając się po najdzikszych i najbardziej
nieдоступnych miejscowościach Azji Środkowej, przez
cały ten czas nie otrzymywałem gazet ani listów i nie
mogłem nic wyjaśnić.

Wyruszałem w podróż, będąc jak najlepszej myśli,
i zapowiadała się ona doskonale. Przez dwa lata czy-
niłem nadludzkie wysiłki, aby, nie szcędząc życia
i zdrowia, osiągnąć zamierzone cele. I jako nagrodę,

otrzymuję rozkaz oddania wszystkich zdobyczy naukowych, zostaje skazany na zupełne zapomnienie, bez możliwości nawet dowiedzenia się, za co to wszystko spadło na mnie! Krewnych bowiem lub bliskich znajomych, którzyby się postarali wyjaśnić tę sprawę, nie miałem, służbowe zaś odpowiedzi, powołujące się na poufność rozporządzenia, nie wyjaśniały.

Byłem przybity i zupełnie zniechęcony i wyrzuciłem sobie, że życie i swe zdrowie poświęciłem dla państwa, gdzie mogą się zdarzać podobne rzeczy.

Na szczęście dla mnie, sekretarzem Towarzystwa Geograficznego był podówczas profesor Aleksander Grigorjew, człowiek oddany nauce i nie szczędzący usiłowań, by młodych podróżników odpowiednio przygotować i we wszystkim im pomagać. Zadepeszowałem do niego. Odpowiedział listem, w którym w delikatny sposób dał mi do zrozumienia, że przyczyną niełaski stał się mój list, pisany z Połu (oaza w górach Altyn Tag), który, jak stwierdziły władze angielskie w Indjach, mijał się z prawdą.

Dla zrozumienia stanu rzeczy muszę wyjaśnić, że w poprzedniej ekspedycji swojej zbadałem był pasmo gór Hindukuszu, przełęcze i źródła rzeki Indusu, oraz chanat Kandzut, położone na południowej stronie gór Hindukuszu. W ostatniej zaś wyprawie miałem za cel zbadanie Pamirskich chanatów: Szugnanu, Roszanu i Badachschanu, zachodniej części gór Hindukusz, oraz chanatów Czatraru i Kafiristanu, położonych na południowej stronie Hindukuszu. W razie zaś, gdyby częste

w tamtejszych krajach zamieszki polityczne przeszkodziły mi w wypełnieniu tych planów, miałem z Pamirów przejść na pustynię Raskemu, wzdłuż północnych zboczów Himalajów wejść do północno-zachodniego Tybetu i dotrzeć chociażby do pierwszych miejsc zaludnionych.

Ułożyłem sobie taki plan, aby po przejściu pustyni Raskemu zwrócić się przez Karakorum do pierwszej Kaszmirskiej wioski, Panamik, tam przeczekać zimowe miesiące, dać wypocząć ludziom i koniom i wczesną wiosną ruszyć do Tybetu.

Miałem wprawdzie wątpliwości, czy władze angielskie w Indjach pozwolą rosyjskiej wyprawie przebywać parę miesięcy na terytorjum Kaszmiru; kombinowałem jednak, że do Panamiku mogę dobrnąć najprędzej w grudniu, nim zaś władze miejscowe zawiadomią centralne w Ladaku, te znowu dadzą znać władzom w Kaszmirze, a kaszmirskie zniosą się z angielskimi, które w najgorszym razie każą mi opuścić terytorjum Indyj, sporo wody upłynie, a ja tymczasem pod dachem spędzę najcięższe miesiące zimowe i wyruszę w stronę Tybetu na świeżych, wypoczętych koniach.

Takby się zapewne było stało, gdyby nie los, który w pustyni Raskemu zetknął mię z angielską misją kapitana Jounghusbanda, jadącą z Indyj do Jarkendu. Spotkaliśmy się nadzwyczaj przyjaźnie. Trzy dni obie wyprawy spędziły razem. Wspólnie określiliśmy punkty astronomiczne i w ten sposób związaliśmy topograficzne prace angielskie z rosyjskimi. Przy rozstaniu z kap. Jounghusbandem podzieliłem się czem mogłem z za-

pasów żywności. On zaś sam zaproponował, że przez specjalnych gońców prześle pogranicznym władzom angielskim list mój z prośbą o pozwolenie wypoczęcia w Panamiku, oraz swe zaświadczenie, że misja moja jest specjalnie naukowa i nie ma celów politycznych.

Rozstaliśmy się, jak wielcy przyjaciele. A kiedy w dwa miesiące potem wyprawa moja dotarła do Szachidulla-Chodża, fortu, leżącego na jedynej drodze karawanowej z Indyj do Chin Zachodnich, zastała tam garnizon kaszmirski. Tam właśnie otrzymałem rządową odpowiedź komisarza politycznego w Gilgicie, podpułkownika Durenda, głoszącą, że ponieważ moja ekspedycja ma z sobą zbrojny konwój kozacki, przeto wicekról Indyj nie pozwolił jej wejść na terytorjum Kaszmiru; władze zaś kaszmirskie wydały zarządzenia, aby odeprzeć ekspedycję siłą w razie niezastosowania się z jej strony do tego rozporządzenia. Dokument był na papierze ze złotemi herbami Anglii i z odpisami w 4-ch językach: niemieckim, perskim, hinduskim i (dlaczego?) hiszpańskim.

Znaleźliśmy się w położeniu tragicznem. Za nami ztyłu—pustynia, którą dopiero co przebyliśmy z ogromnemi wysiłkami, w ciągu 90 dni nie spotkawszy ani jednego człowieka, prócz wyprawy angielskiej. Nie mogłem zawrócić na północ do Chin, gdyż nie miałem paszportu chińskiego, zatrzymanoby mię więc na pierwszym posterunku chińskim. Nie mogłem też zostać w Szachidulla Chodża, bo forteczka ta leży na wysokości około 13.000 stóp nad poziomem morza, w miejscowości, absolutnie pozbawionej roślinności, my zaś mieli-

śmy 40 koni do karmienia. Zresztą i garnizon kaszmirski, powołując się na rozporządzenie swych władz, wystąpił stanowczo przeciwko nam, żądając szybkiego odjazdu.

Droga na południe, do Panamiku, była zamknięta. Pozostało iść dalej na wschód: w grudniu brnąć w pustynię Tybetu na zdrożonych koniach i bez dostatecznych zapasów żywności, licząc jedynie na to, co się zdoła upolować. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, jakie nas czekają cierpienia podczas zimy w kraju o absolutnej wysokości 15—16 tys. stóp przy mrozach, dochodzących do 46°C i wichrach. Lecz z opowiadań miejscowych myśliwych, znających kraj ów wybornie, wiedziałem, że zwierzyny spotkamy dużo, głównie zaś liczyłem na to, że zdołamy dotrzeć do źródeł gorących, które leżały o jakieś 400 kilometrów na wschód od Szachiduła Chodza i podobno były otoczone łąkami bagnistymi z niezamarzającą wodą i dobrą trawą. Tam zamierzałem parę miesięcy wypocząć.

Zresztą nie miałem wyboru. Ruszyliśmy więc na pustynię Tybetu.

Z początku szło wszystko dobrze. Zwierzyny wszelkiej mieliśmy dużo, zarówno jak trawy dla koni. Dawał nam się wprawdzie uczuwać brak wody, ale radziłyśmy sobie, zatrzymując się przy wiecznych śniegach, gdzie konie jako tako gasiły pragnienie. Lecz im dalej zapuszczaliśmy się w pustynię, tem rzadziej spotykaliśmy śnieg. Przez ostatnie pięć dni przed dojściem do źródeł gorących, konie nie piły prawie zupełnie. Wprawdzie trafialiśmy na wielkie jeziora, ale były one pokryte

tak grubą warstwą lodu, że nie mogliśmy dostać się do wody. Pokruszony lód nie zadowalał koni. Wycieńczone przez to, poczęły padać, i w ciągu ostatniego dnia straciliśmy 36 koni, doprowadzając do gorących źródeł tylko cztery. Oczywiście, trzeba było po drodze rzucić wszystko, co nie było niezbędne. Odpocząwszy i odkarmiwszy pozostałe zwierzęta na obfitujących w trawę bagniskach, utworzonych przez wspomniane źródła, ułożyliśmy rozrzuconę pakunki, zabezpieczyli je wojłokami i kamieniami od deszczy i dzikich zwierząt i, zabrawszy z sobą tylko to, co mogły unieść nasze 4 konie, ruszyliśmy przez zasypane śniegami pasmo gór Ałtyn Tagu na północ. Dotarliśmy dopiero w początkach marca do pierwszej oazy, Połu. Stamtąd napisałem list do Towarzystwa Geograficznego, odtwarzając drobiazgowo nasze przeżycia, z załączeniem kopij zdjęć topograficznych i t. p., i odesłałem przez umyślnego posłańca do Kaszgaru (około 800—1000 kilometrów) na ręce konsula rosyjskiego, który wnet go wyprawił konną pocztą do Rosji.

Towarzystwo Geograficzne, nie otrzymując prawie przez cały rok żadnych wiadomości, było bardzo zaniepokojone o losy mojej wyprawy. Gdy więc nadszedł mój list, wice-prezes Towarzystwa, senator Piotr Siemionow Tiańszański, zawiózł go do pałacu Aniczkowskiego i doręczył cesarzewiczowi, który był oburzony nieludzkością Anglików i doniósł o tem cesarzowi.

Na moje szczęście, czy też nieszczęście, list przyszedł przed zwykłym przyjęciem korpusu dyplomatycz-

nego z powodu Wielkiejnocy. Cesarz Aleksander III nie odznaczał się zbyt panowaniem nad sobą i nie krępował się w okazywaniu swego niezadowolenia. Otóż podobno, przyjmując powinszowania od senjora ciała dyplomatycznego, którym był podówczas poseł niemiecki, generał Schweinitz, uprzejmie z nim rozmawiał, poczem przeszedł obok posła angielskiego, Moriera, nie zatrzymując się, i zwrócił się następnie do posła francuskiego. Takie lekceważące pominięcie zwróciło powszechną uwagę. Sir Morier wnet udał się do ministerjum spraw zagranicznych i zapytał o przyczyny tej aroganckiej oziębłości. Minister, hr. Lamsdorf, wytłumaczył ją oburzeniem, jakie panowało w pałacu Aniczkowskim z powodu niewpuszczenia przez Anglję do Kaszmiru wyprawy naukowej, finansowanej przez cesarzewicza.

Oczywiście, że Morier przesłał o tem zajściu raport swojemu rządowi i wkrótce przedstawił hr. Lamsdorfowi depeszę wice-króla Indyj, lorda Dufrina, w której ten zapewniał, że ani on sam, ani władze pograniczne nie otrzymały ode mnie żadnej prośby o pozwolenie prezimowania w Panamiku, i że on nigdy nie odmówiłby wyprawie przytułku w podobnych warunkach.

Depeszę doręczono Aleksandrowi III; wtedy to na moją głowę spadły gromy oburzenia, podsycanego gorąco przez hr. Lamsdorfa, który „dla świętego spokoju“ zasadniczo był przeciwny ekspedycjom do krajów, gdzie ścierały się interesy polityczne ościennych mocarstw.

Cesarz Aleksander kazał hr. Lamsdorfowi dać sir

Morierowi odpowiednie wyjaśnienia, z uwagi zaś na to, że do sprawy tej było wmieszane imię cesarzewicza, polecił ją umorzyć, mnie zaś poufnie zabronił przyjazdu do stolicy.

Dowiedziawszy się nareszcie, o co mię obwiniają, rzuciłem się do papierów, które, chwała Bogu, ocalały, szukając dokumentów. Na szczęście, znalazłem je w całości ze wszystkimi odpisami. Natychmiast poleciłem zrobić z nich rejentalną kopję i fotografie i odesłałem do senatora Siemionowa, który zawiózł je do cesarzewicza, prosząc stanowczo o moją rehabilitację.

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością oczekiwałem odpowiedzi, która nadeszła po miesiącu w formie lakonicznej depechy generał-gubernatora Turkiestanu, barona Wrewskiego, który zawiadomił, że Towarzystwo Geograficzne wzywa mię do Petersburga, dokąd mam się udać z całym dobytkiem naukowym z ostatniej podróży.

Dopiero, gdy przedstawiłem oryginały dokumentów, otrzymałem wezwanie do pałacu Aniczkowskiego. Cesarzewicz przywitał mię z wielką życzliwością, zapewniając, że jestem w zupełności zrehabilitowany i że cesarz polecił mu powinszować mi, gdyż wbrew przyjętym zasadom otrzymałem awans na oficera sztabowego, dożywotnią pensję, jako nagrodę i 6-miesięczny urlop zagranicę dla wypoczynku i poratowania zdrowia.

Byłem tak zniechęcony ciężkimi przeżyciami, że i te nadzwyczajne nagrody nie zmieniły mego postanowienia, jakie powziąłem: zaniechania raz na zawsze

karkołomnych wypraw. Zniechęcenie to odbiło się widocznie na mej twarzy, gdyż cesarzewicz zapytał mię, czy nie mam jakiej osobistej prośby. Odrzekłem, że jestem nagrodzony ponad swe skromne zasługi, ale nie mogę pozbyć się myśli, coby się ze mną stało, gdyby tłumok, gdzie był ów dokument, zginął w podróży, wpadł w przepaść lub w wodę przy przeprawach przez rzeki.

KONIEC.

S P I S R Z E C Z Y

Od wydawców	5
Wstęp	8
Wspomnienia z czasów powstania na Litwie	9
Z dziejów rywalizacji rosyjsko - angielskiej w Azji	30
I. Aleksander III chce „boleśnie ukąsić Anglję“	30
II. Wyprawa na Afganistan	37
Ze wspomnień o Japonji	45
Spotkanie z W. Ks. Konstantym	67
Epizod z wizyty Aleksandra III w Paryżu	75
Walka o namiestnictwo Dalekiego Wschodu	82
Minister Durnowo i zamach na Plewego	96
Śmierć cesarskiego syna	109
Mikołaj II	111
I. Sprawa o spadek	111
II. W przededniu wojny japońskiej	127
III. Przewiezienie generał - gubernatora z Astrachania do Moskwy przez rewolu- cjonistów w r. 1905	150
IV. Rewolucja w Astrachaniu w r. 1905	166
V. Łzy cesarza i ekspedycja karna	247
Dlaczego przestałem podróżować?	264

SPIS TREŚCI

301	Opis wypraw podwodnych
297	V. Taj cenzura i kradzieże karna
198	17. Rewolucja w Astrachanie w r. 1905
190	16. Rewolucja w r. 1905
187	15. Przewiezienie generał-gubernatora
183	14. W przeddzień wojny japońskiej
177	13. Sprawa o spadek
171	Nikolaj II
165	Smierć cesarskiego syna
159	Minister Darłowo i zamach na Piłsuego
153	Walka o nanieśnienie Dalekiego Wschodu
147	Epizod z wizyty Aleksandra III w Paryżu
141	Spotkanie z W. K. Konstantynem
135	Opis wspomnień o Japonii
129	II. Wypawa na Aleksandra
123	"Anglja"
117	I. Aleksander III chce „bolesnie niepać
111	w Azji
105	Z dziejów wywaznacji rosyjsko-angielskiej
99	Wspomnienia z czasów powstania na Kłwris
93	Wstęp
87	Opis wypraw